

ALEKSANDER  
MINKOWSKI



**ZMARTWYCHWSTANIE  
PUDRYCEGO**

ALEKSANDER  
MINKOWSKI

**ZMARTWYCHWSTANIE  
PUDRYCEGO**

  
SIEDMIORÓG



*Aleksander Minkowski*

*Zmartwychwstanie  
Pudrycego*

*Siedmioróg*

## Rozdział pierwszy

Motocykl wzbił się w powietrze i poszybował łagodnie, bardzo wolno, zostawiając w dole czarny skręt szosy i rozkraczonego w poprzek fiata z zadartą pogniecioną maską. Pudrycy widział najpierw malejące auto, potem chmurę w kształcie końskiego łba, potem koronę i mocarny pień starej przydrożnej sosny. Motocykl spływał na spotkanie z pniem. Pudrycy oderwał się od siodelka, przez chwilę wisiał nad motocyklem, wolny od prawa ciężenia, zwiewniejszy niż powietrze. Kierownica wymknęła mu się z rąk, a może sam ją puścił, by odlecieć w niebo jak balonik. Nie odleciał jednak; druzgocąca siła wessała go w wir, nadała nagle kosmiczne przyspieszenie, ściągając do asfaltu. Nie poczuł uderzenia, wyprzedziła je ciemność.

Ale na krótko. Chyba na krótko, bo od tej chwili Pudrycy znalazł się poza czasem, a także poza przestrzenią w jej tradycyjnych trzech wymiarach, które przerabiał był niegdyś na lekcjach geometrii. Unosił się w ciszy złożonej ze spokoju, bezruchu i obojętności.

Tuż pod nim była szosa. Zobaczył swój motocykl, a raczej to, co po nim zostało: kłębowisko żelastwa wtopione w sosnowy pień z odłupanym pasmem kory, pod którym biała drewno jak obnażona kość. Nieco dalej, na żwirowym poboczu graniczącym z asfaltem, leżał on sam, Pudrycy W., z rozrzuconymi nogami i dziwacznie przekrzywioną głową. Oczy miał otwarte, nieruchome, ślepo wpatrzone w nadbiegających ludzi. Obok prawego ucha czerwieniała na żwirze kałuża krwi.

Dopiero teraz, z wysokości, Pudrycy skonstatował, że zderzył się był na zakręcie z karetką pogotowia. Trzej nadbiegający mężczyźni mieli na sobie białe fartuchy. W łysawym tłusciuchu, który kucnął przy jego ciele, Pudrycy rozpoznał Samosiejkę. Pił z nim wczoraj. Niedużo: po szklaneczce spirytusu salicylowego rozcieńczonego oranżadą. Tuż po zamknięciu ośrodka, więc już po służbie, gdy doktor Samosiejka miał prawo czuć się prywatną osobą. Doradził całkiem prywatnie Pudrycemu, aby wypijał przed snem taką właśnie szklaneczkę salicylowego z sokiem: spirytus i aspiryna, zdrowy sen, żadnego kaca nazajutrz.

Krzętał się przy ciele, szukał tętna. Zapewne nie znalazł, bo rozpiął leżącemu kurtkę i zaczął rytmicznie ugniatać mostek splecionymi dłońmi. Pudrycy nie czuł ucisku. Nic nie czuł. Nie słyszał również tego, co doktor mówił do pielęgniara, ponieważ przebywał w absolutnej ciszy. Pielęgniarz pognął do karetki, nadbiegł z torbą lekarską, wydobył z niej strzykawkę, opakowanie ampułek, wessał do strzykawki przezroczysty płyn. Kiedy podawał doktorowi strzykawkę, Pudrycego znów ogarnęła ciemność. Ale inna. Była to ciemność zamkniętej przestrzeni, w której Pudrycy lewitował nieśpiesznie, jak gdyby w górę, choć trudno mu było określić kierunek szybowania i granice zamknięcia. Nad sobą spostrzegł jasność. Narastała: coraz intensywniejsza, jaskrawsza, jak rozżarzone do białości złoto. Nie oślepiała jednak. W miarę zbliżania się do źródła owej jasności Pudrycego ogarniał coraz cieplejszy błogostan, rodzaj rozanielenia, jakiego nigdy dotąd nie zaznawał. Ze wszystkich sił pragnął wtopić się w złotą jasność, rozplynać w jej rozkosznym cieple. Nie mógł przyśpieszyć lewitacji. Doczekał w końcu chwili, gdy tunel pozostał za nim, a przed nim rozlała się świetlista przestrzeń, euforycznie pulsująca, radosna do utraty tchu. Pudrycy poczuł się szczęśliwy. W blasku zamajaczyły ludzkie sylwetki: rozpoznał uśmiechniętą matkę, dziadka z nieodłączną fają, Hannę tulącą do piersi jasnowłosego chłopczyka. Urósł tutaj? Hanna zmarła przy porodzie, niemowlę przeżyło jedną dobę: wrodzona wada serca.

Jeszcze ktoś tam stał. Prezes Góralczyk?... On. Pogodny, rozpromieniony, bez dziury w czaszce, która tak wstrząsnęła Pudrycym, kiedy po strzale wpadł do gabinetu szefa. Głowa na biurku, rzadkie siwe włosy, czarny otwór o postrzępionych krawędziach. Na politurze blatu smugi krwi i grudki czegoś różowego.

Kiwali do niego, jakby stał na drugim brzegu, a przecie jest tuż, zbliża się, zaraz będzie z nimi. Uczucie szczęśliwości przenika coraz głębiej, topi wszystko po drodze. Nadciągają inni, Pudrycy rozpoznaje każdego, pulsująca poświata eksponuje znajome rysy, serdeczność uśmiechów.

A jednak drugi brzeg. Głos światła: „Zatrzymaj się, Pudrycy, twój czas jeszcze nie nadszedł, musisz wrócić; będziemy tu czekać na ciebie”.

Przebudzenie. Dojmujące poczucie fizycznego bólu, nalana krwią twarz

doktora Samosiejki i jego własny szept, niemal bezdźwięczny: „Po co?...”.

Pudrycy W. wspominał to wszystko, jak zawsze po przebudzeniu, jeszcze otumaniony snem, rozdrażniony jazgotem budzika, który umilkł przed chwilą. Czekąło go poranne zmartwychwstanie. Szósta dziesięć. Trzeba zebrać się w sobie – raz... dwa... trzy!... – energicznie odrzucić kołdrę, energicznie usiąść na brzegu łóżka, energicznie wyrzucić w górę zeszytniałe ramiona, obrócić głowę, rozmasować pierś, ziewnąć szeroko dla odpędzenia resztek snu. Wkrótce: za cztery minuty. Na razie wolno mu leżeć i gapić się w sufit pożyczony kratownicą pęknięć, z szarym zaciekiem po łazienkowej katastrofie u sąsiadów. Za oknem też szarość, zawieszona od jesiennej wilgoci. Wiatr pędzi chmury nad jezioro. W warsztacie na podwórzu charczy sprężarka. Co to było wtedy? Sen, maligna? Sen odpada, bo przecież nie spał, serce stanęło, zaskoczyło dopiero po paru minutach wskutek zabiegów doktora Samosiejki. Maligna też odpada: opisał Samosiejce szczegółowo przebieg ratowania i zgadzało się co do joty. Pierwszą ampułkę pielęgniarz w nerwach stłukł, dopiero z drugiej nabrał do strzykawki. Lewy but Pudrycego leżał pod sosną, obok zgruchotanego motoru. W karetce poszła przednia szyba. Doktor, biegnąc do ciała, zgubił swój kraciasty kaszkiet. Przy rozpinaniu kurtki zaciął się błyskawiczny zamek. Tak, tak, tak, mamrotał Samosiejka, a potem, co potem? Potem już nie wiem, odparł Pudrycy, byłem gdzie indziej. Gdzie byłeś? No, tego, takie tam... Pudrycy W. wyznawał światopogląd, którego w żaden sposób nie można było przypasować do rzeczonego przeżycia, a doktor Samosiejka, choć wyznawał odmienny, uchodził za trzeźwego realistę. Nawet ksiądz Celestyn nie kupiłby opowieści o tunelu i świetle: zbyt naiwna jak dla absolwenta wydziału teologii. Po co robić z siebie pośmiewisko? Już to, że Pudrycy opisał Samosiejce w detalach akcję ratowniczą, wzbudziło w doktorze ironiczną podejrzliwość: kierowca czy pielęgniarz, który ci to opowiadał? mnie, bracie, takimi cudami nie omamisz, trzydzieści lat reperuję ludzi... Pudrycy rozchichotał się, zrobił minę do Samosiejki, dopili koktajl salicylowy bez dalszych zakłóceń porządku świata.

Jeszcze dwie minuty. Co było, to było, nieważne. Ważne, że od wypadku Pudrycy się zmienił. Po pierwsze, nie boi się umrzeć: życie mu miłe, fakt, do

sztynnych nieśpieszno, zawszeć ciekawe, co jutro przyniesie, choć złudzeń nadmiernych dawno już nie ma, raczej pogodna melancholia pośród skromnych uciech – a to befszytk z połędwicy, a to nadprogramowa dostawa węgla do GS-u, wieczór z Jonaszem przy kieliszku, trochę śmiechu na występie Sokolika, udana nocka z Anielą, pochwała centrali, letnia kąpiel w jeziorze, ostry smak klubowego po walce ze szczupakiem, który miota się beznadziejnie na dnie łódki. Władza łechce przyjemnie, ale szczęścia nie daje. Może przyszła za późno i nie z tej strony? To jest to drugie: Pudrycemu już nie zależy tak bardzo. Na czym? Na niczym. I po trzecie, ranne zmartwychwstawanie.

Przed wypadkiem budził się jak szczygiełek: rześki, trzeźwy, pełen wigoru, sto spraw, sto planów. Prysał z łóżka niczym z katapulty, przysiady, pompki, stójka na głowie. Osiem godzin zdrowego snu. Nawet po litrze na głowę. Kac? Co to? A po wypadku zasypia z trudem, jakby się wdzierał w kleistą zawieszinę; w kauczukowy mur, który nie puszcza, odrzuca. Bęc – otrzeźwienie. Lampka, krzyżówka. Nic. Rozwydrzenie myśli, strzępki rozmów, natrętna melodyjka. Więc reladorm. I ryk budzika uwierający w mózg, tępe łamanie w kościach, głowa przylepiona do poduszki, bezwład mięśniów, bezład pod czaszką. Ani spać, ani wstać. Maż przed oczami, pod powiekami piasek, gorycz w ustach. Powietrze smrodliwe od tytoniu, zakurzone kryształły w serwantce, tłuste nimfy na leśnej polanie za szkłem piegowatym od muszego łajna. To dopiero śmierć. Gnuśna, obolała, jęcząca w każdym włóknie, rozkładająca się w mózgownicy. Trzeba siły woli, aby się z niej wywikłać, wysupłać, odplątać. A sił mało...

Pół minuty zaledwie. Trzydzieści razy po sekundzie. Punkt siódma Pudrycy musi otworzyć magazyn, rozłożyć na biurku przygotowane na dziś asygnaty, wpisać datę do księgi. Na korytarzu już czekają interesanci: po paszę, po wapno, po saletrzak, po sklejkę, po lepik, po cement, po papę, po przydział, po nadział, po skierowanie, po kwit. Dziś jak w zegarku. Może przyjadą. Nie dziś, to jutro, najdalej pojutrze. Trzy dni – góra. Niespodziewany najazd, nagła kontrola, nalot komisji. Teraz nie zwlekają, surowo jest. Znajdą cukier, dwa kilo za skoroszytami. A on im...

Już!

Postępując, odwinął kołdrę, zsunął na dywan owłosione nogi, ziewnął głośno. Zmartwychwstać najlepiej od ziewnięcia.

Mgła nad bagnem zafalowała, olchowe gałęzie zaczęły pękać z trzaskiem, potem gdzieś blisko rozległ się basowy ryk i Jonasz nie miał już wątpliwości. Złożył się, wycelował w mgłę.

Niech tylko wyjdzie, niech przynajmniej wynurzy z tumanu poroże. Głos mógłby wystarczyć, ale Jonaszowi potrzebna jest pewność, a nie ma stuprocentowej pewności dla niedowiarka, jeśli nie pomaca oczami. Lucyfera rozpozna po czubku rogów, po odcisku kopyta. Gdzie ten odcisk? Gdzie czubek? A może i bagien tu nie ma ani mgły falującej?...

Bandyta kpi z niego. Zaryczy obiecująco, nałamie gałązek, pluśnie błockiem, mgłą zawiruje – i pójdzie. Wyczuwa starego diabelskim zmysłem. Wyczuwa kule specjalne w obu lufach, odlane z cynowej menory, którą Jonasz wygrzebał w ruinach synagogi. Strzelić na słuch? Ryzyko. Moczary pochłoną cielsko i Jonasz nie dowie się nigdy, czy ubił gada. Przypadkowego zwierzaka nie chciałby trafić. Pomyłka zawsze możliwa. A przypadkowego zabójstwa nigdy by sobie nie wybaczył, bo utraciłby prawo do rozrachunku z Lucyferem.

Echo basowego ryku dobiegło raz jeszcze z oddalenia, niczym śmiech szyderczy. Bydlak jakby wsiąkł w trzęsawiska, po raz tysięczny umknął staremu, żegnając go dudniącą kpina. Jonasz rozładował broń, schował do torby dwie specjalne kule. Mgła przerzedziła się, ostro zapachniało próchnem, między sosnami zasiniał płat jeziora. Stary poczuł w kościach gryzący osad wilgoci, zatęsknił za pościelą. Ruszył wolno w powrotną drogę. Idąc przecinką leśną w kierunku szosy, nie pamiętał już o potworze z bagien, ponieważ nad drzewami pęcznieć zaczęła pomarańczowa tarcza, wymazując niebieskawą szarość, a wraz z nią nocne myśli Jonasza, jego mroczny gniew i pożądanie zemsty. Stawał się na powrót wesołym starcem o stu dziwactwach, zielarzem i alchemikiem, znawcą gwiazd i kobiet. Wiecznym Żydem według Parhonia i numerem w opinii Komendanta: „Z was, Jonasz, lepszy numer jest, znam ja takich, co im oko błyszczy niczym sroce do butelki”. Że do butelki, to fakt. W swojej wiekowej chałupie na skraju

miasteczka – dwóchsetletniej chyba albo starszej jeszcze, szerniałej i pomarszczonej jak gęba samego Jonasza, wbrew przepisom krytej słomianą strzechą – w owej skurczonej od starości chacie, która szła już do ziemi, zaryta w piach aż po okna, warzył stary nalewki gwiazdne, pikantne orionówki, andromedzianki, wenusy słodkie i wytrawne, marsy ziołowe i jowisze na uranach, od których gościom Jonasza jaśniało w oczach, a pod pachami figlowały krasnoludki. Wybierał w myśli, czego by łyknąć przed snem. Kiedy przekroczył próg, był już zdecydowany: kieliszek likieru saturnowego na spanie głębokie, lecz krótkie, aby w porę zdążyć jeszcze do masarni po odpady dla kotów. Trzeba do południa. Potem ani skraweczka nie zostanie – ludzie wszystko rozdrapią po dobroci magazyniera Pudrycego.

Łyknąć jednak nie zdążył. W głębi izby, na ławie obok pieca, zobaczył drzemającą Anielkę. Przysnęła, czekając na niego. Nie obudziło jej ani skrzypnięcie drzwi, ani promienie słoneczne, które wdarły się hurmem przez okno od wschodu, baraszkując po półkach wzdłuż ścian, gdzie Jonasz zgromadził stare menory, kielichy rytualne z gwiazdą Dawida, wypłowiałe tałesy, oprawne w wybrzuszoną skórę Talmudy i Tory – wszystko, co ocalało ze spalonej synagogi. Miodowe włosy Anielki spływały wzdłuż pieca, jakby je wywiesiła do suszenia. Pod ławą drzemały dwa rude koty.

– Niech będzie pochwalony, krasawico – powiedział półgłosem Jonasz. – Marnujesz swoje ciepło, rozgrzałabyś mi lepiej stare gnaty.

Anielka uniosła powieki i popatrzyła ze zdziwieniem, bezradnie. Pewno wracała z daleka. Poznała Jonasza, uśmiechnęła się do niego.

– Sokolik to taki jest, że nie da się zdrzemnąć do samego ranka – powiedziała. – Zmorzyło mnie.

Różowa żorżetowa bluzka pełna była piersi, nieskrępowanych stanikiem, stłoczonych w niedopiętym dekolcie. Jonasz zerknął, oblizał się; siadł w wytartym pluszowym fotelu, wyprostował nogi, ściągnął, postępując, ubłocone buciska.

– Co ci się śniło? – zapytał.

– Ciągłe to samo. – Rumianą twarz Anielki ogarnął zawstydzony uśmiech, ryjąc dołki w policzkach i brodzie. – Maluchy. Pełen dom maluchów... Ale

krzyku było! Takiej, wie pan, wesołości...

– Wiem. – Jonasz wyszczerzył zdrowe, rzadko rozstawione zęby z żółtym nalotem od tytoniu. – Rodzić powinnaś. Z takimi biodrami!

– Rodzić każda suka potrafi. Maluchom potrzebni ojcowie. Ja właśnie po to, panie Jonasz... Chininę brałam, nie pomogło.

Jonasz zdjął kurtkę, potem koszulę i przemoczone powyżej kolan spodnie. Anielka bez skrupowania oglądała jego żylaste muskularne ciało, brunatne, bez fałdki tłuszczu. Został w krótkich gaciach. Przeciągnął się, ziewnął:

– niesprawiedliwość, Anielka. Rodzą się różne pokraki, przykurcze, kurdupelki, a ty byś na świat wydała mołojców. Grzech marnować dar boży.

– Potrzebni ojcowie.

– Już ci mówiłem, że mogę być dla nich ojcem. Dam nazwisko każdemu, którego powijesz. Niech będzie w Krasnogaju choćby i tuzin Hoffów.

– Pan nie pożyje długo – powiedziała Anielka. – Stary pan jest.

Jonasz podszedł do Anielki, leciutko uszczypnął ją w policzek zrogowaciałymi paluchami:

– Nie stary, tylko urodzony dawno temu. Różnica, dziecino. Celestyn jest stary, Parhoń dziadyga, Pudrycy przeżył nawet własną śmierć. Ale ja dopiero żyć zaczynam. Jeszcze pożyję, ha, ha!

– Aż pan ustrzeli Lucyfera?

Śmiech Jonasza zgasł jak zdmuchnięty przeciągiem. Poczłapał do sieni, uniósł piwniczną klapę, zlaźł po drabinie na dół, przyświecając sobie latarką. Wrócił do izby z parą zakurzonych flaszek. Jedną musztardówkę nappełnił płynem rubinowym, drugą seledynem i ten seledyn pchnął po stole w kierunku Anielki:

– Do dna. Powinno ci pomóc.

Anielka posłusznie, szybkimi łyżkami opróżniła musztardówkę.

– Mocne!... – sapnęła. – Już mi się w głowie kręci.

– Ustrzelę Lucyfera. – Jonasz cedził nieśpiesznie swój przezroczysty rubin, wpatrując się nieruchomo w dębową czerń stołu. – Któregoś dnia dwie kule między rogi. A wtedy wszystkie dni poprzedzające ułożą się w drogę do celu i każda minuta życia będzie miała swoje wytłumaczenie.

– Śmieją się z pana.

Jonasz znowu napełnił musztardówkę, pchnął seledyn ku Anielce, łyknął swego rubinu.

– Ich minuty nie złożą się w całość – powiedział. – Osobno piją, osobno dupczą, osobno kombinują, żeby do jutra. Nie rozumieją gwiazd. Dlaczego, na przykład, Droga Mleczna. Próbowalaś pojąć?

– Jest, bo jest. – Anielka uśmiechnęła się bezradnie, końcówkę uśmiechu skryła w musztardówce, łykając łakomie gęsty seledynowy likier o zapachu macierzanki.

– Wzór nam dano, żebyśmy mogli przejrzeć się jak w lustrze. Pęd, wirowanie, wpływ wzajemny pól grawitacyjnych, cykle śmierci i narodzin. A w tym wszystkim ład. My wewnątrz. Dlaczego u siebie nie dochodzimy do ładu? Natura może się zirytować na maruderów, szkodników.

– Co wtedy? – zapytała sennie Anielka.

Jonasz wykonał półobrót, wskazując na półkę, gdzie obok siebie stały trzy grube księgi w pergaminowych wyblakłych oprawach: Talmud, Koran, Biblia.

– Tam są pytania i odpowiedzi, wszędzie ta sama. Przepowiednie mędrców nie są do śmiechu, ale coś trzeba robić.

– Pan nic nie robi.

Jonasz dźwignął się zza stołu. Jego tors pokryty był gęsią skórą. Ruszył w stronę łóżka, wsunął się pod pierzynę.

– Zimno mi jest – powiedział. – Mało spałem tej nocy.

– Ja wcale nie spałam. Ten świntuch Sokolik...

– Chodź do mnie. We dwoje łatwiej się zagrzać.

– Pan bardzo chce?

– Bardzo – przytaknął Jonasz.

Przez szczeliny zmrużonych powiek obserwował, jak Anielka rozpinając bluzkę, potem zdejmując spódnicę i majtki, a na końcu rozczłapane pantofle na niskim obcasie. Odsunął się, żeby zrobić jej miejsce. Kiedy legła przy nim, wsunął dłoń między gorące uda i fale ciepła popłynęły od ciała do ciała, przywołując senność. Przed zaśnięciem Jonasz zdążył jeszcze pomyśleć, że legendę o wampirach na pewno wymyślili starcy.

Pudrycy W. wszedł do magazynu punktualnie o siódmej. Pięć po siódmej przyjął pierwszego interesanta, którym okazał się Hubert Molko, najbardziej pechowy gospodarz w gminie, kowal, murarz, drwal, cieśla i hydraulik, słynący z niewykończonych obór, stodół w rozsypce i parkanów biegnących donikąd, człowiek o trzech pasjach: zaliczki, denaturat, kłusowanie. Mówiono o nim, że nie musi śpieszyć się do żniw, bo na jego polu kłós nie widzi kłosa, a krowa, jeśli nie wejdzie w szkodę, daje tyle mleka, co kot nasikał; mówiono również, że po literku denaturki bierze się do wideł i rusza w lasy szukać Cyganów, z którymi trzydzieści lat temu uciekła jego żona. Tylko dlaczego nazywa Cyganami mundurowych Komendanta?

Pudrycy wskazał Hubertowi krzesło, ale olbrzym odmówił, barkiem oparł się o futrynę drzwi, głos zniżył do grzmiącego szeptu:

– Hulają po gminach, panie prezesie...

Pudrycy nie lubił, gdy po starej pamięci nazywano go prezesem, nie mógł jednak przełamać w klientach dawnego nawyku.

– Kto hula? – spytał.

– Ci.

– Niech. Co nas to obchodzi.

– Ja po przyjaźni. Wczoraj byli w Białopolu. Z milicją.

– Byli, to byli – powiedział obojętnie Pudrycy.

– Eternit dowieźli?

– Już rozdzielony. Lista u naczelnika.

Hubert Molko wsparł się piętami o blat biurka i zaczął tłumaczyć Pudrycemu, że eternit potrzebny mu jest do pokrycia domu Sokolika, który jako artysta ma przywileje zapisane w rządowym dokumencie, a dach mu cieknie niczym durszlak i gość ma mokro w łóżku.

– Jaki gość? – zainteresował się Pudrycy.

– Ten sam... – ryknął poufnie Molko. – Co w tamtym roku. Pan Orno.

– Już go wypuścili?

– Prawie wszystkich wypuścili... – Hubert sapnął, objął łapą brodę. – Znowu będzie zawierucha. A mnie długu nie chcą w gminie umorzyć, taka sprawiedliwość.

Pudrycy przypomniał sobie łączkę nad jeziorem, wiadro piwa beczkowego,

które przydzwigał Jonasz, kuplety Sokolika pod gitarę:

Młotek w sierpnie, żołdat pruski,  
Wyjdziem przy nim na naguski,  
Capnie towar, przyśle buble,  
Dolarami płać za wróble...

...i Lecha Macieja Orno, ascetycznego okularnika w kurteczce o chińskim kroju zapiętej pod szyję, grosza by człowiek za takiego nie dał, chucherko, milczek, buzia w ciup; dopiero po trzecim garnuszku piwa buzię otworzył, ale jak już otworzył – poleciało: „totalitaryzm”, „dyktatura”, „wrogowie narodu”, „obca władza”, „powstanie ludowe”, „bój ich ostatni”. Jonasz przytakiwał, cedząc piwko, a potem zapytał, co zamiast, i usłyszeliśmy, że „władza ludu”, „wolność, równość, sprawiedliwość”, „prawdziwa demokracja”, „suwerenna niezawisłość”, „likwidacja wojska i policji”. A co z Żydami? – zapytał Jonasz, dopijając swoje piwko. Pan jest Żydem? Nie. To o co chodzi? O nic, tak pytam. Żydów u nas już nie ma, ten problem nie istnieje. Problem istnieje – powiedział Jonasz, napełniwszy sobie garnuszek świeżą porcją piwa – kiedy zabrakło starozakonnych, wszyscy stajemy się Żydami i trzeba koniecznie kogoś ukrzyżować, najlepiej własny naród przybić do krzyża hufnalami, nie uważa łaskawca? Pan, przepraszam, plecie androny. Atrakcyjność męczeństwa, trzeba ją docenić, to teraz modne, łaskawco: dawniej palono czarownice, dziś ludzie sami się podpalają za pomocą kanistra z benzyną, jak dotąd pojedyncze egzemplarze w różnych kątach świata, ale żeby tak cały naród – to byłby fajerwerk! Nie rozumiem pana – mruknął oschle Lech Orno – cóż za absurd. Absurdem, łaskawco, jest wywoływanie trzęsienia ziemi, żeby zamienić siekierkę na kijek – powiedział Jonasz, obciągając piwo z garnuszka – przy czym siekierka o tyle jest lepsza niż kijek, że z jej pomocą da się jeszcze coś ociosać, a kijkiem co najwyżej można sprawić komuś lanie. Niektórym trzeba sprawić. Jak nas pan już podzielił na ofiary i oprawców, uprzejmie proszę o kryteria: dobrzy złych, źli dobrych czy piegowaci garbusów? Za pozwoleniem... Za pozwoleniem! – w raptownym gniewie przerwał mu Jonasz. – Kto tu jest Żydem, pan czy ja?! Ratunkiem w diasporze jest

wierność zasadom! O jakiej diasporze pan mówi? – zapytał cokolwiek bezradnie Lech Maciej Orno. O naszej, wszechludzkiej – odparł łagodnie Jonasz i mruknął do Pudrycego, jakby go miał za współnika – wędrujemy w rozproszeniu, szkodząc sobie wzajemnie, do oczu skacząc i kopiąc po kostkach, a cel jest obok, starczy ręką sięgnąć; co z nas za Żydzi, łaskawco? gdzie poczucie wspólnoty losu? jak zabiegać o zbawienie, które jest daleko przed nami, za siódmą rzeką godności, kiedy pan podburza do burzenia, aby potem zbudować to samo? Orno rozpiął pod szyją chińską kurteczkę, choć od jeziora ciągnął chłodny wiaterek. Pan nie rozumie istoty słusznego protestu – powiedział do Jonasza. Istotą słusznego protestu jest nie godzić się na samego siebie – odparł Jonasz, pokazując w uśmiechu żółtawe zęby – na własną małość i słabość, zawistność i pazerność; tacy z nas Żydzi, łaskawco, jak z krowiej dupy saksofon... Niech go pan nie słucha – wtrącił się do rozmowy Sokolik, kładąc opiekuńczą dłoń na ramieniu Lecha Macieja – cokolwiek powie, zawsze musi zakończyć dupą i saksofonem. Orno jednak nie ustępował. Przysunął się do Jonasza, surowo zajrzał mu w oczy: Jakim prawem twierdzi pan, że podburzam do burzenia, aby potem zbudować to samo? Bo tak stoi w gwiazdach – odparł Jonasz, wysysając resztkę piwa z garnuszka i z żalem patrząc na opróżnione wiadro – świat nie szkapa, nie popędzisz knutem, zmiana wymaga dojrzałości – pana, mojej, całej kurewskiej reszty; jeszcze nie dojrzeliliśmy, żeby spaść. Wyczytał pan to w gwiazdach? W gwiazdach, łaskawco. Z astrologiem nie będę się spierał – powiedział Lech Maciej, uśmiechając się ironicznie – podobno poluje pan na Lucyfera... Od Lucyfera się odpieprz! Przepraszam, przepraszam...

Pudrycy przypomniał sobie tę scenę w jednej chwili, jak również to, że Jonasz zaimponował mu wtedy śmiałością: spór z Orną, który stał wówczas na czele masowego ruchu i z samym rządem prowadził pertraktacje jak z równym równiejszy, był aktem odwagi. Ponadto w owym czasie, a więc jeszcze przed wypadkiem, Pudrycy z Jonaszem zgadzał się niezupełnie. Słuszny protest w GS-ie miał konkretne podstawy i wiceprezes Pudrycy W. poparł żądanie załogi na masówce ze szczerym przekonaniem, ku zaskoczeniu prezesa Góralczyka, który zarzucił mu później, w cztery oczy, schlebienie masom dla osiągnięcia służbowych korzyści. Czy miał choć

trochę racji? No, ociupinkę? Postulaty załogi dotyczyły ujawnienia machlojek w masarni, szwindlu w rozdziale węgla, prawdy o dystrybucji materiałów budowlanych w gminie, praw człowieka, wolności, zniesienia cenzury i ułożenia po nowemu stosunków z sąsiadami. Ma nie być cenzury? – zapytał Pudrycego prezes. Dla faszystów, powiedzmy? Takiej chcesz wolności, takich praw człowieka? Z rozdziałem węgla był szwindel? Ale machlojki w masarni miały miejsce! – zaripostował stanowczo Pudrycy. Z dystrybucją cementu też były... – powiedział znacząco Góralczyk, patrząc w oczy Pudrycemu.

I ta dziura w głowie po miesiącu, różowe grudki na politurze.

– Sprawiedliwość znajdziesz na tamtym świecie – mruknął Pudrycy W. do Huberta Molki.

– Pan wie, boś pan raz już nie żył – odmruknął z uśmiechem Molko.

Pudrycy spławił go. Z następnymi interesantami poszło szybciej, sprawy były proste: jest – nie ma. Kiedy załatwiał ostatniego, przed GS-em zatrzymała się czarna wołga i Pudrycy mimo woli odetchnął, poprawił się na krześle, przyglądał kolumnę asygnat. Zerk-

nął w okno: z wołgi wysiadł dyrektor masarni, wetknął kierowcy paczuszkę – schabowe? flaczki? – i energicznym krokiem wszedł do budynku.

Brzęknął telefon.

– Prezes pana prosi – skrzypnął głos sekretarki.

Pudrycy zlustrował swój kantorek, opróżnił popielniczkę do kub-  
ła, wyrównał na półce szereg skoroszytów. Potem zamknął magazyn długim patentowym kluczem i ruszył na piętro do prezesa.

Prezes przyjął go na stojąco. Kiedy Kowalski stał, znaczyło to, że sprawa jest i ważna, i poufna. Przez osiem miesięcy Pudrycy zdążył przyjrzeć się szefowi od zewnątrz i od wewnątrz, poznać złożony charakter przełożonego, pozornie rogaty, demonstracyjnie niezależny, atoli ze szczelinkami człowieczeństwa, które biorą się ze słabości: do jałowcówki z sokiem pomarańczowym (tylko po pracy, najchętniej w piątki przed wolną sobotą), do głośnej sympatii podwładnych opartej na uznaniu dla fachowości szefa i rzetelności jego charakteru, do odgadywania prezesowych intencji bez pytania o dyspozycje i do dyskretnych blondynek, które nie sprawiają

kłopotu. Jeżeli idzie o blondynki, Pudrycy mógł z czystym sumieniem zaaranżować w swojej garsonierze przypadkowe spotkanie prezesa z Anielką przy szklaneczce jałowcówki z sokiem pomarańczowym i po godzinie wspólnego biesiadowania wymknąć się cichcem na długi spacer. Manifestacja uznania też nie była problemem: wystarczyło komu trzeba napomknąć tu i ówdzie. Trudniej szło z odgadywaniem intencji, albowiem prezes czasami mówił to, co myślał, czasami nie, a zdarzało się, że mówił ni to, ni tamto – bądź na odwrót. Potknięcia były nieuchronne. Pudrycy nauczył się jednak wyrównywać krok po potknięciu, nawet z dziarskim zaśpiewem, jakby chodziło o rozmyślny przytup. Kowalski cenił go za to. Był z zawodu nauczycielem, podobnie jak sekretarz i naczelnik (w Krasnogaju szeptano o mafii nauczycielskiej), miał ambicje wychowawcze i współpracownikom zapewne stawiał w duchu stopnie ze sprawowania.

Pierwsze pytania prezesa dotyczyły spraw ogólnych: wczorajszych wyników skupu, chodliwości pasz, awarii w tartaku. Wyjaśnień Pudrycego słuchał nieuważnie, więc magazynier sprawę tartaku dyskretnie pominął. Kowalski patrzył na falującą firankę.

– Bednarczyk dzwonił – odezwał się nagle. – Wiecie, ten z centrali.

Pudrycy również przystąpił do lustrowania firanki, z którą figlował poranny wiaterek od jeziora.

– Z połędwicą jest kłopot... – poinformował firankę.

– Nie to. Blacha cynkowana.

– Nie mamy ani arkusza.

– A gdybyśmy mieli, to co? – zapytał gniewnie prezes. – Mało własnych potrzeb? Jutro będzie dostawa, nędznych dwieście arkuszy na całą gminę, przydział kwartalny.

– Ile trzeba Bednarczykowi?

– Dwieście arkuszy. Powiedziałem mu, że nie te czasy. Będzie do was telefonował, nie chcę więcej o tym słyszeć.

– Rozumiem.

– Co rozumiecie?

– Mamy górę podań. Musi być praworządnie i sprawiedliwie. Nie będziemy za Bednarczyka nadstawiać głowy przed radą nadzorczą.

Prezes przytaknął i z ulgą rozsiadł się za biurkiem. Pudrycy opuścił gabinet. Chciał wrócić do siebie, ale rozmyślił się, wyszedł przed budynek w oślepiającą pożogę słoneczną, postął chwilę, odpowiadając na pozdrowienia przechodniów. Światło w tunelu było chyba mocniejsze, a jednak nie oślepiało. Dlaczego kazano mu żyć dalej? Zapewne każdy człowiek ma przydzielony do wykonania fragment ogólnego programu i dopiero potem wolno mu się pławić w rozkosznej jasności, która nie oślepia. Od czasu do czasu program ulega generalnej zmianie. Wtedy są wojny światowe, masowe rzezie, kataklizmy: likwiduje się uprzednio zaprogramowanych, pozostawiając przy życiu tylko tych, których rola da się wpisać w nowe zadania. Bednarczyk ma spore wpływy w centrali, ale Komendant, włączony świeżo do rady nadzorczej, czeka tylko, żeby capnąć. „Jestem za porządkiem i nienawidzę anarchii – powiedział niedawno Pudrycemu – ale rebelia ma swój plus: przypomina władzy, gdzie jej miejsce; jakbym dopadł za kierownicą po pijaku towarzysza naczelnika, mam dziś prawo go zapudłować, niczym dorsza w słoju, i to jest prawdziwy porządek, więc uważaj, Pudrycy”. Na co Pudrycy odparł z uśmiechem, że szanował zawsze i szanuje nadal Komendanta: gdyby to zależało od niego, Komendant nie byłby sierżantem sztabowym, tylko porucznikiem, a może już kapitanem, co mu się słusznie należy za nieprzekupną prostotę myślenia i milicyjne dziewictwo. Komendantowi replika Pudrycego nie przypadła do gustu. Co to znaczy milicyjne dziewictwo? A no, Komendancie, znaczy, że nigdy nie wziąłeś w łapę za odpuszczenie bezceństwa, co najwyżej uległeś rozkazowi z góry. Rozkazom, Pudrycy, nie ulega się, rozkazy się wykonuje! Przepraszam, Komendancie, święta racja: gdyby każdy sierżant sztabowy filozofował na własną rękę, mielibyśmy w gminach nie porządek, ale burdel. Otóż to, Pudrycy; w ramach zwalczania burdelu chciałbym się dowiedzieć, co robiliście wczoraj z Anielką... Nie chichocz obleśnie! Co robiliście wczoraj z Anielką w domu Sokolika. Popijaliśmy wino z jabłek, sikacz niesłychany, Sokolikowi należy się patent na produkcję octu. Nie o to pytam, Pudrycy; ty dobrze wiesz, o co pytam, nie udawaj mi Greka w wannie, u Sokolika ciągle knuje się przeciwko władzy. Miał rację bez wątpienia. Pudrycy przypomniał sobie najnowszy kuplet Sokolika:

Nie pożałujemy batów  
Internistom z internatów –  
Brata bat  
Na kata gnat!

i rażną przygrywkę na gitarze, znaczące przymrużenie oka, konspiracyjny uśmieszek, ty się zdeklaruj, Pudrycy, chodzisz do mnie, ale tamtym służysz, na dwóch stołkach siedząc, można dupę rozerwać... Szkoda, że nie było Jonasza, ten znalazłby celną odpowiedź, Pudrycy wymamrotał tylko, że rozumie, ale nie podziela, czas już jest inny, nową talią gra leci, z historii wiadomo, jak się kończą takie szaleństwa: głód, smród i ubóstwo, pobojowisko naiwnych, a świata nie poprawisz, boś za krótki. Po co świat poprawiać? – zapytała Anielka. Byle się ludzie kochali, ja jestem za miłością. Sokolik dał im wtedy bibułę do czytania, spod siennika wyciągnął, ale już pierwsze zdanie obudziło niesmak w Pudrycym, tyle w nim było jadu, że szkołę gminną można by wytruć. A po tamtej stronie taka cudowna jasność, przypomniał sobie z nagłą tęsknotą. Obiecał Sokolikowi, że się rozejrzy za sklejką, wapno wypisze mu jutro, niech zajrzy rankiem do magazynu.

Za bezdurno winem cię poił? Nie za bezdurno – odpowiedział Komendantowi – potrzebne mu wapno i sklejka. Dałeś? Sklejki nie ma, wapno każdy może kupić. Ja bym takich jak Sokolik do robót publicznych zagnał, drogi reperować! A dokąd te drogi? Jak to, dokąd?...

Pudrycy ruszył przed siebie, jeszcze rozbawiony wspomnieniem ogłupiałej miny Komendanta, ale trzeźwiejąc szybko w słonecznym blasku, którego nie mógł przytłumić kurz, wzniecany przez ciężarówki. Jesień była upalna, bez deszczu. Przed skupem stały dwie furmanki, na każdej po parę worków zboża. Sprzedasz zboże – kupisz węgiel. Po co węgiel, kiedy w lasach wiatrołomy? Leśniczemu w garść i z głowy zima. Co innego, gdyby gumki, akumulator do ciągnika, skórzany płaszcz, komplet opon. Żałownie ze skupem, ale to jest problem prezesa, naczelnika, sekretarza. Magazynier Pudrycy W. już się może o to nie turbować, dobry los wyłączył go z kierownictwa! Niezbadane są zamysły losu: człowiek drży, kombinuje, zapiera się jak osioł, a figlarny los wcale go nie zamierza dołować, tylko

smaruje mu bułkę masłem. I nie wykiwasz, nie zwiedzisz. Jeśli w planie bułka z masłem, wybij sobie z głowy order na wstędze. Co miał na myśli prezes, informując Pudrycego o telefonie Bednarczyka? Na przykład: „Spław go, ale beze mnie”. Albo: „Ugłaskaj, obiecaj, zachachmęć, lepiej mu nie podpadać”. Bądź: „Ustaw sprawę, że chcieliśmy, ale nie wyszło”. Wreszcie: „Nic nie chcę o tym wiedzieć”. I nie będziesz wiedział, pomyślał z satysfakcją Pudrycy, twoja wiedza kończy się w sekretariacie, z niej się spowiadasz w centrali i przed egzekutywą. Góralczyk wiedział za dużo i palnął sobie w łeb. Żeby właściwie żyć, trzeba na chwilę umrzeć. Gra się potem swoją rolę w scenariuszu cokolwiek improwizowanym, ale w zgodzie z ogólną dramaturgią i z własnym charakterem. A dni i tak będą podobne do siebie. A na końcu, czyś mądry, czy głupi, czeka cię tunel z Rozkoszną Światłością u wylotu, cudowny bezkres poza wymiarami i sympatyczni zmarli w kolejnej egzystencji.

Skręcił do parku. Była to kępa kasztanów i sosen, zieloną smugą łącząca kościół z jeziorem, przecięta aleją z ławeczkami. Świeżo pobielony kościół iskrzyście jaśniał w słońcu. Pudrycy chciał go obejść z prawej, aby najkrótszą drogą dotrzeć do sklepiku Anieli.

– Niech będzie pochwalony – usłyszał.

Zatrzymał się; ksiądz Celestyn truchtał w jego kierunku, różowy i uśmiechnięty, wachlując się czarnym kapeluszem. Mówiło się w Krasnogaju, że sto lat skończył zaraz po wojnie, drugiej albo pierwszej światowej, brał udział w dwóch narodowych powstaniach i był kapelanem w Legionach Piłsudskiego. Po przekroczeniu setki człowiek już się nie starzeje, tylko usycha powolutku, ksiądz Celestyn był jednak zaprzeczeniem tej konstatacji: rumiany, bujnowłosy, ruchliwy jak karaluzek, pełen śmiechliwej żywotności.

– Na wieki wieków – odpowiedział Pudrycy.

Ksiądz Celestyn ułapił go za łokieć i pociągnął na ławkę.

– Gorąco, Pudrycy, takiego wrzeźnia nawet ja nie pamiętam, chyba że w tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym, ale wtenczas noce były chłodne, kilka razy deszczyk popadał, a tu ani kropli od miesiąca.

– Ani, ani – zgodził się magazynier.

– Dawno nie byłeś u mnie.  
– Od zmartwychwstania.  
– Błuźnisz, synu! Tylko Pan nasz Jezus Chrystus zmartwychwstał. Od wypadku nie pokazałeś się w kościele. Żle czynisz.

Pudrycy nie mógł wytłumaczyć księdzu Celestynowi, dlaczego po wypadku nie zajrzał ani razu do kościoła. Musiałby mu wyznać, że to, co przeżył na szosie, sprawiło, iż posiadał pewność, a do kościoła ludzie idą po nadzieję: kto raz umarł, nie musi szukać pociechy.

– Rur ciągle nie ma – powiedział. – Może będą w czwartym kwartale.  
– A przecież były rury – powiedział ksiądz Celestyn. – Ocynkowane w środku, takie, jakich mi trzeba do plebanii. Unikasz świątyni, synu, albowiem masz nieczyste sumienie.

– Tamte rury zabrał PGR. Na polecenie naczelnika. Po robocie ludziom należy się prysznic.

– Ludziom dużo się należy... – powiedział w zadumie ksiądz Celestyn. – Pysznicami nie załatwicie... – Zawiesił głos, z ukosa popatrzył na Pudrycego: – A ja od roku proszę.

– Polecenie naczelnika mam obowiązek wykonać. Dlaczego ksiądz nie porozmawia z naczelnikiem? Powinien się odwdziżyć.

Pudrycy miał na myśli ów słotny dzień przed rokiem, gdy w Krasnogaju pojawiły się plakaty wzywające mieszkańców do niedzielnej demonstracji i wiecu, na którym zażąda się ustąpienia władz gminnych, otwarcia magazynów z żywnością, usunięcia pomnika sprzed urzędu gminy i wypuszczenia czterech ludzi zatrzymanych onegdaj przez Komendanta. „Cała władza w ręce ludu!” Na porannej mszy w niedzielę ksiądz Celestyn roztoczył najpierw przed wiernymi wizję władzy ludu, mianując wszystkich obecnych naczelnikami gminy, potem objaśnił obrazowo, czego początkiem jest obalenie pomników, wtargnięcie do magazynów żywnościowych i uwolnienie z kryminału facetów, którzy się pociachali nożami przed miejscową gospodą i jeszcze próbowali zaciukać interweniujących milicjantów. Świata, kochani, nie poprawicie przemocą, wejrzyjcie pierwszej w samych siebie, a jak wypatrzyicie krzywą gębę głupoty, nienawistnego zacierzwienia – won z nią! Godność jest powściągliwa, mądrość spokojna,

uczciwość rozważna. Kto pójdzie rozrabiać na plac, tego za próg domu Bożego nie puszcę, rozumiano! Boże, coś Polskę... I nie było wiecu, ku rozgoryczeniu Sokolika, który zajechał na plac swoją zakatarzoną syrenką w towarzystwie Lecha Macieja Orno i dwóch młodzieńców w podkoszulkach z biało-czerwonym napisem. Z takim narodem nic się nie da zrobić – powiedział Sokolik nazajutrz do Pudrycego – tchórz głupca pogania, czekają na gotowe, aż im stoczniovcy z górnikami lepsze życie na talerzyku podadzą. Ksiądz Celestyn uważa inaczej – odpowiedział Pudrycy, który uczestniczył w mszy niedzielnej. On jest niedzisiejszy! – warknął Sokolik. Wychował się pod zaborami, a czym skorupka za młodu, tym na starość... Stetryczały ramol! Po czym wygłosił pogadankę o religii jako opium dla ludu i Pudrycy przypomniał sobie, że już ją słyszał z ust Sokolika bodaj przed ćwierćwieczem, kiedy Sokolik był powiatowym aktywistą i młodzieżowcem wiejskim.

– Ciebie proszę o rury – powiedział ksiądz Celestyn. – O wdzięczność nie zabiegam, bom dla naczelnika niczego nie uczynił, jeno dla dobra wiernych. Za rury sowicie zapłacę.

Spojrzał na Pudrycego obiecująco, lecz magazynier tylko westchnął, rozłożył ręce.

– Nie ma rur. Ściśła reglamentacja. Musi ksiądz pogadać z naczelnikiem, podanko złożyć.

– Grzeszny jestem, że tak żyję i żyję. – Ksiądz Celestyn westchnął, jego pucołowata twarzyczka na chwilę posmutniała. – Za dużo rozumiem. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym pojechałem z Petersburga do Paryża koleją żelazną i na każdej stacji kelnerzy oferowali astrachański kawior z croissantami. W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim na trasie ze Lwowa do Madagaskaru było już znacznie gorzej: raz suchary z odciągającym mlekiem, raz żylasty kotlet z koniny, a najczęściej chińska herbata bez cukru.

– Co ksiądz robił na Madagaskarze? – zapytał Pudrycy.

– Byłem misjonarzem. Chcieliśmy ubiec starozakonnych i uczyniliśmy błąd, należało pozwolić, żeby się tam osiedlili. Teraz jest problem. Ale nie ten problem należy do najgroźniejszych. Rur brakuje, ponieważ robi się

stelaże do ракет międzykontynentalnych. Wyrzekłbym się wodociągu na plebanii, gdyby te rakiety były przeznaczone do wystrzeliwania nadwyżek holenderskiego masła na Kambodżę, ale jest inaczej i wolałbym tego nie dożyć.

– Czego, ojcze?

– Biją dwa zegary. Wahadła jeszcze się oddalają, osiągną jednak punkt krytyczny i poczną się zbliżać, a wtedy zderzenie jest nieuchronne. Niebiańscy woźni sprzątają już salę Sądu Ostatecznego. Módlmy się, synu.

Pudrycy pławił się w słonecznym ciepełku, które dodawało mocy reumatycznym kościom i tłumilo ćmienie pooperacyjnych blizn. Nie pierwszy raz nachodziła go ochota, aby opowiedzieć księdzu Celestynowi o przygodzie ze Światłością, ale poskromił ją. Przeżycie pośmiertne nie pasowało do doktryny. W odczuciu księdza Celestyna byłaby to świętokradcza pycha: co z ciebie za wybraniec, Pudrycy, jakąż to misję masz do spełnienia, że odesłano cię z powrotem? Żona ci zmarła w połogu, dzieci na odchówku nie posiadasz, przyjaciół bliskich także, magazynierem jesteś najprzeciętniejszym w GS-ie, nawet nie dysponentem, ale wykonawcą woli przełożonych swoich, wódeczkę popijasz, chodzisz do Anielki, kradzione szczupaki kupujesz od kłusowników, władzom próbujesz się przypodobać; gdzie w tobie świętość, chęć służenia ludziom, pragnienie ofiary? Pudrycy musiałby przyznać rację księdzu Celestynowi i równocześnie zaprotestować: choć nic w nim ze świętego, to jednak fakt miał miejsce, a intencje Rozkosznej Światłości są niezbadane.

– Będę pamiętał o rurach – powiedział. – Niech ksiądz złoży zapotrzebowanie do prezesa spółdzielni. Spróbuję to sam załatwić z naczelnikiem.

Ksiądz Celestyn kiwnął siwą główką. Jego też na wskroś przeniknęło słoneczne ciepełko, coraz leniwiej wachlował się kapeluszem.

– Dziękuję ci, synu – odparł sennie. – Tyle się nażyłem, namyślałem i wciąż pojąć nie mogę, czemu człowiek się wstydzi własnej dobroci, jakby to był najpaskudniejszy z grzechów. Przecie wiem, że mi wytrząsniesz te rury ocynkowane w środku choćby spod ziemi.

Podpuszcza, chytrus, pomyślał z rozbawieniem Pudrycy, ospale dźwigając

się z ławeczki, nie ma dobroci w ludziach, tylko naiwne cwaniactwo, cichutka kalkulacja, żeby wyjść na swoje, a że głupi są, więc im rzadko wychodzi i dlatego od czasu do czasu robią z rozpaczy rebelie albo klęczą po kruchtach.

– Pomyślmy – przyrzekł i ruszył wolniutko przed siebie, obchodząc kościół z prawej strony wąską żwirową ścieżką, która prowadziła do kolonii parterowych domków pomalowanych na jasny orzech. W narożnym, krytym poczerńiałą dachówką, mieściła się mydlarnia Anielki.

Była otwarta. Anielka szydełkowała za ladą. Na półkach, ułożone w piramidy, piętrzyły się mydelniczki z różowego plastiku i pudła pasty do podłóg. Pachniało naftą. Pudrycy uśmiechnął się do Anielki, a ona odpowiedziała mu swoim sennym, dziecinnie kuszącym uśmiechem. Nawet w niebieskim satynowym fartuchu było jej do twarzy: oczy ciemne, wielkie jak spodki, ocienione gęstwiną długich, podwiniętych do góry rzęs, wargi rozchylone i pulchne, do całowania. Pora wyjść za mąż, pomyślał Pudrycy, ale za dobra dla chłopów, do żeniaczki trudno będzie o chętnego. A gdybym ja ożenił się z Anielką? Może głos Jasności to miał na uwadze, nakazując mi powrót? Miałbym obiady domowe, koszule wyprasowane bez fałd, wypucowaną do blasku podłogę i ciepło w łóżku. To ciepło jest do rozważenia, nawet za cenę prześmiewek szwagrów.

– Wyszłabyś za mnie? – spytał.

– Coś ty... – przeciągnęła Anielka, nie przestając szydełkować. – Paczkę ixi ci odłożyłam z wczorajszej dostawy.

– We dwoje to we dwoje.

– Zygrydowi ślubowałam, przecie wiesz.

– Durna jesteś, Anielu – powiedział Pudrycy łagodnie. – Miłość ślubować to dać słowo, że słońko nie zajdzie. Zygryd skończył służbę wojskową cztery lata temu i nie wrócił, nawet nie napisał listu do ciebie.

– Co ci do tego?

– Mieszka pewnie w jakimś Olsztynie czy Koszalinie, ma żonę, dzieciaki, dawno o tobie zapomniał. A gdyby nie miał żony z dziećmi, wrócił tutaj i usłyszał o Sokoliku, Jonaszu, Parhoni, doktorze Samosiejce, prezesie Kowalskim...

- Co ty mnie podliczasz...
- ...że nie wspomnę o sobie, dałby dyla niczym zając ścigany.
- Nic ty nie wiesz o Zygfriedzie. Weźmiesz ixi?
- Nie potrzebuję. Lesiowa robi mi przepierki z własnego przydziału. Zamknij sklep i chodźmy na chwilę do ciebie.
- Teraz, w biały dzień? – zapytała bez zdziwienia Anielka. – Aż tak cię przypiliło?
- Nie przypiliło, tylko mam sprawę.

Anielka wbiła szydełko w kłębek włóczki, wyszła zza lady i zawiesiła na drzwiach tabliczkę „Wysłałam do banku”. Zgrzytnął klucz. Poszli razem za przepierzenie i mrocznym korytarzykiem powędrowali do części mieszkalnej, pełnej kolorowego pluszu: na oknie wiśniowy z frędzlami, na kozetce pomarańczowy w kwiatki, na stole błękitny, obsyty koronką, na ścianie ciemnozielony z tłoczonym landszaftem przedstawiającym sarny u wodopoju na tle jaskrawej dżungli z papugami. Anielka wskazała Pudrycemu otomanę i przeszła do kuchenki, żeby nastawić czajnik. Słyszał, jak ciurka woda z kranu, syczy podpalony gaz, pobrzękują fajansowe filiżanki. W prześwicie uchylonych drzwi widział krągły zadek Anielki opięty błękitem fartucha i raptem poczuł znajomą suchość w ustach, ale odpędził pragnienie jak natrętne muszysko. Kiedy Anielka wróciła z herbatą do pokoju, rozłożył już na stole arkusz podaniowego papieru w kratkę i przygotował długopis.

Dlaczego jeden zadek robi sucho w pysku, a inny, choćby krąglejszy, nie robi? Przyrodniczy sekret. Marynia z zakładu fryzjerskiego jest urodziwsza od Anielki, biust posiada jak włoska aktorka, biodra jej się kolebią przy chodzeniu niby łódź na fali – i żaden chłop nie westchnie. Według Jonasza Aniela kusi dziecinnością, która jest jak naiwna świętość: męski ród łakomy na to. W każdym sapie diabeł.

- Co to? – spytała Anielka, wskazując na podaniowy papier.
- Papier podaniowy – wyjaśnił Pudrycy. – Pisz do mnie o przydział czterdziestu arkuszy blachy ocynkowanej na remont dachu.
- Nie mam potrzeby remontować dachu.

Pudrycy przysunął do siebie filiżankę z herbatą. Nic tak nie gasi pragnienia

w upalny dzień jak herbaciany wrzątek. Chyba że piwo, ale na piwo u Anielki nie było co liczyć, alkohol przynosiło się ze sobą.

Łyknął. Sparzył sobie podniebienie. Przegryzł cynamonowym ciasteczkiem.

– Nie musisz remontować – powiedział, żując starannie. – Kto inny musi.

– Niepiśmienny?

– Na głowę mu się leje, dzieciaki mokną. Cały dach trzeba przekryć, a przydziały są tylko na remont, do czterdziestu arkuszy. Trzeba pomóc człowiekowi.

– Jak pomóc, to pomóc...

Anielka przycupnęła na brzegu krzesła, ujęła w garść długopis i u góry po lewej stronie wywiodła starannie swoje imię i nazwisko. Treść podania Pudrycy sam jej podyktował; stał nad Anielką, dyktując słowo po słowie, a oko mimo woli zerkąło w wycięcie fartucha, zapuszczało się coraz głębiej, szperało smakowicie, jakby torując drogę dłoni, która najpierw spoczęła na dziewczęcym ramieniu, później zsunęła się lekko, wreszcie nagłym zrywem wtargnęła w dekolt, obłapiła zachłannie jędrną pulchność.

– Coś ty – westchnęła Anielka. – Zmęczona jestem.

Złożyła właśnie podpis. Pudrycy drugim ramieniem objął ją wpół i pociągnął na pluszową otomanę. Nie sprzeciwiała mu się, gdy zaczął rozpinąć służbowy fartuch, pod którym miała tylko stanik i turkusowe majtki z czarnym obszyciem.

– Bądź miła – poprosił chrapliwie.

Anielka uśmiechnęła się z pogodną rezygnacją i rozchyliła uda, unosząc biodra nieco w górę. Miała świetną pamięć: nigdy się nie myliła co do zachcianek swoich przyjaciół, każdy dostawał wedle gustu.

Jonasz krzątał się po komórcie pełnej kolb, retort, menzurek, słoików i toreb z ziołami. Syczał palnik podgrzewający szklane kuliste naczynie, w którym kipiała cynobrowa ciecz, wydzielając bąbelki i kłębuszki pary. Pachniało miętą. Paluchy Jonasza skruszyły kilka obłamków huby, zawarczał elektryczny młynek, sproszkowana huba powędrowała do kolby i cynobrowa ciecz zmętniała, zaszła pianą.

Wyleniały szczur przyglądał się Jonaszowi czerwonymi oczkami zza prętów klatki. Poruszanie wąsami sprawiało mu widoczną trudność, okruczera leżał tuż przy pysku, nietknięty. Szczur wyglądał na ciężko chorego. Był chory. Sekcja dokonana na jego zdechłym pobratymcu przez Jonasza pospołu z doktorem Samosiejką wykazała zwyrodnienie wątroby, jej dziki przerost, typowy dla nowotworu. Niewątpliwie rak – potwierdził doktor Samosiejka – gołym okiem widać, ten drugi ma podobne objawy. Zgadza się – przytaknął Jonasz. Chce go pan leczyć swoimi ziółkami? – zapytał doktor. Nie wiem, czego chcę – odparł Jonasz – ale coś trzeba robić w życiu, żeby nie zdechnąć z nudów.

Wyłączył palnik. Płyn w kulistym naczyniu stopniowo nabierał cynobrowej przejrzystości. Jonasz napełnił nim strzykawkę bez igły, zakończoną gumowym wężykiem. Włożył skórzaną rękawicę, wyjął szczura z klatki i nie zważając na anemiczny pisk, wcisnął mu do przełyku rurkę. Tłok strzykawki przetoczył ciecz do szczurzego żołądka. Jonasz ułożył szczura w klatce na ściółce ze szmat i zwierzak znieruchomiał, dysząc spazmatycznie.

Ktoś wszedł do komórki. Jonasz obrócił się bez pośpiechu: prostokąt drzwi wypełniała zwalista sylwetka Parhonia, upchana w szare drelichowe spodnie i brudny podkoszulek.

– Znowu? – zapytał Jonasz.

– Jak jasny gwint – odpowiedział Parhoń. – Życ się nie chce.

Jonasz zamknął klatkę. Zdjął skórzaną rękawicę i umył ręce w cebrzyku z wodą, masując je obficie szarym mydłem. W tej samej wodzie przepłukał strzykawkę i wężyk.

– Jeśli do jutra nie zdechnie, może zdechnąć pojutrze – powiedział, wskazując na sapiącego szczura. – Albo za tydzień. Tydzień to by już było coś, nie mówiąc o miesiącu. Dlaczego nie pójdziesz do dentysty?

Parhoń jęknął. Na samą myśl o dentyście poczuł mdłości, jakby łyknął mydlin.

– Będzie dopiero we czwartek – odparł. – Nie mam zaufania. Zaraz zechce wyrywać, zbulwysyn.

– Żyd?

– Jego szwagierka... – Parhoń zakasłał, chwycił się za policzek. – Ratuju, stary, nie zdzierzę...

Przekrwione oczka wypełniły się łzami. Parhoń zrobił krok w tył i rozkraczył się na podwórzu, kołysząc z boku na bok jajowatą głową. Dwa rude koty zeskoczyły z dachu komórki. Przywarły obok studni i zapatrzyły się sennie w jęczącego.

Jonasz ruchem barku zaprosił Parhonia do domu, wskazał zydel pod oknem. Pogrzebał w szafce, znalazł butelkę z ciemnego szkła, nalał trochę płynu do blaszanej łyżki.

– Ból przejdzie zaraz, ale w głowie będzie się kręciło. Trzeba wyrwać ząb.

– Martwy!

– Boli? Korzeń mu gnije.

Parhoń z grymasem wypił miksturę. Pokiwał się na zydlu, ściskając kciukami skronie. Jonasz odszedł do kuchni, wysupłał z gazety kłębek siwawych podrobów, rzucił na cynowy talerz i wyniósł kotom na podwórze.

– Ufff... lepiej – usłyszał przez otwarte okno. – Wszystko gnije naokoło. Zbulwysyny!...

– Czemu w pracy nie jesteś? – zapytał Jonasz, obserwując, jak rude rozprawiają się z podrobami.

– Wziąłem wolne, czosnek trzeba przepieścić. Dziś do banku przychodzą dłużnicy, niech się Kajmak z nimi użera. Od płaczu uszy puchną. Na pożyczkę bankową łakomi, ale spłacać...

– Bierzesz cudze, zwracasz własne – zauważył Jonasz, przypatrując się kotom syczącym wściekle nad krztynką śledziony.

– Semicka filozofia – dobiegło przez okno. – Dawniej naród był czysty jak łza Chrystusowa, ale szatańskiej próby nie wytrzymał. Od arendarzy wszystko poszło, na borg. Nie słowiańskie to słowo.

– Szwabskie.

– Jakie szwabskie? Księża Celestyna zapytaj. Był tu Jankiel, arendarz, na borg okowitę chłopom wciskał, a potem obdzierał ze skóry. Musiał chłop ukraść, żeby się wypłacić. Borges! Prosto z hebrajskiego...

Jonasz zarechotał donośnie, rechocząc powrócił do izby, grzmotnął w kark Parhonia i postawił przed nim na stole karafeczkę, dwie szklanki.

– Na pohybel, Parhońciu!

Parhoń skrzywił się od serdecznego grzmotnięcia, popatrzył z dezaprobatą na szklanki, które Jonasz wypełnił różowym musującym płynem.

– Z samego rana? – zapytał. – Tym swoim opilstwem do grobu się wpędzisz.

– Groby są dla ludzi – powiedział wesoło Jonasz. – Lepiej umrzeć pijanym niż gnić za życia. Łyknij, Parhońciu, na pohybel durniom.

– Jakim durniom? – mruknął podejrzliwie Parhoń, sięgając po szklankę.

– Twoje zdrowie, Parhońciu. Żebyś nie przegnił na wylot. Jeśli nie wyrwiesz zęba, krew ci się zakwasi i popłyniesz do praojców, nim miesiąc minie.

Parhoń wzdrygnął się, obciągnął szklankę jednym długim łykiem, grzbietem dłoni wytarł cienkie wargi. Bał się trochę Jonasza. On, księgowy w banku spółdzielczym, ciemnych mocy nie uznawał, ale co Jonasz, to Jonasz: przy budce z piwem kopnął Jonasza rozrabiaka Chruściel i odtąd kuleje na prawą nogę. Zanik mięśni. Sam doktor Samosiejka okazał się bezsilny, dał Chruścielowi skierowanie do szpitala wojewódzkiego, leczyli pół roku i wszystko na nic.

Różowe wino miało stężenie nieliche. Po łyżce mikstury ząb przestał boleć, ale po winku dopiero ogarnęła Parhonia wesołość.

– Co mi tam! – powiedział do Jonasza, obnażając w uśmiechu próchniejące pieńki. – Za naród łeb nadstawiać? Niech szczeźnie! U nafciarzy cholernych!

– Masz na myśli Emiraty? – zapytał Jonasz.

– Donieśli dyrektorowi, że pożyczyłem z kasy dwa tysiące złotych. A ja przed pierwszym, rozumiesz? Kiedy czosnek obrodzi, będę w piecu palił tysiączkami.

– Patriotyczne. Inflację w kraju zmniejszysz, nie mówiąc już o oszczędności węgla.

– Kto dziś dba o patriotów? – Parhoń osuszył jednym haustem drugą szklankę wina. – Nie jestem rasistą, uwierz mi. Cały czosnek im sprzedam, to ich przysmak bliskowschodni, niech mają. Ani jednej główki na rynek krajowy! Naród musi oczyszczać się od podstaw, kto bez czosnku nie może –

wolna droga. Potem przyjdzie kolej na cebulę. Płatki dietetyczne już zniknęły ze sklepów, ktoś tu myśli, nie jestem sam. Podobno w stołecznych hotelach pierwszej kategorii nie wynajmuje się Semitom pokoiów.

– A arcybiskup Paryża? – zapytał Jonasz półszeptem.

Paryski arcybiskup był zgryzotą Parhonia. Zmarkotniał. Sam dolał sobie wina do szklanki, wysączył powoluteńku.

– Nie ma ratunku – westchnął. – Słowianie skaczą sobie do gardeł. Tu arcybiskup, tam generał, ówdzie dziad pod kościołem... Judzą, knują, podpuszczają. Wszędzie są. Tylko podziemie mogłoby zlikwidować nawis inflacyjny.

– W jakiż to sposób, Parhońciu?

– Zamiast iść na pasku Semitów, zajęliby się bankami. Seria podpaleń i po krzyku. Koniec z nadmiarem pieniędzy, później tylko kontrola mennic.

Jonasz objął Parhonia potężnym łapskiem, drugą ręką przejechał mu po rzadkich włosach, roztarł, poczochnął. Rechotał przy tym chrapliwie i basiście, mrucząc coś do ucha Parhoniowi, czego ten w żaden sposób nie mógł zrozumieć, poukładać w sens; wyzwolił się jakoś z Jonaszowych objęć, wstał z zydła.

– Z Bogiem, stary... – wymamrotał, rozprostowując obolałe gnaty. – Nie masz drugiego takiego wariata w całym Krasnogaju. Sam czort cię nie rozbierze.

Pokuśtykał do drzwi, płosząc parę rudych, które przycupnęły w progu. Odprowadzał go chichot Jonasza. Zgasł wtedy dopiero, gdy skrzypnęła furtka. Jonasz przygarnął butelkę, pokołysał, usłyszał chlupotanie i przyłożył szyjkę do ust. Wyssał do dna. Świat za oknem spurpurowiał, potem zsiniał, wreszcie zrobił się żółty jak cytrynowa skórka. Żółtość wypełniła się przedburzową pulsującą poświatą. Jonasz wiedział, co to oznacza. Dźwignął się z ławki, rozprostował mocarne cielsko, popatrzył szybko po izbie. Strzelba wisiała w sieni. Zresztą strzelba na nic. Chwycił sztabę od okiennicy, grubą, z czarnego żelaza, ujął jak kajakowe wiosło i wyciągnął przed siebie. Już słyszał dzwonenie odznaczeń gdzieś w pobliżu. Ścisnął paluchami żelazo, obnażył zębiska: Taki śmiały jesteś? Na bagnach mi się pokaż! No, bliżej, popatrz sobie... Czarna sztaba zadygotała

w wyciągniętych ramionach i powolutku zaczęła się wyginać. Oczy wylazły Jonaszowi na wierzch, żyły na szyi nabrzmiały, krew uderzyła w skronie. Końce sztaby pomału szły sobie na spotkanie, minęły się i rozeszły. Żelazo utworzyło pętlę. Jonasz wzniósł ją nad głową triumfalnie, chwilę potrzymał i cisnął w kąt. Widziałeś, kuternogo? Dosyć mam sił, ha, ha! Do końca świata wystarczy!... Żółtość zniknęła, wygasła poświata, niebo za oknem rozblękitniało normalnie. Jonasz wypuścił z płuc gorące powietrze, opadł na zydel i przyjrzał się swoim dłoniom. W kilku miejscach skóra popękała, tworząc krwawiące rany. Poruszył zdrętwiałymi palcami. Zatrząsało w stawach.

## Rozdział drugi

Pudrycy minął przeszklony pawilon Domu Towarowego, spoglądając na wystawy pełne sztucznych kwiatów i kapeluszy słomkowych, ukłonił się kierownicze, która mu pomachała zza szyby, potem na chwilę przystanął, aby popatrzeć, jak Hubert Molko dłubie w zardzewiałym brzuchu swego ciągnika. Ciągnik liczył sobie dobre ćwierć wieku; nie miał już maski ani reflektorów, opony były łyse jak czaszka doktora Samosiejki, szkielet kabiny przechylony w bok po jakiejś wywrotce. Ale jeździł. Byle zapalić. Teraz zaskoczyć nie chciał, mimo dłubaniny w motorze i kwiecistych przesłań, które kierował doń Hubert ku uciechu zgromadzonych wokół smarkaczy.

– Daj żelastwu odpocząć – doradził Pudrycy. – Niech wystygnie.

Hubert odwrócił się do Pudrycego i wytarł o spodnie ubrudzone smarem łąpska.

– Sporty dowieźli – powiedział. – Chciałem kupić. Zostawiłem na chodzie skurczybyka, a on mi zgał.

– Za niskie obroty.

– Nie to. Farfocle w ropy. Zatyka.

Na motocyklu milicyjnym nadjeżdżał kapral Słowacki. Zwolnił, zasalutował przyjaźnie Pudrycemu, na Huberta nie spojrzał nawet, ostro dodał gazu i skręcił za Dom Towarowy. Molko zacisnął pięści, wymamrotał coś.

– Wciąż? – zapytał Pudrycy.

– Jużem go miał... – syknął Hubert. – Z pola wracałem, czyhał na mnie. Tam zaraz urwisko, w dole bagna. Ja do urwiska, on za mną. Noc, żywej duszyczki... Brak świateł to raz, brak maski to dwa, a jeszcze w balonik mi dmuchniesz. Chodź bliżej, powiadam, dmuchnę ci. Nikogusieńko wokół...

– Podszedł?

– Wyczuł. Na węch, psiajucha. Papier wypisał na dwa tysiące i zostawił przy ciągniku. Jeszcze motor mi zgasił, do świtu musiałem się męczyć. Ale dopadnę!...

– Uważaj, Molko.

Hubert wykrzywił gębę w głupawym uśmiechu.

– A co? Nie mam wariackich papierów? Łeb mi otwierali, jest na to dokument.

Kapral Słowacki był służbistą, dla którego brak części zamiennych na rynku nie miał nic wspólnego z egzekwowaniem przepisów: goła opona to poślizg, poślizg to kraksa lub takowej możliwość, czyli zagrożenie dla ruchu; podobnie jazda bez świateł, a tym bardziej jazda po wódzie, kiedy korci, żeby przejechać między dwoma motocyklami, które są faktycznie parą samochodowych reflektorów. Hubert Molko był złym gospodarzem, ale bez ciągnika nie byłby nim wcale. Podobnie jak bez gorzały. Więc kapral Słowacki wziął się na Huberta i nie odpuścił nawet w czasach rebelii, inaczej słusznego protestu, gdy milicjantom nie wolno było patrolować terenu w pojedynkę, ponieważ groziły im szczególne niebezpieczeństwa jako stróżom porządku; na Huberta polował sam, czając się po zmierzchu w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Molko przypłacił to komorniczym zajęciem krowy, pary kóz i czarno-białego telewizora. Nim się to stało, Pudrycy radził Hubertowi ubić dwa świniaki i zawieźć do miasta pewnemu człowiekowi, który da w zamian nie tylko opony i reflektory, ale dorzuci jeszcze akumulator oraz pastylki zagraniczne, po których nie czuć wódą. Molko słyszeć o tym nie chciał, po to się pija, żeby było czuć. Wyćwiczył się natomiast w błyskawicznych ucieczkach przed kapralem. Porzucał ciągnik. Nazajutrz zgłaszał na posterunku uprowadzenie i z błyskiem w oku dziękował kochanej milicji, że odnalazła. Kapral Słowacki domagał się od Komendanta zakupu aparatu fotograficznego z fleszem, aby utrwalić na kliszy wiejącego Huberta, lecz posterunek nie miał na to środków, a na rynku przejściowo brakło aparatów z fleszami klasy milicyjnej.

Pudrycy skinał na Huberta i obaj rozsiedli się pod wiatą przystanku PKS. Magazynier wyjął z kieszeni paczkę jugosłowiańskich papierosów. Zapalili.

– Słabe trochę – skomentował Molko.

– Dużo potrzebujesz eternitu?

– Sto dwadzieścia arkuszy, panie prezesie.

Twarz Huberta ożywiła się, ślepka pojaśniała. Patrzył na Pudrycego, wysuwając do przodu podbródek zachwaszczony siwiejącą szczeciną.

– Może być dodatkowa dostawa – powiedział Pudrycy. – Pójdzie bez listy.  
– Mam dług do zapłacenia w gminie, termin się kończy, Sokolik daje dziesięć tysięcy za pokrycie, tyle akurat jestem winien...  
– Jest trochę blachy falistej – przerwał mu Pudrycy.  
– Rany! Sokolik aż zapieje...  
– Na dach nie starczy. Ktoś potrzebuje czterdziestu arkuszy. Podpiszesz podanie, a ja zapamiętam eternit.

Pudrycy wyjął z aktówki podaniowy papier, szybko machnął parę zdań i dał Hubertowi do podpisu. Molko jednak nie śpieszył się z podpisaniem. Długopis od Pudrycego wziął, obejrzał go, cmoknął:

– Zagraniczny?  
– Podpisuj, czasu nie mam.  
– U nas takich nie robią. Ćwiartka sarny jest do odstąpienia... Mieniam na spirytus.

– Skąd ja ci wezmę spirytusu?  
– Nalepa ma denaturkę. Potrzebny mu rachunek na cegłę, dwadzieścia tysięcy sztuk. Pożyczkę bankową musi rozliczać rachunkami.  
– Lewych rachunków nie wystawiam – powiedział sucho Pudrycy. – Powinieneś wiedzieć.

– Wiem! – zapewnił Molko. – Idzie o tych, co nie wzięli. Nie każdy potrzebuje. Pan prezes podałyby nazwiska, a Nalepa już z nimi załatwi.

– Przestań mi prezesować – mruknął Pudrycy, obserwując z niepokojem swój zagraniczny długopis, bezradnie kruchy w łapie Huberta. – Nazwiska nie są tajemnicą, wstąp do mnie jutro.

– Sarenkę podrzucę przy okazji.  
– Podanie podpisz.

Hubert poślinił koniuszek długopisu i wyrysował kulfonami swoje nazwisko u dołu arkusza. Pudrycy z ulgą odebrał mu długopis.

– A ten, co bierze blachę, nie ma czasem gwoździ czterocalowych na zbyciu? – zapytał Molko, przytrzymując arkusz.

Pudrycy już zaczynał żałować transakcji z Hubertem. Stanowczym ruchem odebrał mu papier, złożył we czworo i schował do aktówki.

– Zajdź do żelaznego i powiedz Tomaszкови, żeby ci sprzedał dwa kilo.

Powołaj się na mnie.

– Potrzeba mi cztery kilo...

– Dwa – uciał Pudrycy, podnosząc się z ławki i opuszczając wiatę, do której podjeżdżał właśnie przepełniony autobus. – Silnik wystygł, teraz ci chyba zapali.

Dochodziła pierwsza; o pierwszej doktor Samosiejka kończy przyjęcia w ośrodku, zamyka się w gabinecie na kwadrans i wypija parę kieliszków salicyłowego przed wymarszem na wizyty domowe. Pije sam, ale nie stroni też od towarzystwa, jeśli to Jonasz albo Pudrycy: trzeba zapukać dwa razy, odczekać chwilę i puknąć trzeci raz. Wtedy drzwi się otwierają.

Ośrodek zdrowia mieścił się w willi nad jeziorem, zarekwirowanej wojewódzkiemu prominentowi, który poszedł w odставку. Ośrodek przeniesiono tam na żądanie mas, wbrew rozpaczliwym protestom doktora Samosiejki: kominki zamiast pieców, woda w stylowej studni z żurawiem. Prominent cenił sobie prostotę. Przedtem ośrodek rozlokowany był w starym budynku, ale miał centralne i wodę bieżącą. Masy stawiają jednak na swoim, zwłaszcza gdy im się na to pozwala, i Krasnogaj nie może być gorszy. Prominent stanął przed sądem. Co prawda dowiódł sądowi, że dom nad jeziorem wybudował ze środków uzyskanych z legalnego spadku po wuju zmarłym w Wenezueli, zapłaciwszy przedtem państwu spadkowy podatek, a na każdą cegielkę miał praworządny rachunek z pieczętą – jak tu wszakże wysiedlić ośrodek zdrowia? Lokal w starym budynku zajęło już przedszkole. Ustalono więc czynsz, jaki wypłacać się będzie obalonemu prominentowi, zobowiązując go w zamian do przeprowadzania remontów i troski o porządek na terenie posesji. niesprawiedliwość? Sokolik był innego zdania: naprominencił się prominent w prominentwie swoim, nażarł kawiorów z truflami, nawet wuja musiał mieć taki nadzianego dewizami wenezuelskimi – w łeb! Sprawiedliwość dziejowa to nie przepisy prawne. Sprawiedliwość dziejową mierzy się stopniem pasji mas pracowniczych na skali słusznego gniewu. Gdyby to zależało od Sokolika, prominent musiałby jeszcze szorować podłogi w ośrodku i nosić wodę w wiadrach, a na noc byłby przykuwany łańcuchem do studni: niech pilnuje obejścia. Prominent nazywał się Szostak i pochodził z Krasnogaju, podczas wojny był w lesie,

pamiętali go dobrze Jonasz i ksiądz Celestyn; potem wyjechał na studia, gdzieś politechnikę skończył, coś budował, nawet w gazetach o nim pisano. Tym gorzej! – pieklił się Sokolik. Wiadomo, o jakich pisały u nas gazety! O tobie też pisały, przypomniał mu Jonasz, nawet wywiadów udzielałeś, kiedy przypięto ci order za młodzieżowość. Kiedy to było, stary! Order dawno wyrzuciłem, nie ma już tamtego Sokolika, naiwnego frajera, który chłopom wmawiał kułackość. Przejrzał Sokolik, tamtego pogrzebał na wieki, wspominać hadko! Hadko – zgodził się Jonasz – oj, jak hadko zapierać się własnego ryja, albowiem jeden tylko ryj jest człowiekowi dany, można go przyozdobić wąsami, bródeńkę zapuścić, ale znaczą coś zmarszczki jedynie, te bruzdy, te fałdy, które ryją ryj, gdy kurczysz się w sobie z bólu, od udręki. Człowiek to całość, Sokoliku, wszystkie trzy czasy cuzamen, a nawet więcej, bo jeszcze rodzice, dziadkowie. Nie uznajemy zbiorowej odpowiedzialności! – ryknął Sokolik. Ojca i matki się wyprzesz? Wyprę się, jeśli zasłużą! A samego siebie, jakim dawniej byłeś? Też! Sprzeczne to z naturą, Sokoliku: gdyby powiesili tamtego Sokolika, nie byłoby dzisiaj ciebie, he, he... Szostak to przyzwoita osoba – zauważył ksiądz Celestyn – cały ten czas do kościoła chodził, choć po kryjomu, albowiem wtedy partyjnemu dyrektorowi nie wypadało, spowiadał się jednakże i komunię przyjmował, skarg na niego nie słyszałem, dyrektorował po bożemu, jak przystało na katolickiego komunistę. A cóż to takiego, katolicki komunista? – obruszył się Parhoń. Ogień wodny? Żebyś wiedział, Parhońciu – odparł Jonasz – woda może się palić, jeśli masz pojęcie o chemii, jest w niej i wodór, i tlen, jak w każdym z nas, maluczkich, co się miotamy pomiędzy. Ja się nie miotam – oświadczył Parhoń – ja wiem, że to oni wymyślili tęczę, aby namieszać nam w głowach, kolory są tylko dwa, biały i czarny: diabeł jest czarny, a biel to anielskość, mam rację, ojcze? Ksiądz Celestyn westchnął, przeżegnał się, a Parhoń wywodził dalej o czarnych chałatach i jarmułkach, o białych sukieneczkach do komunii świętej; Pudrycy nie mieszał się do dysputy, rozmyślał wówczas o prezesie Góralczyku – a fakt, że i on do kościoła chadzał na msze niedzielne! – którego namówił do odrzucenia postulatów załogi GS-u, choć sam je redagował jako członek komitetu: My mamy prawo żądać, a ty masz obowiązek odrzucić, boś przedstawiciel państwa, czyli większej całości, i po

to władza cię mianowała. Żądanie zdjęcia prezesa też on redagował, co prawda pod naciskiem załogi. I pomimo ostrzeżeń Komendanta przed uleganiem niezdrowemu żywiołowi. Zawierzył. To on przecież ujawnił przed załogą... Nieprawdę ujawnił? Szczerą prawdę! Gdyby to było oszczerstwo, prezes Góralczyk nie palnąłby sobie w łeb z dubeltówki, zdejmując w tym celu prawy pantofel i naciskając spust dużym palcem u nogi. Kto tu winien? Zły świat winien, niedola człowiecza, mroczne moce mącające serca i umysły. Mroczne moce są tutaj, nie tam. A człowiek w ich obliczu bezradny, zdany na zwodniczość uczuć, impotencję intencji i jedność przeciwieństw. Chciał dobrze, wyszło źle. „Jak kto chce kogo zrobić na źle, to go wychodzi na sam” – mawiał sklepikarz Kuperholc, u którego Pudrycy w dzieciństwie kupował miętowe cukierki, bowiem i on wierzył w sprawiedliwość, jako że w coś musi człowiek wierzyć. Regina, córka Kuperholca, miała ten straszny romans z Jonaszem, o czym w Krasnogaju po dziś dzień nie mówi się głośno.

Pudrycy wszedł do ośrodka przez rzeźbiony ganek – prominent Szostak własnoręcznie wyrzeźbił w drewnie sosnowym ornament z kwiatów – i w umówiony sposób zapukał do gabinetu lekarskiego. Doktor Samosiejka otworzył mu natychmiast. Salicylowy trzymał w słoju po kroplówce, zawieszonym na stelażu, z gumową rurką: wystarczyło zwolnić zacisk, aby napęlić dwa kieliszki z wężyka. Tak też zrobił. Pudrycy siadł na kozetce przykrytej białym prześcieradłem, wziął od doktora menzurkę zastępującą kieliszek i trąciwszy się, wypił. Doktor również wypił. Zakąsili drażetkami nasercowymi, które robią dobrze po salicylowym.

– Co słyszeć w wielkim świecie? – zapytał doktor Samosiejka.

– Spodziewam się nieoczekiwanej inspekcji – odpowiedział Pudrycy. – Mam nadzieję, że przyjadą dzisiaj.

– Zapewne ma pan tę nadzieję nie bez podstaw. – Doktor skierował wylot wężyka do opróżnionych menzurek. – Sokolik czy Parhoń?

– Ja się nie lękam donosów.

– Dobrze jest mieć przyjaciół w centrali oraz życzliwość Komendanta – zauważył doktor. – Wszystko się zazębia na tym padole. Osobiście ostrzegłbym pana bez ujawnienia nazwisk, albowiem lojalność obowiązuje

na obydwie strony.

– Ja wobec pana poszedłbym dalej – powiedział Pudrycy. – Należy wiedzieć, kogo się strzec. Ale w moim przypadku idzie o wdzięczność za uratowanie życia.

– Głupstwo – doktor poklepał Pudrycego po ramieniu. – Żona sprosiła gości na jutrzejszy wieczór, potrzebowałbym trochę kiełbasy myśliwskiej, kartki już wykorzystane.

– Na pana miejscu pielęgniarkę Zielińską przeniósłbym do filii ośrodka w Zalewie – powiedział Pudrycy, rozglądając się po gabinecie pełnym emalii i niklu. – To bardzo dobra pielęgniarka.

– Doskonała – zgodził się czujnie doktor.

– Każdy ma prawo czuć niechęć do spirytusu i potępiać tryb wydawania zwolnień lekarskich.

Doktor Samosiejka westchnął, w zadumie wysączył zawartość swojej menzurki. Słoneczny promyk rysował mu na łysinie wymyślne esy-floresy.

– Przychodzi taki Cybulski i płacze, że syn przyjeżdża z wojska na trzydniowy urlop. Odmówiłby pan?

– Ludźmi jesteśmy, doktorze. Trzy kilo wystarczy?

– A ja odmówiłem! – rzucił z mocą doktor Samosiejka. – Nie sposób sprawdzić badaniem ataku korzonków. Człowiek przychodzi zgięty w kabłąk i powiada, że nie może się wyprostować. Co wtedy? Mydocalm, witamina B w zastrzykach i trzy dni leżenia na twardym. Punkt medyczny w Zalewie wymaga fachowej pielęgniarskiej ręki. Ta pannica prosto po szkole ledwo radzi sobie z lewatywą. W ośrodku, przy koleżankach, nabierze praktyki.

– Ci jutrzejsi goście lubią sarninę? – zapytał półgłosem Pudrycy.

– Bardzo lubią – odparł szeptem doktor.

– Jest pół ćwiartki. – Pudrycy wychylił menzurkę i odstawił daleko, dając do zrozumienia, że na tym koniec. – Dręczy mnie zagadka bytu, doktorze. Po co męczymy się tutaj? Można by prosto tam, po urodzeniu.

– Ksiądz Celestyn ma na tę sprawę całkiem odmienny pogląd – powiedział doktor Samosiejka, przeglądając listę domowych wizyt. – Na zbawienie trzeba sobie zapracować.

– To jest dorabianie teorii do praktyki.

- Możliwe. A jeśli tam nic nie ma?
- Jest – powiedział z przekonaniem Pudrycy.
- Pan wie lepiej. – Doktor uśmiechnął się. – Asystowałem przy śmierci wielu ludzi głęboko wierzących i żaden nie miał ochoty umierać. Człowiek się przywiązuje do swoich udręk. Ile będę panu winien za sarninkę?

Pudrycy westchnął. Jego udręki należały już do przeszłości, poukładane w warstwy niczym albumy w szufladach: niepewność, czy towarzysz Mielniczuk doceni, oczekiwanie na decyzję z centrali, sprzeczne wieści, wyjazd Hanny na rozmowę do towarzysza Mielniczuka i jej powrót dziwnie spóźniony o dobę, odwracanie oczu, w torbie serwetka z nadrukiem „Novotel” – i awans Pudrycego. Więc za co awans? Za jego wieloletnie oddanie czy za jej, kurewskie, w hotelowym łóżku? Odczep się wreszcie, Pudrycy – koniecznie chcesz znać prawdę? – nie w łóżku, nie w hotelu! – na jego biurku w gabinecie! i daj mi święty spokój, nie trzeba było mnie posyłać!... Album drugi, ze śmiercią Hanny w połogu, wymodloną, bo przecież nie miałyby życia z Pudrycem, za dzieciaka na biurku spłodzonego pośród papierów, telefonów i pieczętek. Tyle lat próbowali ze sobą i nic, aż tu raptem, po jednym wyjeździe do centrali, po jednej rozmowie z Mielniczukiem – pewnie od tyłu, na chybcika... tfuj! Album trzeci to wróżenie z fusów, kto wygra, kto przegra, nienawiść do towarzysza Mielniczuka, pogarda dla siebie złagodzona współczuciem, człowiek nie wybiera czasu do życia, sztywne karki pękają jak gałązki na mrozie, ale teraz, teraz jego pora nadeszła! A może prezes nie odpalił wicewojewodzie całej dostawy eternitu? Nie zaniżył rachunków, przeceniając pierwszorzędny towar? Mógł odmówić naczelnikowi, zażądać polecenia na piśmie. Pudrycy miał wtedy dosyć brudów, postawił na ludzi, ryzykując, świadomie przebierał w racjach, kompletował te, które przepowiadały nową drogę. Śmiał się Jonasz, trącał go piąchą w żebra, nie wierzył cynicznie w przemianę Pudrycego i Pudrycy cierpiał z tego powodu, albowiem nigdy tak się nie przybliżył do Jonasza jak w dniach rebelii. Może prześcignąłby go nawet w publicznej opinii, jako że angażował się, działał, stawał na czele. Skąd Jonasz wywęchał, że zabezpieczył sobie tyły u Komendanta? Z gwiazd wyczytał ich rozmowę w lesie? Z gwiazd podobno wiele da się wyczytać, lecz

nie rozmowę przecież w cztery oczy, na pustkowiu, bez świadków. I jak? Przez swoją starodawną lunetę? W horoskopie to masz! – rechotał, ugniatając żebra Pudrycemu. – Tam wszystko jest, chwila po chwili! Absurd, oczywiście. Człowiek ma wolną wolę, sam wybiera. Gwiazdy wyprzedzają tylko czas, rejestrując przeszłość człowieka, która dla niego jest teraźniejszością. Musiał wytłumaczyć się Komendantowi. To nie była zdrada. Dowiódł tylko, że nie stracił głowy. Przeciwnie: trzeba być wewnątrz, jeżeli chce się kontrolować bieg zdarzeń, przyhamować, ostrzec w porę. Jeszcze mu Komendant za to podziękuje. Już dziękować powinien. A gównu – usłyszał wtedy w lesie – ty mi tu ciemnot nie wciskaj, na dwóch stołkach chcesz siedzieć! Musiał dać dowód. Bibułę ze skrytki zabrano, nikogo nie nakryto przy tym. Ulotki były wredne, wzywały do sabotażu. Pudrycy przemocy nie uznawał, postąpił w zgodzie z sumieniem. Chciał, żeby było lepiej, ale bez gwałtu. Dlaczego nie chcą tego zaakceptować ni ci, ni tamci? Prawdziwą udrękę sprawia niemożność wyboru i wiedza, że jest to w pogardzie. Należy umrzeć na trochę, aby pojąć, jak pozorny w istocie jest ów wybór, jak bez znaczenia wobec Cudownej Światłości. Masz rację, Jonaszu: cokolwiek zrobimy, spełni się to, co zapisano w twoich gwiazdach. Być może gdzieś zaczęło się już odliczanie – 8... 7... 6... – a my żremy się o lepszy kawałek schabu, dostawę pasz, utracenie Iksa, rozszyfrowanie sekretu nowotworów.

Pudrycy wyjrzał przez okno. Przez chwilę patrzył na garaż w kształcie szafasu ukryty pośród drzew. Brama była otwarta; wewnątrz, po pracowitej nocy, odpoczywała ubłocona karetka pogotowia z podniesioną maską.

– Garaż wymagałby remontu – powiedział. – Blacha rdzewieje. Można wymienić ze dwadzieścia arkuszy.

– Ani myślę remontować. Gdzie pan tam widzi rdzę?

– Przypuśćmy, że pan widzi. Składa pan do nas podanie o dwadzieścia arkuszy blachy ocynkowanej. Ośrodkowi należy się w pierwszej kolejności.

– Przypuśćmy, że złożyłem – powiedział doktor Samosiejka.

– Potem tylko pokwitować.

Doktor skinął głową. Szybko napisał kilka zdań na papierze podsunętym przez Pudrycego. Przybił pieczętę.

– Na Jonasza znowu wpłynęła skarga – powiedział, wręczając podanie Pudrycemu. – Odmówił swoich ziółek kierownikowi tartaku. Kazał mu iść do szpitala.

– Na co skarga?

– Donos, że leczy bez uprawnień. Na mnie też doniósł, że nie chcę mu pomóc, bo jego córka jest przyzwoitą dziewczyną i odmówiła mi sprośnych figielków.

– Jego córka jest szpetna jak wrzód na tyłku – powiedział Pudrycy.

– Ale młoda – odparł doktor. – Kierownik tartaku musi być operowany. Operacja da niewiele, ponieważ nastąpią przerzuty, widziałem setki podobnych przypadków. Medycyna walczy jednak do końca o życie chorego.

– Kierownik wie.

– Każdy wie, że umrze. Pytanie, kiedy. Zdumiewa mnie wiara niektórych w siłę donosu. Jak gdyby donosy na innych zwiększały własne szanse. Na kierownika tartaku też wpłynął donos, że za łapówki przeciera drewno poza kolejką. Zamknięty obieg, nie uważa pan?

– Donosy mogą się znosić – powiedział Pudrycy. – Naczelnik pija co rano leczniczą nalewkę od Jonasza.

– I grywa ze mną w szachy.

– Wie, że stan kierownika jest beznadziejny. Donos na niego wrzuci do kosza.

– Podobnie jak tamte dwa – powiedział doktor. – Ma pan całkowitą słuszność. Ale pisanie donosu poprawia samopoczucie, jest bowiem walką człowieka o powszechną sprawiedliwość. Nigdy nie sądzi się, że idzie o własną sprawę.

Pudrycy pomyślał, że nie zawsze, lecz odrzucił tę myśl. Niech przyjedzie kontrola do GS-u, niech sprawdzi wszystko. Czekaj na nią prawie idealny porządek. Potem spokój mieć będą i prezes, i wiceprezesi, i dyrektorzy, i kierownicy, i on, magazynier Pudrycy W. Jest w tym interes ogółu? Niewątpliwie. Interes kontrolerów również: spełnią uczciwie swoją powinność i będą mogli z czystym sumieniem donieść zwierzchności, że GS w Krasnogaju nie ma na koncie wykrywalnych uchybień.

– Czy pana doktora nie dręczy zagadka bytu? – zapytał.

– Dręczy mnie zgaga – odparł doktor. – Nie powinienem pić ani palić, to szkodzi na wrzód żołądka. Ale mam słaby charakter. Ponieważ nie mogę go wzmocnić, jestem dumny z owej słabości, która chroni przed radykalizmem. Radykałowie są sprawcami wszystkich naszych nieszczęść. Jedni nie liczą się z realiami, więc drudzy muszą uszczęśliwiać przemocą, i mamy to, co mamy. Mój wrzód żołądka pochodzi z czasów, gdy nie zdawałem sobie sprawy ze słabości swego charakteru.

– Był pan wtedy lekarzem wojewódzkim?

– Rozwiązywałem równanie: brak łóżek szpitalnych, plus niedostatek leków, plus niskie uposażenia personelu medycznego, plus cięcia budżetowe, głód sprzętu, aparatury równa się powszechna służba zdrowia, plus przywileje dla uprzywilejowanych, plus aprobata społeczna, plus uznanie zwierzchników. Wychodziło mi szesnaście.

– Dlaczego szesnaście? – zapytał Pudrycy.

– A miało wyjść czterdzieści cztery – odparł doktor Samosiejka. – Gdzieś był błąd. Kiedy pojąłem, o co chodzi, miałem już owrzodzenie żołądka. Złożyłem rezygnację, rozwiódłem się z moją ambitną żoną i wróciłem do Krasnogaju, było jednak za późno. Wrzód żołądka, raz wyhodowany, pleni się potem jak chwast. Sprzyja natomiast potencji; nie wyczyta pan tego w żadnym podręczniku lekarskim, ponieważ odkrycie współzależności między owrzodzeniem żołądka i wzrostem potencji to moje odkrycie. Niech pan zapyta Anielkę, co potrafi doktor.

Samosiejka zerknął na zegarek i równocześnie sięgnął po telefon, który rozdzwonił się jazgotliwie. Tak, powiedział, już po zastrzyku, zaraz zgłosi się w biurze. Odłożył słuchawkę i powiadomił Pudrycego, że do GS-u zjechała niespodziewana kontrola.

Jonasz otworzył szeroko drzwi komórki. W słonecznej jasności, która wtargnęła do środka, mógł przypatrzeć się klatce z chorym szczurem: okruch sera znikł, szczurzyśko spacerowało, strzygąc wąsami, jakby szukało czegoś.

– Żreć chcesz chyba – stwierdził Jonasz.

Wyjął ser z blaszanego pudła, uciął nożem spory kawałek i wrzucił do

klatki. Szczur pożarł go łapczywie. Potem wychleptał mleko z puszki po sardynkach i wybałuszył na starego czerwone ślepie.

– Nie ciesz się – powiedział Jonasz – jeszcze nie wyzdrowiałeś, Heniu. Rafał był dobry przez tydzień, a potem zdechł. Zielsko nie załatwia sprawy.

A co załatwia?

– Przeznaczenie – wyjaśnił stary, przystępując do komponowania jakiejś mieszanki ziołowej w emaliowanym seledynowym garnku. – Zapis losu w kwasie dezoksyrybonukleinowym, po części odziedziczony, bo trudno dla każdego o los całkowicie oryginalny. Ale po części tylko. Założyłbym się jednak, że cała fura twoich przodków zdechła na podobne świństwo...

Na coś zdechnąć trzeba.

– Czemu nie na uwiad starczy? No widzisz, Heniu. Trzeba wprowadzić do zapisu korektę. Najlepiej jako szczepionkę dla niemowląt. Albo płodzić dzieci wedle tabeli czasowej, żeby układ gwiazd sprzyjał długowieczności nowo narodzonych. Są takie momenty korzystne dla narodzin.

Pieprzysz, stary. Chcesz wprowadzić bałagan w naturze, poprawiać Stwórcę. On to wszystko przemyślał.

– Całościowo, Heniu. Mógł darować sobie szczegóły... Gdzie ja zapodziałem tamaryszek? Był tu, na półce, w torbie po jaglanej...

Odwracasz porządek rzeczy: gwiazdy nie dyktują przeznaczenia, tylko informują o nim. Nie ma mądrych ksiąg. Mądrzy są ich autorzy. Twój gwiazdny kalendarz płodzenia o kant potłuc.

Jonasz przerwał mieszanie ziółek, siadł na skrzynce i zapatrzył się w szczura, który przycupnął w rogu klatki, szykując się do drzemania.

– Jest w tym logika – mruknął. – Ale nie logika rządzi światem...

Co rządzi?

– Tego, Heniu, nigdy się nie dowiemy. Mózgi nam przeszkadzają. Trzymasz w łapie prawdę niepodważalną, a on tylko kiwa głową wyrozumiale, ze współczuciem sobie właściwym. Bęc – nowa prawda! Starą na śmietnik, nową w łapę i dobrzy jesteśmy, hura, Einstein. Do czasu...

A krasnoludki jak były, tak są.

Jonasz przypomniał sobie wywody uczonego z Filipin, który pobrał wycinek tkanki voodoo i przeprowadził szereg analiz laboratoryjnych.

Wyszedł mu siarczan sodu z ładunkiem ujemnym, w kolorze lilaróż. Rozgłośnia zagraniczna, która nadała o tym audycję, spłonęła w tajemniczy sposób. Uczony Filipińczyk zaginął podobno w Trójkącie Bermudzkim; przedtem rozeszła się pogłoska, że był agentem obcego wywiadu, uczestniczył w zamachu na przywódcę jednego z mocarstw i nigdy nie studiował w Harvardzie, choć miał stamtąd dyplom. Wiadomość o tym nadała zupełnie inna rozgłośnia, która też spłonęła. Jonasz chętnie słuchał radia, ale do informacji odnosił się z rezerwą: były zależne od fal, na jakich je odbierał. O wiele bardziej ciekawiły go szумы, owe gwizdy, piski, szelesty, migotania dźwiękowe, które nazywa się zakłóceniami: kosmos śle sygnały. Jaki jest klucz? Bo przecież musi istnieć. W szumach kosmosu, być może, zakodowana jest owa prawda elementarna, wzór porządkujący całość. Z pewnością nie był adresowany do Jonasza: podsłuchiwał czyjś dialog za pomocą stareńkiej tesli. Nieprzyzwoite? Wszyscy wszystkich podsłuchują w miarę możliwości – poznaj innych, a poznasz siebie. Ale Jonasza usprawiedliwiała intencja: siebie już znał mniej więcej, ludzi wokół również, żadne zaskoczenie zaskoczyć go nie mogło. Wypatrywał Nadawcy, który pociąga za sznurek. Dowcipniś? Bezmyślny Sadysta? Miłosierny Manipulant, który z mazołem steruje ku dobremu? Jeśli to ostatnie, Jonasz spotka się w końcu na bagnach ze Storchem i wymierzy sprawiedliwość.

Ktoś wszedł na podwórko. Jonasz usłyszał skrzypnięcie furtki, potem szelest trawy od lekkiego stąpania. Wyszedł z komórki.

– Tu jestem – powiedział do kobiety w chustce, bezradnie rozglądającej się wokół. – Co was sprowadza, Genowefo?

– Śledzie zdobyłam, mogę ze trzy odstąpić sąsiadowi...

– U nas śledzie?

– Byłam w województwie, akurat odrzut z eksportu, trafiło mi się. – Kobieta rozwinęła pakunek ze śledziami w plastikowych woreczkach z obcojęzycznym nadrukiem. – W szpitalnym kiosku sprzedawali.

– Jak mała? – spytał Jonasz, czując, że na widok śledzi ślinka napływa mu do ust: kieliszek – dzwonko, kieliszek – dzwonko... Do śledzia najlepsza jest jarzębinówka wytrawna, ale może być również nalewka z pokrzywy, z jałowca, z borówki, może też być samogon z buraków, trzykrotnie

destylowany. Została mu jeszcze butelczyna z ostatniego udoju.

– Krew jej przetoczyli – powiedziała Genowefa, wręczając Jonaszowi woreczek z trzema śledziami. – Bardzo słaba jest. Mam gorącą prośbę do sąsiada, dwadzieścia dolarów mi potrzebne. Zapłacę każdy pieniądz.

– Nie mam dolarów.

– Jak sąsiad nie ma? Każdy wie, że przysyłają sąsiadowi.

– To nie moje dolary.

Genowefa przegięła głowę na bok, prosząco rozchyliła popękane bezkrwiste wargi. Oczy miała zmęczone, w obwódce zaognionych spojówek.

– Muszę kupić dla dziecka koncentrat witaminowy. Doktorzy poradzili. Sprzedają w dolarowym sklepie...

Jonasz rozmasował piąchą podbródek. Czarno-zielonych banknotów, które co jakiś czas przychodziły w listach z Nazaretu – lotnicza koperta z egzotycznym znaczkiem, wewnątrz złożony wpół czysty arkusik papieru, żeby banknotu nie widać było pod światło – nie uważał za swoją własność. Koperty bez zwrotnego adresu. Ale wiedział od kogo. Może nadawca przyjedzie kiedyś do Krasnogaju popatrzeć na szerniały próchniejący dom, w którym niegdyś mieścił się sklepik ze słodyczami, na porośnięte zielskiem rumowisko bóżnicy i przekrzywione, spękane, wrośnięte w ziemię nagrobki z sześcioramienną gwiazdą. Na pewno wstąpi do Jonasza, a wtedy Jonasz powie mu, co myśli o czarno-zielonych banknotach i odda wszystkie, jakby je dostawał na przechowanie. Prawie wszystkie.

– Niech zaczeka – mruknął.

Wszedł do domu. Zdjął ze ściany obrazek przedstawiający podwórkową orkiestrę, czterech pejsatych w myckach, rzępolących na skrzypkach i kontrabasie. Nożykiem podważył cegłę, wyszła gładko. Ze szczeliny wydobył zawiniątko w folii, zdjął gumkę, odliczył cztery piątki, resztę włożył na miejsce, zaszpuntował cegłą, powiesił obrazek.

Wrócił na podwórze i podał kobiecie banknoty. Chwyciła go za rękę, jakby chciała pocałować. Wyszarpnął dłoń.

– Po ile sąsiad liczy? – usłyszał.

Zaczął łagodnie popychać kobietę w stronę furtki. Cofała się, coś mamrocząc, spojówki jeszcze mocniej poczerwieniały. Wypchnął wreszcie.

Wrócił do domu i przystąpił w kuchni do oporządzania śledzi: zdarł skórę, wypłukał, pociął w dzwonka i wrzucił do szklanego słoja. Zasypał drobno pokrajaną cebulą, wlał oleju rzepakowego. Gdzieś daleko, między Morzem Śródziemnym, Martwym i Czerwonym, jest gaj, w którym sadi się drzewka sprawiedliwych. Przed laty nadeszło dla Jonasza zaproszenie stamtąd, niech przyjedzie i posadzi drzewko. Załatwił to Awrum, najmłodszy Kuperholc, ten, co śle dolary. Błazeństwo. Sadzeniem drzewek wyrównywać rachunki? Odwet weźmie się tutaj. Na bagnach. I zło szczególnie, zapadnie się w topieli, spłynie, skąd przyszło: do piekieł. Tam jego miejsce. Niech źli złym czynią zło na wyścigi. Nie będą musieli udawać, że pragną dobra, patrzą daleko, czyszczą tylko augiaszową stajnię, ponieważ ktoś to musi zrobić, i osobiście przykro im, wstyd nawet przed ludźmi, którzy nie rozumieją. Proszę zrozumieć, Herr Hoff, pan wywodzi się z Kurlandii, sprawdziliśmy w starych aktach, pan nie ma moralnego prawa osłaniać starozakonnej, ukrywać ziarna, z którego odrodzą się pasożytnicze chwasty, rozplenią, zatrują; pan należy do Herrenvolku i nie wolno panu migać się przed dziejową misją, przed Wielkim Przeznaczeniem naszej rasy – trzeba zacisnąć zęby i po męsku znieść ból w imię dobrej sprawy. Zło na ziemi nie ma uprawnień, tylko szaleńcy powołują się na nie, reszta woła o dobro. Więc zło przebiera się w dobro. Wierzy, że jest nim. Dla powszechnego dobra wytwarza się dzisiaj aparaty emitujące promienie śmierci, zwane bronią laserową: jakaś rozgłośnia podała, że spopielają wszystko na ogromną odległość. Broń totalna, wobec której bomby termojądrowe to frajer. Można spalić glob. Nikt oczywiście nie chce spalić globu. Każdy jest dobry. Promienie śmierci mają odstraszać złych. W dawnych czasach, gdy w Krasnogaju był jeszcze rebe, przyszedł do niego stary Kuperholc i spytał, czy będzie wojna. „W południe – odparł rebe – ty zamykasz swój sklepik i idziesz do domu. Wchodzisz do bramy. Co czujesz? Pachnie smażona cebulka! Oj, jak ona pachnie... Idziesz dalej, czujesz zapach siekanych jajek z cebulką, smażonej wątróbki, kury w tłustym rosole, miodowego placka... Wchodzisz do domu – stół nakryty białym obrusem, sztucce, talerze, półmiski... Jak myślisz, Kuperholc, będzie obiad?” To był chyba 1938 rok albo początek następnego, Jonasz nie pamiętał dokładnie. Przypowieść rebe go usłyszał od Reginy, gdy przybiegła

do niego nocą, ukradkiem, i już się nakochali w zapamiętaniu, leżeli obok siebie, odpoczywając na wilgotnym od potu prześcieradle. Regina śmiała się, a Jonasz popadł w zadumę, głaszcząc jej długie włosy koloru miedzi. Wódz Reichu zapowiadał rozprawę z ludem Abrahama. Nikt dotąd nie zwyciężył ludu Abrahama, choć rzezie i wypędzenia czyniono bez przeszkód. Może dlatego ów dziwny lud przetrwał tysiąclecia, że nie stawiał zbrojnego oporu? Były ludy, które walczyły, i te wycięto w pień, ślad po nich został jedynie w starych księgach. A lud Abrahama płaci krwawą daninę i trwa, zmierzając żmudnie ku swemu przeznaczeniu. Jednostki nie liczą się; wystarczy lampka oliwna, jeden świecznik siedmioramienny dla ocalenia wiary i obyczaju, które po kolejnej klęsce odradzają się z popiołów. Dla Jonasza inaczej: nade wszystko ważna jest miedzianowłosa Regina – ważniejsza od Ziemi i Słońca, planet i gwiazd. Uciec z nią? Ale dokąd? Jakie miejsce będzie dla niej bezpieczne, kiedy nadejdzie pora obiadu? Ameryka, Australia. Był wiejskim kowalem, pieniędzy miał tyle, że dla dwojga wystarczyłoby ledwo na bilet do Krakowa. Do Warszawy już nie. Kuźnię dzierżawił, pożyczyć nie było od kogo. Więc zaczął w sekrecie kopać dół pod lasem, workami ziemię wynosząc, żeby nie było śladu. Nawet Reginie o tym nie powiedział. Kiedy wybuchła wojna, dół był już głęboki i obszerny jak izba, wzmocniony szalunkiem, dobrze zamaskowany. Znosił tam po kryjomu suchary, mąkę, olej. Regina skończyła powszechną szkołę, przeczytała dużo książek i wierzyła w kulturę niemiecką. Znała na pamięć różne wiersze Goethego.

Sag', was will das Schicksal uns bereiten?

Sag', wie Band es uns so rein genau?

Ach, du warst in abgelebten Zeiten

Meine Schwester oder meine Frau.

W pierwszych dniach po wkroczeniu do Krasnogaju Niemcy zachowywali się przyzwoicie: kapitan Storch kazał rozdawać wojskowy chleb wszystkim, bez względu na narodowość. Gdy żandarmeria aresztowała Awruma Kuperholca, młodszego brata Reginy, Jonasz wstawił się za nim u kapitana, któremu był zreperował motocykl uszkodzony w kraksie. Za pośrednictwem Jonasza kapitan przyjął od Kuperholców trzy złote monety z wizerunkiem

dwugłowego orła i wypuścił chłopca, doradzając przyjaźnie, by znikł jak najszybciej z Krasnogaju. Awrum posłuchał i ocalał: przeprowił się nocą przez Bug na rosyjską stronę, z łagru poszedł do Andersa, z armią do Palestyny; dostał nawet order za szturm klasztornego wzgórza w Italii, porośniętego słynnymi makami. Kapitana Storcha zaintrygował kowal o germańskiej proveniencji, czytający w gwiazdach. Chciał wiedzieć, jak szybko Niemcy podbiją świat. Jonasz odpowiadał mętnie, zasłaniał się niedostateczną wiedzą, brakiem instrumentów astrologicznych. Kapitan Storch podarował mu lunetę Zeissa. Ale i bez niej Jonasz wiedział, że Niemcy nie podbiją świata, nie było mu jednak lżej od tego, ponieważ gwiazdy przepowiadały lata straszne, dużo ludzkich nieszczęść, pożogę i krew. Tak samo jak teraz. Czy zawsze mówią prawdę? Czy nagle opamiętanie może zniweczyć złowrogi zapis?

Do wieczora śledzie przejdą cebulką i będą w sam raz pod samogon. Jonasz postawił słój na parapecie, żeby słoneczne ciepło przyspieszyło proces macerowania. Ale sobie pohula! Zaprosić Pudrycego? To jest myśl. Pudrycy bywa zabawny, kiedy sobie podpije, a jeśli posadzić go za stół z Parhoniem, Sokolikiem, doktorem Samosiejką, Anielkę upchnąć między nimi – śmiech do łez! Tylko śledzi nie starczy dla wszystkich. Ale jest słonina wędzona. Za dwa litry samogonu Jonasz dostał od Huberta po świniobiciu wielki poлец, sam go uwędził w beczce żelaznej, na jałowcu i olszynie: rozpływa się w ustach. Może doprosić księdza Celestyna? Jeszcze śmieszniej będzie. Ojczyzny zbawianie i zbawianie duszy, dialektyczna jedność przeciwieństw, a on pod stołem łapę pod spódnicę Anielki, cap za ciepłko babskie, za tę słodkość jedyną, do której człowiek ucieka przed beznadzieją...

– Śledziki?

– Śledziki – potwierdził Jonasz.

Komendant przeciął trawnik, zbliżył się do okna, wziął do ręki słój i obejrzał pod światło.

– Za dużo cebuli – powiedział.

– Śledzi za mało.

– Też prawda – zgodził się Komendant, odstawiając na parapet szklane naczynie i obciążając wypłowiałą milicyjną kurtkę z zaciekami potu w

okolicy pach. – W pustej wannie nawet księdzu sucho.

– Nawet w pustej wannie dobrze jest na pannie – powiedział Jonasz, robiąc oko do Komendanta.

– Ty musisz mieć zawsze ostatnie słowo. – Komendant zmarszczył siwiejące brwi, nastroszone jak szczoteczki do zębów. – Ja cię pytam o księdza.

Jonasz wsparł się łokciami o parapet, wystawił twarz pod strumień słonecznego ciepła. Spod przymrużonych powiek, ponad ramieniem Komendanta, obserwował pochylony parkan, na którym rozsiadło się stado wróbli. Oba rude kociaki przywarły w trawie, szykując się do łowów. Młode, niedoświadczone: jeszcze nie wiedzą, że wróbel ma nad nimi niebotyczną przewagę i tylko na pozór oznacza łatwą zdobycz. Kiedy zmądrzeją, nauczą się lekceważyć wróble.

– Zdrow, dzięki Bogu – powiedział, ziewając szeroko. – Nas obu przeżyje.

– Wcale nie jest taki stary, na jakiego się zgrywa. – Komendant rozpiął mundur i koszulę, podrapał się w kudłatą pierś, potem nie wytrzymał, ziewnął również. – My wiemy, ile ma lat naprawdę. Co robił wczoraj u Sokolika, też wiemy...

– Mhm – przytaknął Jonasz.

– Później do ciebie wstąpił.

– Po ziółka na wątrobę.

– Po ziółka do ziółka, co? – Komendant wyszczerzył rzadko rozstawione zęby. – I ty byłeś w Sokolikowym obejściu. Oj, byłeś, byłeś...

– A byłem, byłem.

– Ciągnie was do Lecha Macieja niczym osę w kompot. No i co on takiego ma w sobie? Kontrrewolucja, Jonasz.

– To rewolucję mamy? – zaciekawiał się stary.

– Uważasz?

– Nie uważam, do środka patrzę – powiedział Jonasz, znowu ziewając. – Na patrzenie wokół nie starcza mi oczu. Ani ochoty. Czyś ty, Komendancie, rozmawiał kiedy ze sobą?

– Ja jestem dogadany – powiedział Komendant. – Nie po to krew przelewałem za władzę ludową, żeby się dogadywać od nowa.

- Ale nad ranem, po przebudzeniu, miewa się różne wątpliwości...
  - Po przebudzeniu robię gimnastykę. Dobrze wiemy, co knuje pan Lech Maciej Orno, nie na darmo tutaj przyjeżdża, ludzi różnych zbiera wokół siebie. Musi u nas?
  - Jak ci nie wstyd, Komendancie? – Jonasz cmoknął, pokręcił głową z wyrzutem. – Kraj jest jeden, turbować się trzeba o całość, a tobie w głowie tylko własny zagon.
  - Niech każdy dba o własny, to będzie kraj jasny! – odparował Komendant.
  - Ja tu nie chcę kontrrewolucji. Powiesz, o czym gadaliście? My i tak wiemy.
  - Figusa wiesz. O dziurze w płucach była mowa, której Orno dorobił się w obozie koncentracyjnym. Krwią pluje.
  - W obozie, powiadasz...
  - W hitlerowskim.
  - A w jakim niby? Ty mi tu nie rób aluzji!
- Wróble poderwały się z płotu i odleciały ku rozpaczy kotów, które wybuchły gniewnym miauczeniem. Wiatr przemknął po odległych szuwarach, zmarszczył gładź jeziora, wyrzucił żagiel samotnego jachtu. Zrywa się czasem taki podmuch w upalny dzień jesienią. Na krótką chwilę. I znów słoneczna zawiesina senności w naturze.
- Facet długo nie pociągnie – powiedział Jonasz. – Ma to w gwiazdach. Otwarta gruzlica, ledwo powłóczy kulasami.
  - Ale do polityki pierwszy.
  - Władzy ludowej jakoś nie umie pokochać. Co to dla niej za przeciwnik? W głowie fantazje, w piersiach gwizdy. A władza mocna.
  - Pewnie, że mocna!
  - I naiwna. Powołała sobie przeciwników. Sama ich mianowała, maluczkich, poobwieszała insygniami. Uszczęśliwiać, sierżancie, trzeba na siłę, surowo. Nic z tego nie wyjdzie, co prawda, ale próbować należy.
  - Ty mi tu herezji nie gadaj – obruszył się leniwie Komendant.
  - Wy tłumaczyć ci tragedię świata? – zapytał Jonasz. – Dlaczego materia nazywana ludzkością musi nieuchronnie zmienić się w energię? Otóż wszystko, co ma swój początek...
  - Filozof jak z kaczki flaczki! – przerwał mu Komendant. – Wiemy, że

Orno knuje, a Sokolik pomaga.

– Sokolik może by i pomógł, gdyby Orno knuł – powiedział Jonasz. – Ale Orno już wie, że go nie ma. Po przyptywie nadchodzi odpływ, po morzu zostaje piasek. Jak rybka nie ucieknie z falą, musi zdechnąć od powietrza.

– Po co tam byłeś wczoraj?

– Zaniosem mu nalewkę, żeby umierał bez bólu – odparł stary, patrząc w odbarwione niebo. – Zaczyna się dusić po nocach. Powinien był umrzeć rok temu, ale podtrzymała go gorączka. Teraz opadła, więc umrze sobie cichutko. Ksiądz Celestyn namawiał go na spowiedź. Słyszeć nie chce.

– Tacy nawet w Boga nie wierzą – powiedział Komendant. – Ja nie wierzę z przekonania, a oni z nienawiści.

– Co za różnica?

– Gdyby Bóg istniał, mnie wybaczyłby niewiarę. On ceni porządek.

– Na pewno ceni – przytaknął Jonasz. – Jest wszechwiedzący podobno, człowieka zaś stworzył na wzór i podobieństwo swoje. Ty też chcesz wiedzieć wszystko.

Komendant poczuł zapewne, że wchodzi w pułapkę zastawioną przez czorta Jonasza: szybko zapiał kurtkę, przez co nabrał służbowego dostojeństwa, odchrząknął, groźnie zmarszczył brwi.

– Za dużo sobie pozwalasz – mruknął. – Wiemy niejedno o tobie. Uważaj, stary.

– Uważam, Komendancie.

– Możemy nawet wiedzieć, gdzie pędzisz bimber.

– Tego jeszcze nie wiesz – powiedział Jonasz. – Gdybyś wiedział i nic, straciłbym dla ciebie respekt.

– Nie rozumiesz ducha milicji – powiedział Komendant. – Wkraczamy w stosownym momencie, kiedy o coś chodzi. My też posiadamy swoją filozofię.

Popatrzył znacząco na Jonasza i odmaszerował, kołysząc biodrami. Biodra miał kobiece, rozpychające mundur. Helcia, żona Komendanta, była budowy chłopięcej, jeszcze jeden dowód, że natura dba o proporcje, kojarząc przeciwieństwa.

Ekipa kontrolna składała się z trzech energicznych mężczyzn i pulchnej kobiety w dżinsach. Wypicia kawy z cukrem odmówili kategorycznie. Gdy Pudrycy wszedł do gabinetu prezesa, ten spojrzał na niego jak rozbitek na ład, odetchnął donośnie i powiadomił ekipę, że oto jest magazynier W., który pokaże wszystko, bo on, Kowalski, jest tutaj nowy i jeszcze nie wprowadzony do końca. Pudrycy odegrał krótkie zmieszanie: oczy mu się rozbiegały, podbródek drgnął, zęby ścisnęły dolną wargę. Pochylił głowę i zapewnił, że jest do dyspozycji kontrolerów.

Główny kontroler zmierzył go chłodnym spojrzeniem, to samo zrobili kontroler średni i młodszy; kobieta w dżinsach patrzyła obojętnie przed siebie, niczym Temida bez wagi.

– Gdzie się pan pęta w godzinach pracy? – rzucił główny kontroler.

Pudrycy pochylił głowę jeszcze niżej.

– Byłem na zastrzyku – odparł. – Nie zgodziłem się wziąć zwolnienia lekarskiego. Tyle roboty...

Wzrok głównego nie zmiękł.

– Znamy te sztuczki ze zwolnieniami. Wie pan, ile wydaje się u nas lewych zwolnień?

Prezes Kowalski uznał za stosowne stanąć w obronie Pudrycego: teraz wszystko było przecież w rękach magazyniera.

– Kolega W. jest po wypadku – powiedział. – Leżał na reanimacji.

Temida drgnęła. Potrząsnęła trwałą w kolorze kaczeńców i popatrzyła na Pudrycego z zaciekawieniem.

– Miał pan jakieś przeżycia podczas śmierci? Reanimowani opowiadają o tunelu. Zdaniem uczonych jest to pragnienie powrotu do łona matki.

– Możliwe – zgodził się grzecznie Pudrycy. – Ja nie miałem żadnych przeżyć. Niestety. Mogę prosić państwa do mojego biura?

Ekipa podzieliła się: główny z kobietką poszli do Pudrycego, a średni i młodszy do księgowości. Pudrycy wprowadził swoich kontrolerów do kantorku, pościągał z półek skoroszyty i rozłożył je na blacie biurka, jeden przy drugim. Przyniósł z sekretariatu fotel, żeby Temida mogła rozsiaść się wygodnie, ale w fotelu zasiadł główny, pozostawiając Temidzie rozchybotane krzeselko.

- No to jak będzie? – zapytał. – Sam pan się przyzna czy mamy szukać?
- Raczej to drugie – powiedział Pudrycy.
- W Skiroławkach magazynier od razu się przyznał. Umieściliśmy ten fakt w raporcie, stanowi okoliczność łagodzącą. Ma pan jeszcze szansę, kolego B.
- W. – poprawił Pudrycy. – Nie wiem, co wam donieśli...
- Nie opieramy się na donosach! – przerwał mu ostro główny. – Zawsze jest się do czego przyznać. Nie to nie!

Pudrycy przez pewien czas obserwował, jak para kontrolerów studiuje podania i rozdzielniki, porównując je z kwitami odbioru i wykazami wpłat bankowych.

- Nie będę przeszkadzał – odezwał się. – Czekają na mnie w skupie.
- Może pan iść – mruknął główny.
- W sąsiednim pokoju jest mój zastępca. W razie czego udzieli wyjaśnień.
- Poradzimy sobie – zapewniła Temida. – Na pewno nie miał pan przeżyć pośmiertnych?
- Bardzo żałuję, proszę pani.

Pudrycy opuścił kantorek, wspiął się na piętro i zerknąwszy wokół, czy nie jest obserwowany, wślizgnął się do gabinetu prezesa.

Prezes Kowalski stał przy oknie i nerwowo zaciągał się jugosłowiańskim papierosem. Wykonał szybki półobrót.

- No co?
- Nic na razie.
- Na razie, powiadacie? Chciałbym wiedzieć, dlaczego właśnie do nas zjechali. Mam swój pogląd...
- Normalna rzecz, panie prezesie.
- Srokacz zapamiętał, że go nie poparłem na egzekutywie. Takiemu jak on wystarczy, że człowiek wstrzymał się od głosu. A Rogalski to jego kuzyn, jeden telefon, rozumiecie, potem słówko sekretarzowi, sekretarz nie musi polecać, napomknę mimochodem dyrektorowi, ten notatkę do Pstrokoncia i jesteśmy ugotowani.
- Nie sądzę.
- Ja też nie sądzę – zgodził się Kowalski. – Jestem tu za krótko, żeby się orientować. Dotąd pracowałem w kulturze.

- Nie sędzę, aby coś nam groziło – powiedział Pudrycy.
- Liczba mnoga? – rzucił nieufnie prezes.
- Mnie – poprawił się Pudrycy. – Wszystko jest w idealnym porządku.

Prezes Kowalski rozchmurzył się, zdusił w popielniczce niedopalony papieros i poklepał Pudrycego po ramieniu.

– Na was można polegać, kolego W. Gdybym miał takiego magazyniera w hurtowni księgarskiej, nie zaginąłby ani jeden kalendarz.

Afera z kalendarzami omal nie wykończyła Kowalskiego, kiedy szefował w hurtowni wojewódzkiej: w papierach figurowały, na półkach też – ale zesłoroczne. Kto kupi ubiegłoroczny kalendarz? Gdzie podziały się aktualne? Z opresji wybawił go dopiero protokół stwierdzający niewłaściwe umieszczenie święta państwowego. Kalendarze poszły komisyjnie na przemiał, przeterminowanie już nie grało roli: nikt nie pytał o rok, w którym 22 lipca wypadł 16 lutego. Metrampaż, który wziął to na siebie, został zwolniony dyscyplinarnie i przeniesiony do innego miasta na stanowisko kierownika małej drukarni.

Pudrycy podziękował za uznanie. Jeszcze rok temu prezes Kowalski ze swoim żalosnym lęczkiem budziłby w nim pogardę. Góralczyk, ten był twardziel: przed podwładnym niepokoju nie ujawniłby za nic. Nie tacy kontrolerzy go nachodzili, załatwiał ich z wierzchu, miał polityczne podejście do życia. Gdyby Pudrycy zechciał, Kowalskiego już by tu nie było. Jak obcy mógłby przetrwać wśród swoich? Ale niech trwa. Odkąd Pudrycy uwolnił się od ambicji, pogardę zastąpiło współczucie. O czym marzy prezes? Żeby zostać naczelnikiem. Nie wie, biedak, jak słodko jest naczelnikowi między kowadełkiem i młotkiem, jak łudzi się, że zostanie wicewojewodą i wtedy świat mu się odmieni. Z pewnym wicewojewodą Pudrycy pił kiedyś i wiedział, o czym tamten marzy przed zaśnięciem, ale z wojewodą los go nie zetknął przy butelce, mógł więc domyslać się jedynie owego łańcucha pragnień, które zawsze plasują się pomiędzy młotem i kowadłem, choćby najwyżej sięgały. Zmartwychwstań – zrozumiesz. Nie przypadkiem Jozue, syn Marii, urzekał pokorą, piętnował ambitnych i czynił cuda. Na jaki cud stać wojewodę? Rozmnoży połędwicę, urodzi ogumienie do ciągników, przekona niewiernych, że świat zmierza ku lepszemu?

Dawniej Pudrycy nie rozumiał Jonasza Hoffa, gdy ten dowodził, że rozwój i postęp to dwie różne rzeczy: postęp, czyli zmierzanie ku lepszemu, jest ułudą, na którą nabiera się ludzkość, aby słuchała przywódców. Postęp musiałby być sterowany, ze znajomością praw rozwoju. Kto zna prawa rozwoju? Gdzie nie ma kryzysów, klęsk, rozczarowań? Raptem wszystko bierze w łeb: upadają imperia, rozsypują się potęgi, armie stają naprzeciw siebie. Wszystkiemu, powiadał Jonasz, winna jest nieznajomość praw rozwoju, a poznać je trudno, ponieważ stawiają opór rozumowi: są nielogiczne. Wiele pięknych teorii wylądowało na śmietniku, zastąpiły je inne, które też czeka śmietnik. Świat zmierza dokądś wedle Generalnego Planu, którego fragmenty da się odczytać w gwiazdach, ale ten Plan nie ma na uwadze interesów jakiegokolwiek tam cywilizacji na jednej z planetek zwanej Ziemią. Zapewne Autor Planu dąży ku czemuś, nie będzie jednak tłumaczyć się z tego byle komu. Czy wyjaśniamy mrówkom, że burzymy ich kopiec, bo chcemy w tym miejscu postawić dom? Dla mrówek jest to kataklizm, koniec ich świata. Dla bezdomnych – początek. Nie wierzę w żadne takie – powiedział Jonaszowi Pudrycy – a gdyby nawet, to co z tego? Jakoś trzeba żyć, coś trzeba robić, w czymś pokładać nadzieję. Brawo! – ucieszył się stary.

– Róbmy i pokładajmy! Filozofowanie, Pudryceńku, ma sens tylko do pewnych granic, dalej zaczynają się manowce, więc w tył zwrot i do roboty. Postępuj, nie ustępuj, stąpaj ku postępowi, a na wstępie wstąp do ustępu! I śmiał się długo, grzmocąc Pudrycego po plecach, rozbawiony jak dziwka nad prawiczką. Dopiero po śmierci Pudrycy zrozumiał, że jest coś w Jonaszowym gadaniu: gorzej czy lepiej, a na końcu i tak czeka cię tunel z Rozkoszną Światłością, od której, być może, wszystko dopiero się zaczyna.

– Zostawiliście ich samych? – zapytał Kowalski.

– Niech buszują. Nie mamy niczego do ukrycia. W razie czego mój zastępca jest pod ręką.

– Ja pracuję tu od niedawna – powiedział prezes.

Frajerze, pomyślał Pudrycy, zanadto się obnażasz, nie zrobisz kariery. Dobry gracz nie okazuje lęku, zawsze jest pewny siebie, zwłaszcza wobec podwładnych. Do pięć nie dorastasz Góralczykowi.

– Ma się rozumieć – odparł. – Oni tu długo nie zabawią, skończą o szóstej.

Gruntowna kontrola potrwałaby miesiąc, a oni muszą obskoczyć całe województwo, żeby było do sprawozdania na konferencję. Teraz taka moda.

Uśmiechnął się do Kowalskiego z tą odrobiną poufałości, jaka wystarczy, żeby uspokoić, bez przekroczenia progu stosunku służbowego, co mogłoby sugerować komitwę. Prezes odpowiedział podobnym uśmiechem.

Pudrycy opuścił gabinet tak samo, jak wszedł, drzwiami prowadzącymi na korytarz, z ominięciem sekretariatu. Były otwarte tylko w szczególnych sytuacjach: prezes musiał czekać na jego wizytę. To dowodziło, że już się rozumieją.

## Rozdział trzeci

Naiwni ufają ciemnościom. Mrok utrudnia widzenie, ale wyostrza czujność, włącza pozostałe zmysły, nasycza podejrzliwością. Po nocy ludzie śpią. Noc w Krasnogaju zaczyna się od zmierzchu, kiedy mężczyźni, ziewając, siadają przed telewizorami, a żony nakrywają przed nimi stół, wnosząc zsiadłe mleko i parujące ziemniaki. Czasem piwo zamiast mleka. Czasem do ziemniaków przysmażoną na czarno kaszankę albo pokrojony w plastry salceson. Uliczki pustoszeją. Tylko przed gospodą trochę ruchu. Kapral Słowacki patroluje osowiałe miasto na motorze, niekiedy zaś pieszo w asyście szeregowego Mołojca, a na posterunku przy telefonie dyżuruje wtedy plutonowy Karaś: władza czuwa na okrągło.

Dzień jest bezpieczniejszy. Kroki na bruku nie wywołują ciekawości, nie ściągają ludzi do okien. Kapral przemierza motocyklem okoliczne szosy, krąży wokół jeziora, wypatrując namiotów w miejscach niedozwolonych i amatorów kąpieli bez kart pływackich. Komendant pisze raporty w swoim gabinecie, Karaś gwarzy z niektórymi, zbierając materiał.

Jonasz pędzi bimber tylko w dzień, gdy smużka dymu nad lasem nie zwraca niczyjej uwagi, jeśli jest nikła. Najczęściej topnieje, zanim wymknie się ponad korony drzew. Wiatr temu sprzyja. Po południu dmuchnęło trochę i Jonasz wyruszył do lasu z wiklinowym koszykiem, co dla sąsiadów znaczyło, że wybiera się na grzyby. Wariat! W taką suszę? Kto inny byłby uznany za wariata, ale nie on: znał miejsca w podmokłych ostępach, gdzie zawsze trafiało się trochę gąsek, borowików nawet. Nie zapominał o grzybach w powrotnej drodze.

Rozejrzał się na wszelki wypadek, czy ktoś za nim nie idzie. Pusto na polu. Zagłębił się w las sosnowy poprzeplatany krzewami, wszedł w gąszcz, który przed nim jakby się rozstępował, robiąc wąską dróżkę. Pachniało bagnem, gnijącym igliwem, żywicą. Splątana roślinność przesłaniała niebo. Buciory Jonasza deptały po miękkim, później po wilgotnym, mlaskającym tłusto: zaczynały się mokradła.

Drzewa rosły tu rzadziej. Między kępami ostrych, szczeciniastych traw połyskiwały smoliście oczka wody bagiennej. Obcy utonąłby po dziesięciu

krokach. Jonasz mógł wędrować przez bagno z zamkniętymi oczami, szedł wtedy tysiące razy, nie musiał patrzeć. Tylko raz chciał zboczyć ze szlaku w mokradła. Czterdzieści lat temu. Po ściętych drzewkach, które tworzyły pomost, nie zostało śladu. Ani po tych, którzy towarzyszyli Jonaszowi. Z wyjątkiem Storcha.

...Szedł między parą żołnierzy w ciemnozielonych mundurach: kiedy spróbował skoczyć w topiel, obaj równocześnie chwycili go za ramiona. Przewidziałem i to – powiedział pogodnie kapitan Storch – śmierć nie jest ci jeszcze pisana, czyżbyś nie ufał swoim gwiazdkom, kowalu? Na szkoleniu oślepiali koty igłą. Storch robił to bez przyjemności. Teraz, powiedział, jest mu nawet przykro, ponieważ zawiódł się na Hoffie, liczy jednak, że w kowalu odezwie się w końcu krew germańskich przodków – gdy już będzie po wszystkim. Życie to jeden ciąg ćwiczeń charakteru. Rasa dyktuje wymagania. Gdyby Hoff nie był czystej krwi Niemcem, kapitan, być może, machnąłby ręką: niech tam, pal diabli, wcześniej czy później i tak rzecz się stanie! Niemiec Niemca musi jednak ratować. Cięcie skalpelem boli, ale uwolni kowala od wrzodu psychicznego, otworzy przed nim nowy świat, w którym duma narodowa i godność zajmą należne im miejsce. Darowałby pan, gdybym nie był Niemcem? – zapytał Hoff. Masz złote ręce i czytasz w gwiazdach – odparł Storch – czuję do ciebie szczególną słabość; gdybyśmy obaj nie pochodzili z Kurlandii, udałbym chyba, że o niczym nie wiem, ponieważ cenię sobie sprawność swojego motocykla. W owej właśnie chwili Jonasz doznał objawienia: Storch pokrył się krótką sierścią, łeb zwieńczyło mu poroże, pysk wydłużył się, błysnęły czerwone ślepia. Od zwykłego rogowca różniły go tylko kły, wygięte ku górze nad chrapami, i znak na czole w kształcie odwróconego krzyża, dymiący jeszcze od piekielnego żaru. Trupi odór, cytrynowa poświata. Moment. Potem Storch na powrót przybrał postać kapitana, ale Jonasz już wiedział.

Czeka ich obu długie życie. Kiedyś jednak będą musieli się spotkać. Świat nie skończy się wcześniej...

Mokradła zostały w tyle. Jonasz znowu zanurzył się w gęstwinę, pokonał pagór i zszedł do kotlinki. Zatrzymał się przy obalonym drzewie; pień był zmurszały, ogromny, porośnięty śliskimi liszajami mchu. Stary objął go,

dźwignął i odrzucił w bok. Sapnął po wysiłku: pień ważył najmniej dwieście kilo. Dawniej Jonasz rzucał nim jak kłodą, ale z biegiem lat drzewo stawało się coraz cięższe.

Rozgarnął gałęzie i pchnął spróchniałe drzwiczki. Musiał się skulić, aby wejść do schronu. Zapachniało kwasem, fermentem. Po omacku znalazł lampę naftową. Zapalił. W migotliwym świetle zobaczył drewnianą pryczę, na której sypiała Regina Kuperholc, taboret, na którym siadywała, żelazny piecyk, który grzał ją w zimie. Obok piecyka, pod baraním kożuchem, dojrzewał zacier. Jonasz przyświecił, zajrzał do aluminiowej konwi: piana opadła, bąbelki nie wypływały na powierzchnię płynu. W sam raz. Ostrożnie, by nie zbełtać drożdżowego osadu, przelał zacier do pojemnika na mleko i zamknął hermetyczną pokrywę z wywierconym w niej otworem na czop z węzownicą. Rozpalił w piecyku. Obok znajdował się kran ze źródlaną wodą, którą Jonasz doprowadził był tu niegdyś od strumienia, szukując schron dla Reginy. Wciąż funkcjonował, studząc węzownicę.

Wkręcił czop w pokrywę i ustawił pojemnik na ogniu. Dym z piecyka wyprowadzały na zewnątrz rozgałęzione przewody: z daleka wyglądał jak mgielny opar unoszący się nad bagnami. Minie pół godziny, nim zacier dojrzeje do stanu wrzenia. Fura czasu. Jonasz ustawił gąsior u wylotu miedzianej węzownicy, rozsiadł się na taborecie, wyjął z kieszeni irchowy kapciuch z miejscowym tytoniem wirginia i zrobił sobie skręta w pasemku gazety. Tytoń był mocny, ususzony specjalnie z domieszką dzikich jabłek i lipcowego miodu. Miał słodkawy aromat. Jonasz zaciągnął się, dmuchnął kłębem dymu, w owym kłębie zobaczył bladą twarz Reginy uniesioną nad pryczą, wielkie ciemnozielone oczy i nieład miedzianych włosów rozsypanych na pluszowym jaśku. Co tam słyszeć, Jonasz? Nic nie słyszeć, twoi czekają na papiery, Anglia ma ich wykupić za ciężarówki wojskowe. Awrum zadba, żebyście byli na liście do wykupienia. Po co te kłamstwa, Jonasz? Nikt nas nie sprzeda, nikt nas nie kupi, misja jest ważniejsza od ciężarówek. Co im po ciężarówkach, jeśli pozwolą nam się odrodzić? My i Hitler nie pomieścimy się na ziemi. On wie. Musi zniszczyć nas wszystkich: czego już nie ma, o to nikt się nie upomni. Nic nie dawały prześladowania, nic nie dawały pogromy, ponieważ myśmy trwali, więc problem trzeba

rozstrzygnąć radykalnie. Podbić świat i szlus. Hitler nie ma innego wyjścia. Hitler jest skończony – odparł Jonasz, popykując skrętem – był skończony, nim rozpoczął krucjatę, natura nie toleruje fanatyzmu, bo to zakłóca jej równowagę. Niech naturę cholera weźmie – usłyszał. Nie chcę przeżyć sama. Nie przeżyjesz sama – zapewnił Jonasz, pilnując się, aby nie myśleć o Kuperholcach, ponieważ Regina umiała czytać w jego myślach, a Kuperholców przepuszczano już przez oświęcimski komin, czarną tłustą smugą ulecieli w niebo, wszyscy z wyjątkiem Reginy i Awruma, jej młodszego brata, któremu Jonasz pomógł uciec. W gwiazdach było, że wojna potrwa dwa tysiące dni. Upłynęło ledwo tysiąc. Następna wojna będzie dużo krótsza, lecz to żadne pocieszenie; o niej gwiazdy mówią w sposób dziwnie mętny, zapowiadając niewyobrażalne, niczym widzenia świętego Jana Teologa po złamaniu siódmej pieczęci. Nie przeżyjesz sama – powtórzył z mocą, jakby na przekór zapowiedzi wyczytanej w gwiazdach, na przekór temu, co się stało później, czemu nie był w stanie zapobiec – wasi ukryli się dobrze, a Hitler przegrywa: ech, zatańczymy jeszcze na weselisku! Nie będzie weseliska, Jonasz. Kocham cię, ale w żyłach masz niemiecką krew. Mój naród mi na to nie pozwoli. Więc to tak? – zapytał Jonasz. Więc i wy? Naszym celem jest dotrzeć w czystości, dlatego lepiej, żebym umarła. Już umarłam. Gdyby śmierć przychodziła za karę, zostałabym ukarana za grzeszną miłość do ciebie, bo nie pokocham syna Izraela. Ale śmierć nie jest karą; gdyby stanowiła karę, możliwe byłoby przebaczenie, akt łaski. Umarłam zgodnie z przeznaczeniem, a przeznaczenie jest bezosobowe, obojętne na protest jednostki – jest wyższym prawem natury, która wymierza zbiorową sprawiedliwość. Jahwe wie, co robi. Nie musi się z tego tłumaczyć. Ma za dużo na głowie, żeby przejmować się pojedynczym egzemplarzem.

Jonasz podłożył do pieca kilka suchych szczap i dotknął naczynia z zacierem: było gorące, niedługo zacznie parować. Ogień w piecyku buzował radośnie, jakby i on się cieszył na kielicha z pierwszego udoju. Jonasz popatrzył na pryczę, chuchnął szarym dymem. O, nie! – powiedział do Reginy. Na pokorę mnie nie namówisz! Niech twój Bóg kręci całością, a ja mam do załatwienia swój osobisty porachunek. Na każdego przypada po

diabie rogiem. Dlatego ich tyle się pęta, że przeciętny człek zwala całą robotę na Szefa: pomodli się co najwyżej i z głowy. Już ty mi pozwól, Reginko, rozliczyć się z kuternogą za nas dwoje. Zobaczysz, jak ci to dobrze zrobi, kiedy będzie po wszystkim. Wtedy się zamelduję przed tobą w całej rozciągłości i wyprawimy niebiańskie weselisko za specjalną zgodą Szefa, pod muzyczkę trąb archanielskich.

W naczyniu zabulgotało. Jonasz puścił wodę z kranu na spłot węzownicy i począł obserwować, jak do gąsiora spływają pierwsze krople spirytusu. Zapachniało gorzko. Spirytus był mętny, szarawy. To nic, ustoi się do wieczora, zioła wytrącą zawiesinę, suszone śliwy udzielą aromatu. Będzie wieczorem popijawa! Księdza Celestyna też trzeba zaprosić, wypije niedużo, plasterkiem cebuli zagryzie, pomilczy, ale w chwili właściwej, gdy spór z nagłą odmieni się w awanturę – nie ma to jak ksiądz Celestyn: celnym słoweczkiem rozśmieszy, namiętność rozładuje ironią, fantazje za uszy chwyci i na ziemię ściągnie. Gdzie ty, a gdzie wieczność? Bacz, człowieku, byś się nie rozpęknął od pychy jak sparciała dętka! Nie naganiaj innym swojej szczęśliwości, nie każdemu w smak szczawiowa ze szczypiorem, jeśli akurat woli konfiturę z pigwy albo gacie przeprać.

Jonasz podsunął garnuszek pod wylot węzownicy, odczekał, aż naleci, i łyknął. Uff, cholera!... Kropelkę zostawił na dnie, strzyknął zapalką: płyn zapłonął niebieskawym ogniem. Wybacz, Regina. Nie samym gniewem człowiek żyje, nie samą ideą, choćby najszlachetniejszą ze szlachetnych, nie samą przeszłością, co wymaga skwitowania. Między udami Anielki też jest ciepło, choć bez zawrotu głowy, do rajy ulatywania, bólu od beziły. Miło śledzikiem zakąsić ognisty kielich, przygadać Sokolikowi, powspółczuć Pudrycemu, że siebie nie przeskoczy. A jak szczur wyzdrowieje po eliksirze? Masz pojęcie, Regina? Od szczura do człowieka wcale nie tak daleko, jak się szczurowi wydaje. Prawie tacy sami, tylko wąsy inne.

Już nie dokładał do pieca. Drewno zwęgliło się w pomarańczowy żar, z otworka rurki ciurkał równy strumyczek, gąsior był prawie pełen. Osiem kilo buraków, dwa kilo cukru, grudka drożdży, garść ziół i woda przegotowana – pięć litrów gorzały mocnej jak piorun. Ile by dał Komendant, żeby zamienić się z Jonaszem na dusze? Nic by nie dał. Każdy

jest przywiązany do swojej. Dwa gatunki są, w obrębie gatunku różnice nie aż takie bardzo, jeśli wejrzeć w jakość. Ty ścigasz, ciebie ścigają, a cuzamen ściga się niedoścignione. Byle głowa nie za mocna. Wtedy po paru kielichach można ucaścić księżyc.

Do kiosku przywieziono papierosy. Kierowca wynosił z nyski szare kartony i człapał z nimi do drzwi, ustawiając w progu jeden na drugim. Kioskarka sennie stawiała fajki w fakturze.

- Wszystko?
- Wszystko.
- A proszek do prania? Zamawiałam.
- Nie dali.

Przed kioskiem poczęła się formować kolejka. Parhoń przyglądał się z balkonu, jak do lady podeszło najpierw dwóch chłopaków w kaszkietach, potem babcia z siatką, głuchy stolarz Prońko, wreszcie grupka mężczyzn, która nie doczekała się piwa w spożywczym obok. Stanęli w rzędku twarzami do słońca.

- Jakże przywieźli? – zapytał stolarz.
- Same kartkowe – odpowiedziała kioskarka, sortując kartony.
- A kartkowe też?

Kioskarka przypomniała sobie, że stolarz jest głuchy, i wyraziście skinęła głową. Stolarz wydłubał zza pazuchy pomiętą kartkę, obejrzał ją pod światło, westchnął.

- Papierosów już nie ma – powiedział. – Wziąłbym za kaszę.
- Zamiast kaszy dają mąkę – powiedziała do kolejki babcia z siatką. – Mogę wymienić papierosy na alkohol.
- A ja teściową na masło – mruknął leniwie jeden z mężczyzn. – Jak deszczu nie będzie, ziemniaki uschną na amen.
- W Ameryce robią deszcz – zauważył drugi. – Brat mi pisał. Strzelają ze specjalnych armat i powstają chmury.

Parhoń skrzywił się, dotknął obolałej szczęki. Nalewka Jonasza jeszcze działała, ale ból ożywał, czał się tępym ćmieniem. Pod czaszką kołatały młoteczki. Myślał, że zdrzemnie się w fotelu na balkonie, sen jednak nie napływał, płoszony gadulstwem kolejki. O czym tu marzyć, czego pragnąć,

gdy za współnika ma się pytlującą hołotę, której w głowie alkohol zamiast masła i deszcz z amerykańskich armat? Substancja narodowa przeżarta zarazą przyziemności, pazerna na proszek do prania i kartkowy tłuszcz. Otępiała i gnuśna. Czy to ci sami, których przodkowie wypalali na kartach historii Psie Pole i Grunwald? Którym surmy grały pod Samosierrą? Boli. Trzeba jednak będzie pójść do dentysty i usunąć pieniek. Niektórym tak się znieczuła, że ząb wychodzi jak cebulka z grządki. Jemu oczywiście nie znieczuła. Parhoniowi nikt nie szczędzi cierpień, byle poniżyć, upokorzyć.

Sapnął na myśl o rwaniu. Już same obcęgi – niklowane, masywne, wielkie jak do ciągnięcia hufnali – napawały lękiem. I ten zapach kamfory, salicylu. Trzeba szeroko otworzyć usta i wpuścić bezlitosny metal, przyjąć go dobrowolnie, godząc się na brutalną penetrację, twardy chwyt, obrót, szarpnięcie. Może być jeszcze dłutowanie: dłubanina ostrzem w żywej kości, rąbnięcia młotkiem jakby prosto w mózg. Dlaczego organizm sam nie wydała zgnilizny? Podobno w Kartuzach jest znachor, który ząb wyjmuje palcami, a pacjent nawet nie czuje tego.

– Napijesz się kompotu?

Parhoń spojrzał z niechęcią na żonę. Miała na sobie halkę opinającą fałdy tłuszczu. W szklanym dzbanku, który mu pokazywała, stanąwszy w drzwiach balkonu, przelewał się mętny płyn z ćwiartkami jabłek. Powinna była zostać w polu i pielic ćzosnek, ale gdzie tam: on do domu, ona do domu, niby doglądać cierpiącego męża, a tak naprawdę – powałkonić się, poobijać, posiedzieć przed toaletką. To wklepywanie kremu w porowate policzki, szczotkowanie posklejanych włosów – ohyda. Gdyby ćzosnek się udał, życie Parhoniów mogłoby przybrać całkiem nowy kształt: już nie skromna pensja bankowa, ale prawdziwe pieniądze – starczy na pomoc dla córki, meble do stołowego, kto wie, czy nie na auto, fiata w dobrym stanie, które sprzedaje elektryk, bo wylosował właśnie poloneza na książeczkę samochodową. Parhoń nigdy nie miał pieniędzy; inni się dorabiają, coś tam potrafią przyszczędzić, zrobić interesik, pokombinować na boku – ale nie on. Gołe pobory, od lat niezmiennie, premia kwartalna skromniuteńka, nagroda uznaniowa nie częściej niż raz do roku. Inni awansują, robią kariery. Was, Parhoń, na krok od siebie nie puszcze – mawia dyrektor banku

– wy jesteście opoka, filar firmy: po co mi komputer, jeśli wy pamiętacie bezbłędnie wszelką zaległość każdego dłużnika, z datą i terminem. No i bądź, człowieku, etatowym komputerem dyrekcji. Komputer afery nie namota, decyzji samodzielnej nie podejmie, nie wyróżni się przed zwierzchnością niczym błyskotliwym. A żywy komputer jest tym cenniejszy dla firmy, że kosztuje mniej niż elektronowy, nie psuje się i można go opieprzyć. Te pół hektara pod lasem przez lata całe dawało Parhoniom warzywa na zimę i dalej spełniałoby tę funkcję, gdyby nie znajomek z wojewódzkiej centrali skupu. Czy są na świecie bezinteresowni? Pluń na kartofle, puść czosnek, jeśli ci wyjdzie, masz załatwiony kontrakt eksportowy – dziesięć procent dla mnie, taki zwyczaj. Zwyczaj to zwyczaj, skąd Parhoń ma znać zwyczaje biznesu? Ale czosnek musi być dorodny, chodzić przy nim trzeba, każdy chwaścik wyrwać z korzeniem. No i chodzą, psiakrew...

– Nie chcę kompotu! – warknął Parhoń. – Ty krowo rozlazła! Do forsy oczka ci się świecą, co? Ale popielić...

Parhoniowa pociągnęła z dzbanka. Piła demonstracyjnie, ze wzgardliwą urazą, aż na dnie zostały same ćwiartki jabłek.

– Wyszłam za жолопа, to teraz mam – powiedziała. – Przeniosę się do Hanki i będziesz tu sam jak pies. Dawno powinnam była tak zrobić.

Parhoń pomyślał o losie, który jest podły dla porządnych i hojny dla zbulwysynów. Nielichy drań musiał to tak ustawić. Mojżeszowa sprawiedliwość, sieroca dola nieobrzezanych, których mafijne przeznaczenie skazuje na wegetację: nawet żona musi okazać się świnią.

– A zrób – powiedział. – Warte siebie jesteście. Matka nierób i córuchna z bękartem.

Odwrócił się do żony i w nagłym przypływie bólu zęba zobaczył jak przez mgłę Pudrycego, który machał z dołu, przywołując. Parhoń stęknął, że nie zjeździe, niech magazynier pofatyguje się na górę, jeśli ma interes. Ciekawe, co za interes może mieć do niego Pudrycy? Buty dowieźli? Parhoń pytał Pudrycego o dostawę obuwia, potrzebne mu były buty na zimę, stare całkiem się rozlazły. Zależało mu na ciepłych, ze sztucznym kożuszkim w środku: marzył zawsze od nóg, z biegiem latek rosła skłonność do przeziębień, a dyrektor banku krzywo patrzył na zwolnienia lekarskie.

Przywitał się z Pudrycy, wskazał mu pleciony fotelik.

– Cierpię – powiedział. – Chyba mam zapalenie okostnej.

– Nic nie dzieje się bez powodu – odparł Pudrycy, przypatrując się z ukosa obrzmiałej twarzy księgowego. – Mamy w GS-ie nieoczekiwaną inspekcję.

– Gdzie tu związek z moim zębem?

– Wszystko łączy się ze sobą. – Magazynier przesunął palcami po bliznach na czole. – Tak przynajmniej uważa prezes Kowalski, a on się przyjaźni z twoim dyrektorem.

Parhoń odczuł lekki niepokój. Skoro go odczuł, musiała być po temu przyczyna. Pudrycy miał coś z pewnością na myśli, napomykając o przyjaźni prezesa z dyrektorem w kontekście zapalenia okostnej i nagłej inspekcji w GS-ie.

– Od dwóch dni nie chodzę do pracy – powiedział na wszelki wypadek.

– No to co?

– Kiedy człowieka boli ząb, nie myśli o niczym innym.

– Myśli albo nie myśli. Inspekcji nie zesłał nam Pan Bóg...

– A kto?

– No właśnie. Komuś przypomniła się skarga na straż pożarną i powiedział o tym prezesowi.

– A nie pili na służbie strażacy?!

– Przedtem była skarga na naczelnika poczty...

– Skargi podpisuję nazwiskiem! – rzucił z mocą Parhoń. – Taki już jestem, znasz mnie! Rozbisurem naród, rozpuścił jak bicz żydowski, ktoś musi dbać o morale, wskazywać nieprawości, żądać porządku!...

Pudrycy nieśpiesznie zapalił jugosłowiańskiego papierosa, rozwalił się w foteliku, założył nogę na nogę.

– Na jakie to nieporządki wskazałeś u nas? – zapytał. – Czy aby ból zęba nie jest karą za oszczerstwo? Prezes Kowalski nie uznaje metafizyki, ale wierzy w sprawiedliwość, tak samo jak twój dyrektor. Ból zęba jeszcze nie wyrównuje rachunku.

– O czym ty mówisz, Pudrycy?...

– O donosie – odparł magazynier. – Który wysłałeś do naszej centrali. Niepotwierdzony donos obraca się przeciwko donosantowi.

– Ja?!...

– Ty. Odgrażałeś się w spożywczym? Groziłeś w tartaku? Próbowaleś zastraszyć mnie przed miesiącem, że przyzwalam na fałszowanie receptur w masarni? Jałowcowa ci nie smakowała.

Parhoń westchnął. Pochylił się do Pudrycego i zaczął mu tłumaczyć głosem ściszym, że upadek moralny narodu sięga już dna, rozkołysany w latach okupacji, kiedy kant i sabotaż były bronią w walce, umocniony za stalinizmu hasłami sprzecznymi z realnością, pogłębiony później wizją pełnego brzucha kosztem frajerów. Rebelia była konsekwencją ubóstwa duchowego i degradacji, którą sztab spisku zaprogramował w szczegółach. Klęskę rebelii również. Nawet walkę z okupantem sztab zaplanował, licząc słusznie, że naród, wiedziony naiwną rycerskością, nie zgodzi się na getta i piece. Potem masoni wśliznęli się do rządu i już bez przeszkód drążyli, jątrzyli, rozkładali, triumfując kosmopolitycznie, gdy Słowianin Słowianinowi stawał się coraz bardziej wilkiem. Nadal trwa proces rozkładu; tylko nieliczni nie dają się zwieść spreparowanym życiorysom, nazwiskom z herbarza i oczom fałszywie modrym, zza których przeziiera cynizm. Patriotycznym obowiązkiem jest stawiać czoło, protestować, ujawniać. Tak jest, od gminy poczynając! Niedoważanie, opilstwo, lewy interes, atrofia i towar pod ladą – to ich robota. Parhoń nie ustanie więc, nie popuści ani nie odstąpi w żadnej sprawie, choćby najbliższej.

– Ale skargi na GS nie napisałem.

– Łżesz.

– Nie napisałem, słowo patrioty!

Pudrycy zdusił niedopałek na balkonowej poręczy i pstryknął w przestrzeń.

– Ja bym ci może uwierzył, ale jak skłonić do tego innych? – zapytał. – Nie człowiek się liczy, tylko opinia o nim. Uchodzisz w Krasnogaju za pieniacza.

– Niech dadzą do ekspertyzy.

– Żartujesz. Do ekspertyzy idzie donos, któremu nie dano posłuchu. Teraz, kiedy już zjechała nieoczekiwana inspekcja, donos staje się poufnym dokumentem, a kontrolerzy muszą coś znaleźć. Prezes Kowalski nie zapomni ci tego.

– Co mam zrobić? – zapytał Parhoń, pełen niepokoju, ponieważ Kowalski był nie tylko kolegą dyrektora filii bankowej, lecz miał także dosyć wpływów w województwie, aby kontrakt eksportowy na czosnek nie doszedł do skutku: żegnajcie, meble do stołowego, żegnaj, burgundowy fiacie 125 w stanie prawie doskonałym...

– Nic nie zrobisz. Gdyby ci prezes zarzucił w oczy donosicielstwo, mógłbyś tłumaczyć się, przysięgać. My jednak rozumiemy potrzebę nieoczekiwanych wizyt i nagłych kontroli. Jeśli zająkniesz się przed Kowalskim, że to nie ty, jeszcze bardziej go upewnisz.

– Pomóż, Pudrycy.

– A kto mnie pomoże? Zanim Krasnogaj przemieni się w osiedle aniołów, trzeba jakoś żyć. Każdy boryka się z własnym problemem.

– Zasadom się nie sprzeniewierzę! – powiedział z mocą Parhoń, lecz nie aż z taką, by Pudrycego замуrowało i poszedł sobie. – Pomoc dobrosąsiedzką uznaję oczywiście. Jeśli nie narusza zasad.

– Wykluczone – zapewnił magazynier. – Czy odstąpiłbyś człowiekowi w potrzebie dwadzieścia arkuszy blachy ocynkowanej?

– Nie mam blachy.

– Przypuśćmy, że masz. W gospodarstwie wszystko się przyda, ale komuś akurat na głowę leci deszczówka. Odstąpiłbyś?

– Odstąpiłbym. Tylko skąd wziąć blachę?

– O to się nie turbuj, człowiek człowiekowi musi pomóc. Napiszesz podanie o dwadzieścia arkuszy na pokrycie altanki, my ci załatwimy, ja porozmawiam z prezesem, a ty odstąpisz swój przydział bliźniemu.

– Co to za bliźni?

– Chyba potrafię przekonać Kowalskiego, że to nie ty napisałeś donos.

– Sam nie może złożyć podania?

– Gdyby prezes okazał się taki dociekliwy jak ty, byłoby mi trudno go przekonać. Trochę zaufania, Parhoń.

Księgowy wziął od Pudrycego papier i napisał parę zdań pod dyktando. Złożył swój słynny podpis: kaligraficzny, pełen zawijasów, pętelek, jakiego nie powstydziliby się sam wojewoda.

– Mam dosyć życia – powiedział, wręczając Pudrycemu podanie. –

Wszędzie brud. Zbulwysyn machnął Hance bachora i nie płaci alimentów. Moja stara wałkoni się, czosnek zżerają chwasty, a ja nie dostałem podwyżki i muszę usunąć zęb.

– Innym gorzej – powiedział Pudrycy, chowając podanie w teczce.

– Ale innym lepiej. Ginie ojczyzna, Pudrycy, nie widzisz tego? Kraj ojczysty sprzedaje się hucpiarzom za srebrniki. Za michę soczewicy sprzedaje się, a lud czeka na mannę!

– Manna jest na kartki – powiedział magazynier, wstając. – Wczoraj była dostawa.

– To już wykupili.

– Nie wszystko. Zostawiliśmy kilka worków, żeby była sprzedaż ciągła. Rzucimy na sklepy po południu.

Kiedy magazynier wyszedł, Parhoń kazał żonie zaprzestać klepania się po tłustym ryju, włożyć kieckę i gnać po kaszę mannę, którą zaraz będą sprzedawać: z takim bólem zęba nic twardego nie przełknie, co najwyżej talerz kaszy na mleku, więc i mleko niech kupi.

Kontrolerzy średni i młodszy studiowali w masarni receptury, porównując je z fakturami surowca, który poszedł do przerobu.

– A pieprz turecki? – zapytał młodszy kontroler. – Nie widzę faktury z pieprzem.

– Stosujemy zamiennik – wyjaśnił szef masarni. – Tu jest kwitancja z Herbapolu na dwanaście kilogramów lubczyku.

– Lubczyk, o ile wiem... – młodszy nieco spąsował.

Kierownik masarni spokojnie mu wyjaśnił, że lubczyk w smaku przypomina pieprz, a jego wpływ na rozrodczość jest nieco przesadzony, zwłaszcza w porównaniu z wyłączeniami prądu, które powodują, że wrzesień jest w Krasnogaju miesiącem najliczniejszych urodzin, jako dziewiąty, licząc od stycznia, kiedy to światło gaśnie niemal każdego wieczoru. Co powiedziawszy, poczęstował kontrolerów pętem jałowcowej, aby zdegustowali jakość masarskiego wyrobu. Akurat na to wszedł do kantoru Pudrycy. Kontrolerzy zmieszali się odrobinę, ponieważ kierownik dał im do popicia jałowcowej po szklaneczce Jonaszowego samogonu, magazynier nie dopuścił jednak do głębszej konsternacji, prosząc, aby i jemu

nalać:

– Degustacja, panowie, wymaga odkażenia jamy ustnej. Niezły wyrób...  
Może zanadto wodnisty.

– Bimber? – spytał średni.

– Jałowcowa.

Kierownik masarni spojrzał spode łba na Pudrycego.

– Jeszcze niedowędzona – powiedział. – Jutro będzie w normie.

– Oczywiście – zgodził się Pudrycy. – Dowędzona idzie prosto do sklepów i tam by ją należało degustować. Niestety, cały towar już wyszedł.

– Jest uzgodnienie na lubczyk zamiast pieprzu? – zapytał młodszy kontroler.

Kierownik pogrzebał w papierach, odnalazł uzgodnienie i podał kontrolerowi: była w nim mowa o przyprawie krajowej zastępczej, którą dostarczy Herbapol.

– Wziąłbym kawałek dla narzeczonej – młodszy wskazał na jałowcową. –  
Może ją ruszy, he, he...

– Do panienki z wyrobem? – zgorszył się kierownik. – Nawet po ciemku odróżni.

Młodszy zeszywniał. Pudrycy uratował sytuację, wspominając, że za jego czasów do narzeczonej szło się z różami, a dziś i jałowcowa nie wystarczy na skruszenie serduszka, niech więc kierownik nie skąpi, niech odcedzi gościom z gąsiora po flaszcze najsmaczniejszej krzakówki w województwie, od której dziewczuchy, ha, ha, topnieją jak śnieg na słońcu.

– Domyślam się, że nie bez powodu zjechali do nas panowie? – zapytał, gdy kontrolerzy już schowali do teczek po butelce i krążku kiełbasy. – Nieoczekiwane inspekcje mają swój sens, ponieważ uczą ludzi nie znać dnia ani godziny, dbać o porządek ciągle, a nie na pokaz. Mimo to jestem przekonany, że nieoczekiwane dzieje się wedle jakichś reguł. Może plan? Może losowanie?

– Ani plan, ani losowanie – odparł średni kontroler. – Mechanizm naszych inspekcji stanowi tajemnicę służbową. Ma pan natomiast rację, dopatrując się w nich głębszego sensu. Musi być inaczej, niż było przedtem. Dawniej nieoczekiwaną inspekcję poprzedzał przyjacielski telefon, dyskretny cynk,

chyba że uzgodniono dobrać się komuś do skóry. Dziś kontrolujemy bez uprzedzeń, zgodnie z duchem czasu.

– Powiemy im? – zaproponował młodszy kontroler; bimber zaróżowił mu policzki i rozjaśnił oczy, pobielające nozdrza drgały nerwowo, jakby rozpoznawały znajomy zapach.

– No, no...

– Co w tym złego? Chłopcy w porządku, trzeba ich ostrzec.

– Hm...

– Ktoś kabluje – powiedział młodszy półszepem do Pudrycego. – Rozpatrzcie się między sobą.

Pudrycy wymienił z kierownikiem masarni znaczące spojrzenia.

– Zawsze ktoś kabluje – powiedział – taka już jest natura ludzka. Nic nie mamy przeciwko kablowaniu, jeżeli sygnalizuje faktyczne nieprawości. Co innego donos oszczerczy, którym rządzi bezinteresowna zawiść, tak powszechna w naszych stronach.

– Zawiść jest zawsze interesowna – nie zgodził się średni kontroler. – Mój teść, stroiciel fortepianów, napisał anonimowo do gazety donos na ministra spraw zagranicznych, że musi być tajnym przyjacielem naszych wrogów, skoro nie zrywa z nimi stosunków dyplomatycznych. Mój teść zerwałby natychmiast, wykorzystując pomieszczenia ambasad na szpitale psychiatryczne, których mamy za mało.

– Wydrukowali mu? – spytał kierownik masarni.

– Pan żartuje – powiedział średni kontroler. – Teść uważa, że byłby świetnym ministrem spraw zagranicznych. Tu by naciągnął strunę, tam poluzował i świat grałby zgodnie z naszą partyturą. Jest bardzo dobrym stroicielem. Macie tu jakieś fortepiany?

– Załatwi się – przyrzekł Pudrycy. – Ksiądz Celestyn ma pianino, które na pewno wymaga strojenia. Drugie pianino ma Gondek, właściciel pieczarkarni. Proszę zostawić adres teścia.

Średni kontroler dał Pudrycemu wizytówkę z adresem i telefonem, magazynier schował ją do portfela. Kontrolerzy wraz z kierownikiem wyruszyli na halę produkcyjną, żeby sprawdzić technologię robienia kiełbas i salcesonów, która powinna się zgadzać z wytycznymi.

Wracając z ziemianki do domu, Jonasz wstąpił na plebanie, ponieważ przyrzekł księdzu Celestynowi rzucić okiem na silnik trabanta, który ostatnio przerywał. Ksiądz stał pośrodku podwórza i rozmawiał ze swoim stryjecznym prawnukiem Konstantym, który był sekretarzem gminnego komitetu partii.

– Bóg mi świadkiem, że nie mogę, Kostusiu – usłyszał Jonasz śpiewny głos Celestyna. – Ja też mam instrukcje od swojej instancji. Kiedy już będą wspólne uzgodnienia...

– Wy wszystko możecie – przerwał mu sekretarz, równie drobny i rumiany jak ksiądz. – Co wam szkodzi huknąć z ambony, żeby wstępowali?

– Wolna wola dana jest człowiekowi – bronił się Celestyn. – Nie trzeba było tamtych rozwiązywać...

– Wy mi tu nie gadajcie o polityce! O pomoc proszę, po familijnemu. Musi ich być z sześćdziesięciu na początek.

– A krzyże w szkole?

Sekretarz gniewnie przestąpił z nogi na nogę, potrząsnął płową czupryną, kędzierzawą jak u dziewczyny, i zakomunikował księdzu Celestynowi, że nie przyszedł tu na dysputę o pryncypiach:

– Czy w Watykanie wiszą portrety Marksa? Nie wiszą. I my się o to nie upominamy, choć moglibyśmy, skoro papież jest obywatelem naszego socjalistycznego państwa.

Ksiądz Celestyn z zaaferowaniem podrapał się w błyszczącą czaszkę, potem wyjął chusteczkę z kieszeni sutanny i otarł czoło pokryte kropelkami potu.

– Kiedy w zimie 1863 roku Traugutt zatrzymał się w Krasnogaju, żeby namawiać chłopów do pospolitego ruszenia – powiedział – próbowałem go przekonać, że to na nic. I kto miał rację?

– Za długo życie – mruknął Konstanty. – Traugutt pozostał wiecznie żywy, a racja jest po naszej stronie.

Ksiądz Celestyn odparł na to z westchnieniem, że zbyt długi żywot gmatwa pojmowanie racji, która rozszczepia się jak światło w wodzie i widać ją wszędzie po trochu, co powoduje człowieczą bezradność, zagubienie w chaszczech argumentów, błąkanie się po wertepach, więc trzeba mieć busolę,

która o każdym czasie wskazuje kierunek, i on, sługa boży, ma taką busolę, jest nią wiara we Wszechmogącego, jego dziesięć przykazań wykutych w kamieniu, które to przykazania głosi również Konstanty, choć w innym porządku i składni.

– Cel mamy podobny, Kostuś, tylko my jesteśmy o krok dalej, poza horyzontem materii. Uwzględniamy względność. Narodził się Kościół w starożytności, przetrwał feudalizm, w kapitalizmie się mieści i w socjalizmie, będzie też miał swoje miejsce w kolejnej formacji, kiedy twój socjalizm okaże się przeżytkiem. Musimy więc troszczyć się o całość i nie ingerować zanadto w doraźne detale.

– Dobrze wam – powiedział sekretarz. – Ale ja mam na głowie terażniejszość. Wy nie musicie martwić się o skup, zaopatrzenie i wydajność pracy rolnika.

– Turbuję się o jego duszę.

– A ja niby nie? Żeby socjalizm stał się przeżytkiem, trzeba go najpierw zrobić. Władza sama nie da rady, choćby wylazła ze skóry. Musi mieć ludzi za sobą.

– Powinna – zgodził się ksiądz Celestyn.

– Przemówicie do nich?

– Spójrz, czym ja jeżdżę – ksiądz Celestyn wskazał na obtłuczonego trabanta z zadartą maską, pod którą widać było motor czerwony od rdzy. – Człek chce się przed śmiercią wypowiadać, wzywa duszpasterza, a duszpasterz rozkracza się gruchotem w połowie drogi. Czy w imię ostatniego namaszczenia nie należy się duszpasterzowi asygnata na auto?

– Pogadam z naczelnikiem – przyrzekł półgłosem Konstanty, zerkając z ukosa na Jonasza, czy nie podsłuchuje. – Przynajmniej sześćdziesięciu ludzi mi potrzeba, po połowie, GS i PGR...

Szeptali jeszcze chwilę i Konstanty opuścił podwórkę, niedbale skinąwszy Jonaszowi. Wtedy ksiądz Celestyn wziął Jonasza pod łokieć i zaprowadził do trabanta, obok którego na brezentowej płachcie leżały narzędzia i wymontowane wnętrzości.

– Rozebrałem łatwo – powiedział. – Przesmarowałem, oczyściłem. I tyle mi zostało po złożeniu. Nawet modlitwa nie pomogła.

– Pół rozrusznika, cewka zapłonowa i kondensator – wyliczył Jonasz, spoglądając na płachtę. – Modlitwa miała prawo nie poskutkować.

– Niedowidzę na starość, Jonaszu. Jeżdżę najwyżej dwudziestką, a i to w głowie kręci się od pędu.

– Nie lepsza byłaby bryczka z konikiem?

– Byłaby – zgodził się ksiądz Celestyn – ale trzeba iść z duchem czasu. Kościół musi nadążać za nowoczesnością, a nawet wyprzedzać ją odrobinę. Dlatego wystąpiłem do kurii o aparaturę nagłaśniającą nowego typu dla naszej świątyni. Nie możemy być zacofani w stosunku do władzy świeckiej.

I drecząc wokół Jonasza, który pochylił się nad silnikiem, dłubiąc w nim kluczami, zaczął tłumaczyć mechanizm psychiki ludzkiej, oparty na podziwie dla potęgi i siły: kazanie wygłoszone w kościele z chromu i szkła, grzmiące mocarnie z gigantofonów stereofonicznych, robi na wiernych dużo większe wrażenie niż gadanina w średniowiecznym wystroju. Dlaczego? Ponieważ średniowieczny sztafaż odwołuje się do czasów obcych współczesnemu człowiekowi, któremu potrzebny jest Bóg na teraźniejszość i niepewne jutro.

– Bóg w garniturze i pod krawatem? – zapytał Jonasz, plasując cewkę zapłonową we właściwym miejscu.

– Przecież nie w chlamidzie i sandałach – powiedział ksiądz Celestyn. – Starożytna suknia byłaby dzisiaj niewiarygodna. Diabły w kusych fraczkach i anioły w koszulach nocnych już się przeżyły. Twój anioł stróż z równym, a nawet większym powodzeniem może wystąpić w dżinsach. Ważne, że chroni cię i ostrzega.

– Mnie interesuje diabeł – mruknął Jonasz i zaczął skręcać śruby rozrusznika.

– Ty wciąż swoje – mruknął ksiądz Celestyn.

– Wciąż, proszę księdza. O dobro nie ma co się troszczyć, ono samo się jawi po przepędzeniu zła. Zło trzeba trzebić. Po bagnach, po moczarach...

– Zło jest w nas, Jonaszu.

– Jak malaria – zgodził się Jonasz. – Żeby skończyć z malarią, należy zniszczyć komary.

– Osuszyć bagna.

Jonasz wynurzył się spod maski samochodu, wytarł szmatą usmarowane łapska i przyjrzał się księdzu z nagle rozbudzonym zaniepokojeniem.

– To jest myśl – powiedział. – Gdyby osuszyć bagno, nie miałby gdzie się ukryć. Ale jak je osuszyć?...

– Byłbym przeciwny osuszaniu bagien – powiedział ksiądz Celestyn, zaglądając pod maskę, i wskazującym palcem dotknął zagadkowego kabla, który biegł skądś dokądś. – Świat, Jonasz, jest kompozycją przestrzenną obmyśloną w każdym szczególe i nie wolno w nim niczego zmieniać bez znajomości całego planu. Kto ze śmiertelnych zna cały plan? Mimo to ludzie wciąż coś zmieniają, boją się nad tym, krzyczą, że nie należy, i dalej zmieniają, aż któregoś dnia jak to wszystko jeb... wybacz mi, Panie!

– Zło jest na bagnach – powiedział Jonasz, kontynuując dźwięczenie w silniku.  
– We mgłach, w oparach, za tumanem...

– Gdzie nie ma pokus, tam nie będzie zbawienia. Czemu byś się przeciwstawiał, gdyby zabrakło zła? Na czym ćwiczylbyś charakter? Jak inaczej zapracowałbyś na przychylny wyrok Sądu Ostatecznego?

– Coś mi się widzi, że ksiądz rozmija się z doktryną.

– To od upału.

Jonasz pokręcił rozrusznikiem: silnik zaskoczył, pokrztusił się i zgasł.

– Gaźnik puszcza. Trzeba wymienić uszczelkę.

– Może trzeba – zgodził się ksiądz Celestyn. – Muszę odwiedzić chorą w Zielennikach, postaraj się, Jonasz, to bardzo ważna chora. Przez całe lata była wojującą bezbożnicą, zajmowała różne stanowiska, zasiadała nawet w radzie wojewódzkiej. A teraz księdza potrzebuje. Nie mogę dopuścić, żeby zmarła, nie powróciwszy na łono.

– Takie ważne? – zapytał Jonasz, przystępując do rozbierania gaźnika.

– Bardzo ważne.

– A gdyby musiał ksiądz wybierać między bezbożnicą i przykładną katoliczką?

– Wybrałbym bezbożnicę. Przykładna katoliczka i tak nie będzie tam miała krzywdy.

– Ot i masz, człowieku, sprawiedliwość – powiedział Jonasz z westchnieniem. – Swoją zawsze na ostatnim miejscu.

Spytał, czy ksiądz nie ma jakiejś starej dętki. Celestyn zniknął w komórcie, przyniósł stamtąd dętkę rowerową, Jonasz wyciął z niej krążek, przykładając pękniętą uszczelkę, którą wyłuskał z gaźnika. Ksiądz Celestyn odszedł do plebanii i wrócił po chwili z kuflem ciemnego piwa.

– Ochłódź się. Prosto z lodówki. Jeśli swój nie jest swoim z wyrachowania, tylko z głębokich przekonań, nie potrzebuje zapłaty.

– Każdy potrzebuje zapłaty – powiedział Jonasz, opróżniając kufel jednym długim haustem.

– Ja nie potrzebuję.

– Już widzę minę księdza, gdyby mu na tamtym świecie zatrzaśnięto przed nosem wrota do królestwa niebieskiego!

– Niby dlaczego miano by zatrzasnąć?

– Powiedzmy, że byłby komplet. Rezerwa tylko dla nawróconych jawnogrzeszników. Konstantego wpuszczają z honorami, a księdza do poczekalni...

– Bluźnisz, Jonaszu! Tam nie ziemski porządek.

– Kto to wie na pewno? Pan Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo. Całkiem być może, że mamy kupiecką wizję sprawiedliwości, oczekując premii za dobre sprawowanie. A jeśli jest na odwrót?

– Dlaczego na odwrót? – zapytał ksiądz Celestyn.

Jonasz wsadził kudłaty łeb w trzewia motoru i zabrał się do podłączania, dokręcania, regulowania. Od czasu do czasu wyciągał rękę za siebie, wołając o śrubokręt, szóstkę, młotek, kombinerki, francuski, nasadowy, przebijak, a ksiądz Celestyn, jak nowicjuszka na chirurgii, wyszukiwał nieporadnie instrument i wtykał w oczekujące paluchy. Podłączając, dokręcając i regulując, Jonasz objaśniał równocześnie księdzu Celestynowi swój punkt widzenia na kryteria i wartości, które zestawia się według wyświechtanego schematu, wmawiając Panu Bogu, czyli Matce Naturze, sposób myślenia i postępowania uproszczony, dopasowany do ludzkich oczekiwań. Gdzie dowód na to, że dobroć będzie opłacana w walucie niebiańskich rozkoszy? Przy odrobinie wyobraźni można przyjąć, że premią za uczciwość jest wiekuiste cierpienie, bowiem uszlachetnia ono i pogłębia, a o to przecież idzie, kiedy planuje się doskonałość. Że cierpienie jest przykre? Przyjrzyjmy

się pieszczochom losu, różnym książątkom, dygnitarzom, spadkobiercom fortun, tolotłokowym milionerom, którzy pławia się w dostatkach, pochłonięci dogadzaniem sobie, wymyślaniem kaprysów i zachcianek. Stado bałwanów, krów na żyznym pastwisku, co to żują i żują, a nie dają mleka. Ile są warci w porównaniu z męczennikiem, który da sobie wyrwać paznokcie w imię wiary? Męstwo na mękach kreuje godność, jakiej za żadne srebrniki nie dostąpi pieszczoch. Zrozumiał to pewien zakonnik, który przez całe życie był siewcą nienawiści rasowej, fanatykiem własnej religii przeciw religiom innych, choć różnaitość religii to nic innego jak różnorodność języków, a obojętne jest, czy Sprawcę nazwiemy Bogiem, Jahwe, Buddą, Allachem; ów zakonnik w decydującej chwili ogarnął błyskiem całe swoje życie i ofiarował je za życie drugiego człowieka, dokonując wspaniałej transakcji, która przyniosła mu świętość.

– Gdyby ludzie umiłowali mękę, byłby raj na ziemi.

– Nie drwij, grzeszniku – powiedział ksiądz Celestyn, podając Jonaszowi dwunastkę. – Sam cudzołożysz i bluźnisz, gorzałkę żłopiesz, wyczyniasz różne bezceństwa, żyjesz niczym sybaryta hedonistyczny, a innych namawiasz na mękę?

– Nikt nie zna prawdy o drugim człowieku – dobiegło spod maski trabanta. – Co we mnie, to moje.

– Ale jest i wspólne – odparował ksiądz. – Odkąd żyję, wspólna była walka, gdy ktoś efektownie zakrzyknął, zatrzepotał sztandarem, choćby szans na zwycięstwo nie było najmniejszych. Chyba że cud, jak ten nad Wisłą, który własnymi oczyma oglądałem.

Wiara w cuda jest więc wspólna, perorował dalej, patrząc na grzbiet Jonasa wygięty łukiem ponad motorem trabanta, wspólne są swary i skakanie sobie do oczu w przerwach między bitwami, wspólne przeświadczenie o narodowej wyjątkowości i wybraństwie, podsycane przez szalonych romantyków, z których jednego poznał był niegdyś w Paryżu jako dwudziestolatek, wiosną roku 1844, a nawet był na jego prelekcji w Collège de France, gdzie nasłuchiwał się herezji antykościelnych i propagandy mistycyzmu. Postawa romantyczna bowiem, nie znajdując oparcia w rzeczywistości, w nieubłaganej materii geografii historycznej, musi prowadzić do

mistyki, która także jest nam wspólna, a podsycana strofami natchnionego poety. Wspólne są marzenia o potędze, uprawiane zbiorowo pośród bałaganu, w pogardzie dla narodów słynących z pszczelej organizacji i pracowitości. Wspólna jest zdolność do przekształcania w absurd najpiękniejszych przedsięwzięć, beztroskie zawadiactwo, mądrzenie się, zagładanie drugiemu do garnka, przeczulenie na punkcie honoru i obciążanie winą innych. Wspólne jest też i niepojęte zarazem przywiązanie do świata fikcji, którą demaskuje się z pasją, aby ją po chwili zbiorowym wysiłkiem odtworzyć.

– Czy nasz Kościół przypadkiem nie dołożył się do spitraszenia tego specjału kuchni polskiej? – nadleciało z głębin silnika. – Czy nie zachęcacie swoich owieczek do modlitwy i ubóstwa? Nie nakazujecie gardzić dobrami doczesnymi w zamian za szczęśliwość wiekuiłą? Protestanci mniej gadają o tamtym świecie, a więcej o tym, chwalą pracę i żyją jak pączuszki w maśle... Francuza proszę.

Ksiądz Celestyn wyszukał na płachcie klucz francuski i wetknął w dłoń Jonasza. Podreptał wokół samochodu, przecierając szmatką zakurzone szyby, usuwając plamy oleju z szarej plastikowej karoserii. Mydelniczka, specjał dla szczurów, spracowany grat, któremu pora służyć jako zabawka dla wiejskich dzieciaków. Był czas, kiedy ksiądz Celestyn mógł wstąpić na ścieżkę kariery, po rozmowie z biskupem, którego siostrę ocalił był przed chucią kozaków dońskich, przebrawszy ją za chłopca, dokleiwszy wąsy i ukrywając w kościelnej kruchcie; biskup pragnął się odwdzińczyć, zaproponował etat w kurii, widział możliwość zrobienia doktoratu na wydziale teologicznym, co warunkuje dostęp do kościelnych godności, otwiera świat złocen i purpury, pachnie samym Rzymem, jeżeli delikwent wykaże się szerokością horyzontów, elastycznością umysłu i talentem do syntetycznego myślenia. Dlaczego ksiądz Celestyn wybrał misjonarstwo wśród dzikich, a potem rodzinną parafię? Proste: jednych Stwórca stwarza do fioletów, a drugich do trabanta, dla zachowania równowagi w naturze. Stwórcy nie przeskoczysz. Ojciec Celestyna z kosą na sztorc bił się przy Kościuszcze pod Racławicami, z ołowiem w trzewiach wrócił do Krasnogaju, aby umrzeć, i przez trzydzieści lat cierpiał jak potępieniec na jesień i wiosnę,

nim wyzionął ducha, spłodziwszy przedtem chłopca, którego przeznaczył do stanu duchownego, bowiem w tych stronach żyli długo tylko księża, choć też nie wszyscy: niech więc żyje długo i uczy prosty lud wiary chrześcijańskiej, umiłowania ojczystej ziemi i tradycji, której sam będzie nosicielem jako syn chłopca kosyniera; niech się nie wywyższa, nie zapomina, skąd nasz ród, czci spracowane ręce i łączy łagodność z surowością, gdy zajdzie potrzeba. Do dziś na biurku księdza Celestyna spoczywa, niczym relikwia, nieforemny ołów, który wyłonił się z ojcowego brzucha tuż przed śmiercią. Przemierzysz świat, mój synu, i powrócisz w strony rodzinne, aby tu nauczać elementarnych prawd. Kochaj bezradną mądrość i nie szczędź razów durniom. Czyń wszystko, aby wprząc głupie nieokiełznanie w służbę rozważnej mądrości.

– Żaden ze mnie filozof – powiedział ksiądz Celestyn do grzbietu Jonasza.  
– Czego się wyuczyłem w szkołach, tego szczęśliwie zdołałem zapomnieć, oprócz katechizmu i tabliczki mnożenia. Mówię ludziom, co o nich myślę. Gdyby Krasnogaj dało się otoczyć wysokim murem bez bramy...

– To jest myśl! – podchwycił Jonasz, wynurzając się spod maski. – Może warto spróbować? Znam się na murarskiej robocie. Cegłę wzięlibyśmy ze starego młyna i z ruin bóżnicy, cementu akurat jest w GS-ie pod dostatkiem, piasku mamy w bród.

– A telewizja?

– Zabronimy. Komendant będzie pilnował.

– Uważasz, że nawrócilibyśmy Komendanta?

– Niechby tylko mur stanął.

Zaśmiali się obaj; ksiądz Celestyn siadł za kierownicą i obróciwszy parę razy kluczykiem, uruchomił silnik, a Jonasz śrubokrętem wyregulował obroty.

– Świece przydałoby się zmienić – zawołał do księdza.

Ksiądz Celestyn zgasił motor, wygramolił się z wozu.

– Może dostanę w województwie – powiedział. – Póki nie ma muru, mogę tam się wybrać na zakupy. Świec kościelnych też mi zaczyna brakować. Dziękuję ci, Jonaszu, za pomoc w imieniu własnym i wszystkich moich parafian. Ile się należy?

– Już zapłacone – Jonasz wyszczerzył zęby. – Zapraszam księdza do siebie na dzisiejszy wieczór. Trochę ludzi będzie.

– Cóż to za okazja? – zainteresował się ksiądz Celestyn.

– Żadna. Jeżeli pominąć czterdziestą rocznicę odejścia w zaświaty pewnej szalonej Żydówki, która związała się z gojem germańskiego pochodzenia.

– Rocznicę męczeńskiej śmierci Reginy Kuperholc? – zapytał cicho ksiądz Celestyn.

– Męczeństwo śmierci jest dziecięcym figielkiem w porównaniu z rozkoszami życia – powiedział Jonasz, wciąż szczerząc zęby. – Ale i to można przeżyć, zwłaszcza w dobrym towarzystwie, przy kielichu pod śledzika z cebulką.

– Gdybyś ją wtedy wyprawił z Awrumem...

– Nie chciała – uciał Jonasz. – Oprócz śledzika z cebulką będzie jeszcze wędzona słonina.

– Postaram się – przyrzekł ksiądz Celestyn. – Przypuszczam, że nie zabawię długo w Zielennikach.

– Spowiedź bezbożnicy może potrwać.

– Mylisz się, Jonaszku, mam w tym względzie spore doświadczenie. Uczciwy bezbożnik mówi mało przed śmiercią. Załatwia sprawę i oddaje ducha w spokoju.

– Ciekawe, czy bywa odwrotnie. Warto zapytać sekretarza.

– Nie warto – powiedział ksiądz Celestyn. – Konstantemu i tak trudno, niczego nie może przyrzec na odchodne. Legitymacji partyjnej nie zabiera się do grobu. Oni muszą być odważni, gdy umierają. A ty? Kiedy wreszcie przystąpisz do spowiedzi?

Jonasz namarszczył skudłone brwi, pokręcił głową, potem zaśmiał się i odpowiedział, że za późno dla niego na spowiedź, albowiem grzechów ma tyle, że i setnej ich części nie pamięta, a wciąż przybywa nowych: oswojony z nimi jest, za pan brat, rzec można, do snu go kołyszą, jak te skowronki śpiewają przy przebudzeniu. Musiałby ksiądz Celestyn nadużyć popełnić, żeby takiemu jak on dać rozgrzeszenie. O rozgrzeszenie Jonasz sam się postara, gdy mu w końcu szczęście dopisze na bagnach. Wtedy bez żadnej agitacji zjawi się przed ołtarzem, uklęknie i podziękuje. Spowiedź? Wtedy –

proszę bardzo. Raz zgrzeszyłem naprawdę, reszta to błahostki, szkoda głowę zawracać Wszechmogącemu. A ten jeden grzech wymazałem właśnie. Koniec ze Storchem. Panie Boże. Dwie kule odlane z menory przeszły go na wylot, rozsypał się w proch i wsiąkł w topiel po wsze czasy. Nie ma już zła, które uważa siebie za dobro, a może nawet jest dobrem, jeżeli uznać względność kryteriów, ich kaleką dowolność w wydaniu człowieczym. Odtąd będziemy ufać odruchom, Panie Boże, a Ty się nie wtrącaj, tak jak nie przeszkadzasz drzewom, które nie są ani dobre, ani złe...

– Dość! – przerwał mu ksiądz Celestyn. – Nie chcę słuchać twoich herezji. Kiedy byłem dzieckiem, żyli jeszcze ludzie, których rodzice pamiętali, jak takich jak ty palono na stosie.

Jonasz pochylił łeb, ksiądz Celestyn przeżegnał go po trzykroć i potruchtał do plebanii po utensylia niezbędne do wyprawienia na tamten świat nawróconej grzesznicy z Zielennik. Szykując się do drogi, rozmyślał o swoim długim życiu, które nie mogło przecież być niedopatrzaniem Opatrzności, lecz musiało coś znaczyć, czyniąc go wybranym pośród bliźnich. Nie miał jednak poczucia długowieczności: powstanie listopadowe splatało się ze styczniowym, pierwsza światowa z drugą, nogę mu przestrelili ni to pod Kijowem, ni to w bitwie o Kołobrzeg, a pożar na plebanii był jakby wczoraj, choć równie dobrze mógł wybuchnąć za rządów kapitana Storcha, który przychodził pograć na pianinie i niedopałki rzucał byle gdzie, kiedy tracił głowę dla Wagnera. W posuplanej pamięci księdza Celestyna minione dzieliło się na strefy dobra i zła. Dobre strefy były za dyktatorów, gdy lud w zachwyceniu skandował Nazwisko, modlił się do Portretu, a nielicznych prześmiewców wydawał w ręce policji. Między dobrymi strefami plasowały się złe: okresy bezhołowania, nieskładnego tumultu, pyskówek i wet, i tęsknot za zdartym Portretem; okresom bezportretowym towarzyszyły hasła na „ść” – niepodległość, równość, sprawiedliwość, suwerenność, wolność – głoszone przez zwalczających się z impetem i tupotem pośród bezprzytomnego bałaganu, któremu kładł kres nowy dyktator, rozpoczynając panowanie od uwieńczeń i straceń, by potem panować miłościwie aż do kolejnego tąpnięcia. Obok tego bywały klęski nieurodzaju, inflacje, stagnacje i epidemie, a wszystko razem

tworzyło zbitkę w pamięci księdza Celestyna, coś na kształt zdezelowanej katarynki, grającej w istocie tę samą wciąż muzyczkę, z której nie sposób wyłowić sensownej melodii. Czy po to człowiek żyje kilkanaście dziesiątków lat, aby potwierdzić bezsens bytu ziemskiego jako naoczny świadek? Wsiadając do trabanta, ksiądz Celestyn pomyślał, że bezsens też ma swój sens, a może i logikę nadrzędną. Tak wysoce nadrzędną, że niedostępną dla ludzkiego umysłu, choćby dumał nad nią i dwieście lat. A ludzie w Krasnogaju dożywają średnio sześćdziesiątki: akurat wystarczy, żeby cieszyć się pełną michą, martwić pustą, popić, poruchać, wypowiadać, poświęcić dla kogoś albo zmajstrować świństewko, wszystko zaś razem w oczekiwaniu na Mesjasza. I po to jest on, ksiądz Celestyn – dla dodawania otuchy przed wyprawą w nieznane. Albowiem życia nikt się w Krasnogaju nie boi, choć monotonne i średnie raczej, a tylko z rzadka upiorne. Śmierci zaś boi się każdy.

Trabant księdza Celestyna, prychając i dymiąc, przetoczył się uliczkami, podygotał na kocich łbach, pogniótł kupki końskiego łajna, tłusto lśniące w słońcu. Między czterema sklepami krążyły grupki łowców, leniwie wymieniając informacje o dostawach i uwagi o suszy, przyszłej wojnie, awarii w tartaku. Odpowiadając na powitalne skinienia, ksiądz Celestyn uświadomił sobie po raz nie wiadomo który, że część łązących powinna być w polu, a reszta w miejscach pracy, i zaczął układać w myślach kazanie na temat obiboków, nierobów, leni patentowanych, dla których piekła mało, ale zaprzestał rychło układania, bo spostrzegł, że się powtarza. Głuchy stolarz Prońko wygrzewał się w słońku przed swoim warsztatem. Trabant zahamował, ksiądz wychylił się z okna.

– Co z moim klęcznikiem?! – wrzasnął.

– Że jak? – zapytał stolarz.

Wcale nie był taki głuchy, jakiego udawał, gdy mu to było na rękę. Ksiądz Celestyn pogroził mu piąstką.

– Miał być! Na czwartek!

– A będzie, będzie, ojczulku...

– Dziś! Już! Środa!

– Na czwartek się robi – przyobiecał ospale stolarz – nie na ten, na

przyszły, teraz ładę robię do spożywczego, połamali, jak było wino bez kartek, zbiesiły się ludziska... pilne zamówienie, sam naczelnik prosił...

– Widzę! Jakie pilne!... – zacharczał ksiądz Celestyn i urwał, bo starcze gardło już się nie nadawało do krzyku w otwartej przestrzeni z zawiesiną kurzu. Jeszcze raz pogroził pięścią głuchemu i poderwał trabanta, przypomniawszy sobie, że trzeba się śpieszyć do bezbożnicy z Zielennik.

## Rozdział czwarty

Pudrycy W. zaszedł do swego kantorku, gdzie główny kontroler i jego asystentka żeglowali wśród rozłożonych papierów, porównując arkusze i przeliczając kolumny liczb na minikalkulatorze. Nawet nie spostrzegli jego nadejścia.

– Mam! – pisnęła właśnie asystentka, potrząsając błękitną asygnatą.

– Gdzie?

– Tu!

Siwa głowa przylgnęła skronią do kędzierzawej blond i obie pochyliły się nad papierkiem. Zamigały fosforycznie cyferki w okienku kalkulatora.

– Znowu pudło – mruknął główny. – Wychodzi dwanaście tysięcy trzysta osiem i czterdzieści groszy. Tak jak w asygnacie.

– A nazwisko?

– Nazwisko też się zgadza.

Pudrycy zrobił krok do przodu, odchrząknął.

– Nie przeszkadzam państwu?

Główny kontroler uniósł głowę znad asygnaty i trochę nieprzytomnie przyjrzał się magazynierowi.

– Ciekawe – powiedział. – Aż podejrzane.

– Nie chciałabym być pana żoną – powiedziała blondynka. – Przy takim pedancie można skisnąć z nudów.

Pudrycy uśmiechnął się przepraszająco i odparł, że jest wdowcem, ale przyznać musi, że małżonka faktycznie narzekała była na jego skrupulatność. Cóż na to poradzi, że nieporządek sprawia mu cierpienie? Urodził się taki. Jeszcze w szkole, pamięta...

– A jednak brakuje dwóch ołówków kopiowych i pudełka spinaczy! – przerwał mu główny kontroler.

– Czterech ołówków – skorygował magazynier, wydając z kieszeni kwitek i kładąc przed głównym. – Wydałem dziś rano sekretarce prezesa. Rozchód materiałów biurowych wpisuję do wykazu pod koniec dnia.

Główny obejrzał kwitek pod światło i z kwaśnym grymasem zwrócił Pudrycemu.

– Gdybym nie był pewien, że to niemożliwe, założyłbym się, że ktoś was uprzedził o inspekcji, kolego B.

Tym razem Pudrycy nie sprostował, że nazywa się W. Rozłożył tylko ręce. Zapytał, czy goście nie napiliby się herbaty. Owszem, chętnie. No to sekretarka przyniesie za moment, a on nie będzie przeszkadzał, zajrzy później.

Wyszedł z kantoru. Usłyszał za sobą tupot obcasików. Inspekcyjna blondynka dopędziła go u wylotu korytarza, przytrzymała za rękaw.

– Opowiadają tu, że pan nie żył całą godzinę...

– Przesada.

– Niech będzie, że krócej, ale nie żył pan. Ja rozumiem, że to nadzwyczaj intymne...

– Dlaczego? – zdziwił się Pudrycy. – Każdy umiera.

– Zmartwychwstania są jednak rzadkie. Musiał pan zasłużyć się wyjątkowo, czegoś przedtem dokonać. – Blondynka pokazała mu kwit. – Asygnata bez kopii, ukryłam ją przed szefem... Powie mi pan?

Pudrycy obejrzał asygnatę i zaklął w duchu: jak mógł zapomnieć o przysłudze wyświadczonej kierownikowi mleczarni? Wszystko usunął, a to przegapił. Gapa! Po tej niteczce główny, z którego musi być lepszy cwaniak, migiem dobrałby się do kłębka. Chwała zmartwychwstaniu.

– Uratowałem tonące dziecko – powiedział.

– Mój szwagier wyciągnął kobietę z pożaru i mimo to umarł na raka.

Pudrycy dyskretnie schował kwit do kieszeni i zaczął szukać w myśli czynu, którym zasłużyć sobie mógł na powrót do życia. Szukał gorączkowo, nic mu jednak nie przychodziło do głowy, bo przecież trudno uznać za pretekst do nadzwyczajnej łaski, że jako smarkacz oddał matce znalezioną pięciozłotówkę, za którą mógł być kupić cały worek cukierków w sklepiku Kuperholca. Że ulitował się nad cnotą Heni, kiedy już była bez majątek, zakochana w nim i przerażona równocześnie, bo po tym można nie wyjść za mąż. Że truł okupantów hitlerowskich denaturatem z sokiem porzeczkowym w butelkach po likierze Baczewskiego, które lakował tak sprytnie, że sam Baczewski by się nabrał. Że po wojnie wskazał milicji kryjówkę „Żbika”, który był postrachem lokalnych władz i chłopów

obdzielonych w reformie rolnej. Że w porywie wspaniałomyślności darował Sokolikowi rower przegrany w oko, służbowy zresztą, bo należący do nadleśnictwa. Że odmówił udziału w podziale wagonu kaszy gryczanej, który omyłkowo, bez papierów, trafił do spółdzielni. Że był dobry dla żony? No, aż taki dobry to dla niej nie był, choć są przecie gorsi, co żonę biją po pijaku, pensji nie oddają, dziwki przyprowadzają do domu...

– Zmartwychwstać można niekoniecznie w nagrodę – powiedział do inspektorki. – A jeśli za karę?

Powiedział i uświadomił sobie, że chyba tak właśnie jest. Za karę! Czy nie życzył Hannie w skrytości ducha śmierci w połogu? Nie był sprawcą samobójczego zgonu prezesa Góralczyka? Nie miał w poprzednim życiu marzeń zawistnych, nie knuł, nie kombinował, nie krył brudnych myśli za pięknymi słówkami na akademiach? Nie cudzołożył z Anielką jeszcze za życia Hanny, nie podkradał w masarni salcesonów brunszwickich do spółki z kierownikiem?

– Nie przypuszczam, żeby za karę – powiedziała blondynka. – Życ jest fajnie w gruncie rzeczy, choć nikomu nie brak kłopotów.

Uśmiechnęła się do Pudrycego, a on poczuł nagłą ochotkę, żeby pogłaskać ją po pękatym tyłeczku, uwypuklonym przez dżinsową obcisłość, wejrzeć w biust pod półprzejrzystym nylonem i w ogóle zabrać się do rzeczy, ale pragnienie w sobie stłamsił, ponieważ było nie na miejscu i czasie.

– Jest jeszcze jedna możliwość – powiedział cicho. – Misja...

– Jaka misja?

– Do spełnienia. Być może zostałem wyznaczony.

– Pan?...

– A dlaczego nie? Opatrzność jest nieprzenikniona. Mogłem zmartwychwstać, ponieważ jest mi pisane ocalić świat przed zagładą. Opatrzność ma prawo wybrać, kogo zechce, nawet magazyniera GS-u.

Fiołkowe oczy blondyny rozblęły fascynacją.

– Co tam świat! Ocalić Polskę!... Ciach, i po kryzysie! Dolary za złotówki, cielęcina bez kartek, suwerenność powszechna, wzajemne przebaczenie, śpiewy i tańce na ulicach... Pan wie, jak to zrobić?

Pudrycy sprężył się w sobie i czując mrowienie między łopatkami, doznał

wizji: tłumy nieprzebrane na przeogromnym polu, pośrodku biało-czerwony ołtarz obsypany goździkami, on na nim, z ramionami uniesionymi w górę, w zgrzebnej białej szacie, w kolczastym wieńcu wokół skroni. „Luuudzieeee!... Czy nie dosyć?... Nakazuję: za-czy-na-my od po-cząt-ku! Od-tąd wszyst-ko na-praw-dę! A niech mi ktoś komuś pozazdrości, ponienawidzi, poleni się, pofrymarczy! Ja, Pudrycy, zmartwychwstaniec z woli Opatrzności, zarządzam nieodwołalnie...”

Co zarządzam? No właśnie. Jonasz wiedziałby chyba, ale on nie jest wybranцем, nie zechcą go słuchać. Na początek wymazanie złej pamięci, starych blizn do rozdrapywania, wzajemnych żalów. Stolica ojczyzny – Krasnogaj. Panuję ja. A dalej?

– Jeszcze nie czas – powiedział do blondyny. – Kiedy nadejdzie, będę wiedział.

Fascynacja przygasła w fiołkowych oczkach.

– Albo tak, albo nie. Wielu reanimują. Myślałam, że pan wie coś.

Pudrycy poczuł urazę. Gdyby opowiedział blondynie o Rozkosznej Światłości, nie wytknęłaby mu, że niczego nie wie. Rozdziawiłaby te swoje pomidorowe usteczka, wybałuszyła fiołki, rozsapałaby się jak Anielka pod koniec miłowania. Ale śmiertelne przeżycie Pudrycego to sekret, którego nie wolno rozgłaszać: zmartwychwstańców obowiązuje powaga. Trzeba milczeć i być gotowym.

– Gdyby nie była tu pani służbowo, zaproponowałbym kolację u mnie – powiedział. – Mam bułgarski koniak i kabanosy.

– Nie spałam jeszcze z reanimowanym – odparła blondynka. – Ale jestem tu służbowo i muszę wrócić z szefem, żeby nie było posądzenia. Przyjadę kiedyś.

Magazynier troszeczkę zmarkotniał i równocześnie zaznał ulgi, ponieważ odwykł budzić się przy kobiecie, a blondyna musiałaby zostać do rana ze względu na powrotny autobus. Budzić się przy kobiecie, gdy stawy są sztywne, mięśnie obolałe, we łbie mętność i wstręt ogólny do świata, to nic przyjemnego. Chore przebudzenia nie znoszą świadków.

– Będę czekać – przyrzekł Pudrycy, świadom, że inspekcja wciąż trwa i życzliwość blondyny może być przydatna. – Kto wie, czy nie przypomnę

sobie czegoś z tamtego świata.

Blondynka przysunęła się do magazyniera.

– Był na was donos – szepnęła mu w ucho. – Podpisany „P”...

Pudrycy podziękował za informację, uraczył pulchną dłoń blondyny przeciągłym pocałunkiem i opuścił budynek, kierując się do gospody, aby coś przekąsić. Dla pracowników GS-u były tam obiady ulgowe, a dla kierownictwa, do którego Pudrycy wciąż się zaliczał, choć już nie był wiceprezesem – ulgowe specjalne: schabowy w bigosie, bryzol pod kaszą albo naleśnik z zapieczoną w środku polędwicą.

Gospoda była świeżo po remoncie. Mleczna biel ścian gościła kohorty kogutków i kurek beztrosko wystrojonych w kolorowe piórka, nie przeczuwających, że w gąszczu paprotników czai się żółto-zielony tygrys, do którego celuje z fuzji myśliwy w kapelusiku z pawim ogonem. Malowidło ścienne było dziełem kierownika gospody, który dorabiał jako artysta, podejmując wciąż na nowo zabiegi o przyjęcie do związku plastyków, co zapewniłoby mu ochronę prawną i wyższe honoraria. Biel serwet na żelaznych stołach była o parę tonów ciemniejsza od bieli ścian i urozmaicona plamami po sosach.

Lech Maciej Orno siedział naprzeciw Sokolika i dojadł wołową pieczeń. Kroił ją w mikroskopijne kosteczki, okładał purée ziemniaczanym, przyozdabiał skraweczkiem ogórka konserwowego, po czym nieśpiesznie wprowadzał do ust; żuł starannie, w skupieniu. Sokolik, pociągając piwo, kontemplował z szacunkiem ową skupioną staranność, za którą dawało się wyczuć charakter zahartowany, obyty z ciosami losu i odporny na nie. Oto żyłka w mięsie: umknęła spod noża, skryła się w kosteczce, a teraz nie można jej rozgryźć. Ruchami szczęk i języka Lech Maciej Orno oddziela ją od przeżuwanej masy, wysuwa do przodu między wargi, spomiędzy warg dyskretnie wyłuskuje zębem widelca i jakby od niechcenia kładzie na brzegu talerza, obok innych żyłek. A Sokolik? Sokolik po prostu wypłułby ją na podłogę. Kultura, Sokolik! Kultury, Sokolik, nie nauczysz się z gazet ani książek, nawet z tych powielaczowych, które można pożyczyć od Lecha Macieja. Kulturę trzeba mieć we krwi albo podpatrzeć, jeśli jest się czujnym

obserwatorem.

– Wszędzie oszukują – powiedział Sokolik. – Zamawia się pieczeń, a podają żylaste paskudztwo. Dobre mięso idzie tam.

– Samo nie idzie – powiedział Lech Maciej Orno. – Żeby gdzieś poszło, ktoś musi wysyłać. Wołowinę zresztą importujemy.

– Pan wierzy? – zdziwił się Sokolik.

– Rozpoznaję smak wołowiny argentyńskiej. W przeciwieństwie do holenderskiej czy mongolskiej czuć ją z lekka morzem.

– Mączką rybną.

– Tańsze gatunki. Argentyna eksportuje również do Ameryki swoją słynną wołowinę ze specjalnych hodowli, gdzie bydło trzyma się na diecie, pod kontrolą lekarską, bez dodawania hormonów, które kosztem jakości powodują przyrost masy mięsnej. Amerykański stek rozpływa się w ustach. Pieczemy go na ruszcie węglowym od dwóch do sześciu minut i w zależności od czasu przyrządzania serwujemy w trzech postaciach: rare, medium, well done. Do tego ziemniak kalifornijski w mundurku, z masłem czosnkowym, grzanka z białego pieczywa i miska sałaty polanej francuskim sosem z dodatkiem sera roquefort. Osobiście wybieram stek rare, czyli krwisty, z lekka tylko obrumieniony po obu stronach.

– Czy u nas będzie tak kiedyś? – zapytał Sokolik melancholijnie.

– Niczego u nas nie będzie – usłyszał. – Umiemy tylko cierpieć i rozczulać się nad własnym cierpieniem. Sfrustrowany naród, który zaprzepaszcza każdą szansę, nie jest godzien steka rare. Oby nie zabrakło tu ziemniaków.

– Dawniej nie był pan pesymistą.

– Zawsze byłem – powiedział Lech Maciej Orno, popijając kompot z gruszek. – Tylko na krótki czas dałem się ponieść nadziei. Opuściła mnie tutaj, wie pan? Gdy ten wasz archaiczny ksiądz zabronił wiernym uczestnictwa w wiecu.

– Skleroza.

– Doświadczenie. Od dwustu lat wszelki nasz zryw kończy się klęską, do której nie siła wyższa, lecz my sami przykładamy rękę. Najczęstsze zawołanie to „zdrada!”. Europejskie ludy odnoszą się do nas z ironiczną sympatią, jak do dzieciaka, który strzela z łuku w księżyc i beczy, że nie może trafić.

Szczerze mówiąc, są już nami znudzone.

– Ksiądz i sekretarz to krewni – powiedział Sokolik.

– Spisek pan wietrzysz?

– Wietrzę – potwierdził Sokolik.

– Za proste by to było. Nie spisek, lecz przymierze. Kościół, mając swoje cele dalekosiężne, w godzinie zagrożenia zawsze sprzymierza się z legalną władzą. Dzięki temu istniejemy. Porywcze ludy, których nie przyhamuje się w porę, znikają z mapy świata.

Zdrajca, pomyślał nagle Sokolik, prowokator inteligencji, tajny policjant! Ostrzegano przed takimi w ulotkach! Najpierw podpuszczają, potem rozmiękczają, potem rozbijają, obezwładniają, paraliżują... No nie. Lech Maciej Orno, weteran ruchu, jego ozdoba i chluba, nie może być prowokatorem. Kim jest? Czemu tak oklapł? Może choroba, rozkład płuc, przecucie bliskiej śmierci...

– Wcześniej nie wiedział pan o tym?

– Wiedziałem.

– Więc po co było?

Lech Maciej Orno dopił kompot, zjadł ćwiartkę gruszki, nabiwszy ją na widelec, ponieważ łyżeczek w gospodzie nie podawano ze względu na kradzieże: małe łatwo schować.

– Chłopski też nie chciał. Był pewien klęski, mimo to stanął na czele.

– Ależ nawoływaliście!...

– Damy odsapnąć i znów będziemy nawoływali – powiedział w zadumie Lech Maciej Orno. – Tak jest w scenariuszu. Historia, panie Sokolik, nie może stanąć w miejscu, trzeba wspólnym wysiłkiem obracać jej koło, aby nie było wrażenia, że kręcimy się w kółko.

– A myśmy wam wierzyli... – wyszeptał Sokolik.

– I słusznie.

– Więc kto ma rację?! Sekretarz Konstanty? Jonasz? Ksiądz Celestyn? Komendant czy pan?

Lech Maciej Orno wyjął z kieszeni białą-zieloną chustkę, wytarł nią usta, potem zasłaniając się chusteczką, chwilę podłubał w zębach obłamkiem zapalki.

– Zależy od nastroju – odparł. – Obecnie należy być w umiarkowanym, nie tracąc zarazem tożsamości, która jeszcze się przyda.

Sokolik chciał powiedzieć, że nie bardzo rozumie, ale nie zdążył, ponieważ do gospody wszedł Jonasz i rozejrzawszy się, ruszył w ich kierunku. Spytał, czy można, Lech Maciej przyzwolił uprzejmym skinieniem. Jonasz zwał się na krzeselko, które jęknęło metalicznie pod wielorybią tuszą starego. Zamówił poczwórny kompot z gruszek. Sokolik przypatrzył się Jonaszowi i odezwał się w nim leśniczy:

– Oj, dopadnę ja ciebie! Kto buszował po lesie przedwczorajszej nocy? Dwa strzały słyszałem przed świtem od grzęzawisk. Z twojej fuzji. Znam jej głos jak pacierz.

Jonasz łyknął kompotu z litrowego kufla, powachlował się gazetą.

– Ale żar! Sroga zima nas czeka, jeśli dożyjemy.

– Nie mógłbyś kłusować na odcinku Szackiego? Musisz u mnie?

– Dziwny z ciebie człowiek, Sokoliku – powiedział Jonasz, szczerząc w uśmiechu zębiska. – Układasz na władzę kuplety, a służysz jej jak łańcuchowy pies...

– ...imperializmu – dokończył odruchowo Orno i uśmiechnął się autoironicznie.

– Nie władzy, lecz narodowi! – odparował Sokolik. – Las jest nasz!

Lech Maciej Orno zaczął zwijać i rozwijać białą-zieloną chustkę, zastanawiając się posępnie nad odruchem automatycznym, który musiał tkwić głęboko w podświadomości, przyswojony za czasów, gdy Orno nosił za paskiem spodni ciężką tetenkę, miał trądzik na policzkach i głosił dzień chwały, kiedy czerwone szturmówki przetoczą się ulicami Paryża, Londynu i Nowego Jorku w ramach proletariackiej rewolucji. Kto kogo zdradził? Towarzysz Lech swoją świętą sprawę czy święta sprawa swego kapłana żarliwego? Świętość zawiniła, pomyślał Lech Maciej Orno, owa kapłańskość w świecie, który jest wygodką: pobiel go, udekoruj, wytapetuj hasłami, umaj kwieciem – wszystko jedno, służyć będzie do załatwiania naturalnych potrzeb. Ludzie muszą iść za potrzebą. Gdy komuś się zachce, cznia na idee. Porzuca jej głosicieli i pędzi załatwić się albo najeść, albo do baby. I po tamtej stronie, i po tej, gdzie dziś jest Lech Maciej Orno. Czy warto spalać

się dla tałatajstwa, które w niebo tylko zerka, a ciągnie do michy, do wygody, do wygodki?

– Las jest nasz – zgodził się Jonasz, potakując Sokolikowi. – Więc wybrałem sobie z niego mój udział.

– W zajęcach, co?

– W bażantach, łaskawco. Akurat mi podeszły dwa nieduże.

– A czas ochronny?! – zasyczał Sokolik. – Jak zamelduję Komendantowi!...

– Władzy służysz i ja cię za to nie potępiam – powiedział Jonasz, wysysając z kufła resztki kompotu gruszkowego. – To w nas tkwi od prawieków, meldowanie, donoszenie, pilnowanie. Im człowiek porządniejszy z natury, tym tkwi mocniej.

– Czy w panu także? – zainteresował się Lech Maciej Orno.

– Ja jestem oszust. Wymyśliłem sobie te bażanty i zjadłem je, i tylko Pan Bóg mógłby udowodnić, że w ogóle istniały. Na oszustów nie ma czasu ochronnego. Dzięki jednemu oszustowi cała kupa ludzi może przypodobać się władzom. Donoszą, że kłusuję, bimber pędzę, czary uprawiam, truję chorych ziołowymi nalewkami. Moja rzecz nie dać się złapać. W ten sposób współdziałamy zgodnie na rzecz porządku publicznego, który wymaga działań wszelakich, aby wiadomo było, że istnieje.

– Cyniczny pan jest – powiedział Lech Maciej, zamawiając u kelnerki herbatę. – Przez takich jak pan nigdy nie wzniesiemy się ponad. Zwłaszcza że nie ma u nas podziału na służalczość i oszustwo, lecz jest to ze sobą przemieszane.

Z tym drugim Jonasz się zgodził, pierwszemu zaprzeczył: ani on cynik, ani wznoszenie się ponad nie może być celem – ptaki wznoszą się ponad i co z tego wynika? Ludzi kochać trzeba w pełnej krasie ich przywar, wad i słabości, do których zaliczamy ową szczególną dwoistość nie do pogodzenia, jaką jest umiłowanie swobód junackich i zarazem twardego gruntu pod nogami, wypinanie piersi i ochrona tyłka.

– Przyrównuje pan świat do wygodki? Niech go pan porówna z kołyską: raczkujemy dopiero, a widzi nam się, że układamy piętrowe intrygi, zbawiamy coś z poświęceniem, rezygnujemy dramatycznie.

– Raczkujemy? – wykrzywił się drwiąco Lech Maciej. – Ładne mi

raczkowanie. Samych rakiet starczyłoby na rozsądzenie Układu Słonecznego. Jesteśmy cywilizacją zramolałą ze starości, którą czeka grób.

– Jakbyś pan czytał w gwiazdach, łaskawco – powiedział Jonasz. – Zramolały niemowlak dobiera się do pudełka z zapalkami. Da Bóg, nie sięgnie.

– Nie wierzę w Boga – powiedział Lech Maciej. – Umrę wkrótce, wiem o tym równie dobrze jak pan... – Rozkasłał się jakby na potwierdzenie, śmignął chusteczką, odpływając krew. – Nic nas nie czeka po tamtej stronie...

– Taki pan pewien? – rozległ się głos Pudrycego.

Usiadł przy nich; kelnerka, nie czekając na zamówienie, przyniosła mu po chwili ogromny naleśnik z kartofelkami i fasolką szparagową.

– W karcie nie ma naleśników – powiedział zgaszonym głosem Lech Maciej Orno.

Pudrycy wyjaśnił, że od wypadku jest na diecie i kucharka przyrządza mu za dopłatą pewne proste potrawy, zalecone przez doktora Samosiejkę. Nauczył się tak jadać, aby nikt nie spostrzegł mięsnego nadzienia: brał do ust ciasto, szybko je przełykał i z zaciśniętymi wargami, jakby nigdy nic, żuł polędwicę.

– Pudryc może coś wiedzieć o śmierci – powiedział Sokolik do Lecha Macieja. – Nie żył już kiedyś.

– Nonsens – odparł Lech Maciej, wzruszając ramionami. – Kto nie żył, ten nie żyje. W przypadku pana W. nastąpiło chwilowe zatrzymanie akcji serca.

Pudrycy, kryjąc urazę, poinformował, że lekarze byli innego zdania: śmierć kliniczna jest najprawdziwszą śmiercią, nie zaś utratą przytomności lub czymś podobnym, gdyby więc miał jakieś przeżycia w tym czasie, dowodziłoby to, że życie nie kończy się w grobie.

– A miał pan? – zapytał Lech Maciej Orno.

– Tego nie powiedziałem...

– Gdyby pan nawet miał, uznałbym to za majaczenia.

– A jeśli widziałem, co ze mną robiono?

– No to widział pan.

– Przecież nie żyłem.

– Śmierć to rzecz względna – powiedział Lech Maciej, popijając słomkową herbatę. – Sam stoję u progu. Zapewniam panów, że gdybym poprosił o księdza, byłby to tylko polityczny gest.

Pudrycy zapatrzył się w przestrzeń. Nie widział w tym zapatrzeniu trzech traktorzystów zaprawiających piwo gorzałką spod poły przy sąsiednim stoliku ani przy następnym pary tłustych rozchichotanych dziewczyn, zerkających ku chłopakom w fioletowych garniturach, kupującym przy kontuarze papierosy, ani naczelnika z sekretarzem, pośpiesznie konsumujących specjalny bigos, ani jakiegoś małżeństwa z dzieckiem, przejezdnych zapewne, w kłótni z kelnerką o danie, które w karcie jest, a w kuchni go nie ma, nie było i nie będzie.

– Każdy jest własnym księdzem – odezwał się nagle, nie przerywając zapatrzenia. – Jakoś trzeba przez to przejść.

– Ty odejdiesz, inni zostaną – powiedział Jonasz.

Sokolik poprosił o jeszcze jedno piwo. Przed rebelią śpiewał swoje kuplety w Klubie Rolnika, robił część artystyczną na wieczornicach i akademiach, wyśmiewając biurokratów, pijaczków i łapówkarzy, brał za występy po tysiąc złotych brutto, dyplom uznania i nawet nie przeczuwał niedosytu. Raz pokazano go w telewizji. Kiedy na wniosek sekretarza Konstantego przyznano mu srebrne odznaczenie państwowe za aktywność społeczną, przeżył chwilę jaskrawego szczęścia. Nie wstyd? Tanio dawał się kupować. Leśniczy z Osinek, który latem gościł w swojej gajówce różnych warszawskich artystów, w 1976 roku podpisał list do Sejmu ze zbiorowym protestem i najpierw miał kłopoty, omal go z pracy nie wyrzucono, później zaś, gdy swój podpis wycofał, otrzymał wysoką funkcję w nadleśnictwie i talon na poloneza. Namęczyli się z nim, co prawda: kilka razy musiał przyjeżdżać do Osinek człowiek z województwa, zanim przekonał leśniczego, że złej sprawie służy, na rękę dywersyjnym rozgłoszom, którym nie Polska na sercu leży, tylko mącenie i sabotaż. Czy Sokolika próbował ktoś z województwa przekonać czymkolwiek? A przecież i on miał wątpliwości najprzeróżniejsze, obawy i niepokoje, zwłaszcza pod koniec dekady minionej, gdy robotnicy leśni zaczęli coraz gniewniej pomrukiwać, że płaci im się bezwartościowym papierem, za który tylko woda bez zakąski,

panom myśliwym zaś, zajeżdżającym do lasu peugeotami, wrzuca się do bigosu pęta krakowskiej suchej. Kto zanadto pyskuje, tego won z roboty, polecił Sokolikowi nadleśniczy, i zrób mi notatkę z nazwiskami prowadzących. Zrobił. Musiał. Służbowy obowiązek. Później, w epoce słusznego protestu, kiedy Sokolik zrymował w kupletach wszystko, co nazbierało się przez lata, i miał z tym jechać na Festiwal Zbuntowanych, przypomniano mu notatkę. Mimo to pojechał. Aplauz publiczności uskrzydlił go, napompował, rozżarzył jak głównię:

Już ich mamy,  
już są w matni,  
Bój to będzie ich ostatni!  
Klatka pęka  
z jękiem krat –  
Naprzód, bracia!  
Patrzy świat!

Świat patrzył, to prawda, ale nic nie robił, i pewnego dnia zapadła klamka. Zapadła nie po tej stronie drzwi, gdzie stał Sokolik, a świat nie kiwnął palcem w bucie, jeśli nie liczyć krzyku w eterze i gazetach. Świat ma na głowie sprawy globalniejsze od prowincjonalnej rebelii, o której z góry wiadomo, że nie może się udać. Sokolik ukrył się na tydzień i z pewnym rozczarowaniem przyjął wiadomość, że nikt go nie szuka. Był płótką. Nawet z roboty go nie wywalono. Może notatka pomogła? Nadleśniczy pogroził mu tylko kułakiem i doradził zmądrzeć, zająć się lasem, a kuplety pisać o reformie gospodarczej, bez której czeka nas brud, smród i ubóstwo. Czy Sokolik chciał źle? Nie należy się zmęczonym ludziom życie dostatnie i sprawiedliwe? A jakże, przytaknął ksiądz Celestyn, świat nasz wymaga remontu kapitalnego, nowych mu trzeba fundamentów, niczym mojej plebanii, gdzie grzyb je przeżarł i skruszył: miałbym zaczynać remont od zachęcania do bójki pomocników murarskich? Od kurii musiałbym zacząć, tam bowiem decyduje się o remontach parafialnych.

– Nic się nie da zrobić – powiedział Sokolik. – Taki naród. Z innymi można konie kraść, ale nie z naszym.

– No właśnie! – brunatna gęba Jonasza rozciągnęła się w uśmiechu. – Jak razem, to kraść. Nie znasz innego powiedzonka?

– Tak się mówi.

– Inaczej nie można?

– Można – wtrącił się Pudrycy, dojadając połędwiczny naleśnik. – Żaby łechtać. Komendant powiada w ten sposób.

– Konie kraść czy łechtać żaby, cóż za różnica? – wzruszył ramionami Lech Maciej Orno.

– Jedni wolą złodziejstwo, drudzy nieszkodliwy idiotyzm – odparł Jonasz, drapiąc się w kudłatą siwą pierś, widoczną w trójkącie rozpiętej do pępka koszuli. – Zawszeć wybór, łaskawco.

Pudrycy wstał od stołu, skinął na Sokolika. Razem odeszli pod okno, przysiedli na parapecie. Od kuchennych drzwi wiało zapaszkiem nadgniłej kapusty, Sokolik kichnął, wytarł nos rękawem. Nos miał ogórkowaty w kształcie i pomidorowy w kolorze. Bawił publiczność. Sokolik potrafił ruszyć nim znacząco przy śpiewaniu kupletów, co dawało dodatkowe efekty humorystyczne.

– Komendant martwi się o ciebie – powiedział cicho Pudrycy, obserwując z ukosa, jak nos Sokolika zmarszczył się i znieruchomiał. – Budzisz ciekawość.

Sokolik sprężył się i nadał twarzy wyraz wzgardliwie ironiczny.

– Zaszczycony się czuję, pozdrów ode mnie pana Komendanta. Ty nie budzisz?

– Ja już nie.

– Musi być ci przykro.

– Tamten Pudrycy umarł, wiedzą o tym. Wiedzą też, że gościsz u siebie pana Lecha Macieja...

– Nie wolno?

– Prawie wszystko wolno – powiedział łagodnie Pudrycy – ale ktoś ponosi za to odpowiedzialność. Sympatyczny człowiek zresztą, znam go od dawna, był kiedyś szefem kadr w naszej centrali. Nie zrobiłby u ciebie przeszukania, gdyby miał pewność, że nic nie znajdzie.

– Niech szuka – rzucił Sokolik.

– Szukajcie, a znajdziecie, ha, ha!

Pudrycy przysunął się bliżej do Sokolika i zaczął mu objaśniać mechanizm sprawowania władzy w czasach trudnych, gdy ludzie są jeszcze nabuzowani nieokiełznaniem, towarów jest mało, a pieniędzy dużo, dużo też poczucia tymczasowości, nadziei złudnych, czekania na cud. Jaki cudotwórca zechce zawracać sobie głowę neurotyczną hałastrą, nie uznającą innych stanów niż euforia i apatia? Chciejstwo i niemożność? On, Pudrycy, który sprzyjał gorąco słusznemu protestowi, osobiście redagując postulaty – chyba to pamięta Sokolik? – dziś współczuje władzy uginającej się pod brzemieniem. Władza musi patrzeć trzeźwo. Ratować, napędzać, rozkręcać. I – uważaj, Sokolik! – od czasu do czasu wskazywać na tych, co szkodzą żmudnej naprawie, judzą, nawołują do nowej rozróby. Dlaczego? Dlatego, że dowodem słuszności poczynań władzy jest obnażenie negacji i negantów. Demaskowanie sił hamujących naprawę tłumaczy jej powolność, a władzy dodaje autorytetu. Gdyby na rynku towar równoważył pieniądz, ludzie mieliby motywację do pracy z zapałem i władza mogłaby to i owo odpuścić. Na razie nie może. Dlatego były szef kadr z wojewódzkiej centrali musi szukać, ujawniać i piętnować. Kiedy dowiedział się, że Sokolik gości u siebie Lecha Macieja Orno, miał prawo założyć, że nie są to niewinne wakacje.

– A jednak są – powiedział Sokolik, z lekka jakby zaniepokojony. – Pan Orno jest ciężko chory i ma wszystkiego dosyć.

– Żaden konspirator nie powie inaczej...

– Ale to prawda! Spaceruje po lesie, oddycha głęboko, wygrzewa się w słońcu. Niczego nie czyta ani nie pisze. Czasem gra na organkach.

– Przyjeżdżają do niego.

– Kobieta. Chyba mu wolno.

– Żonatemu mężczyźnie wiele wolno. Tylko czemu tak pomstował na zepsucie i nawoływał do odnowy moralnej?

Sokolik poruszył ogórkowatym nosem, pochylił się do Pudrycego.

– On już nie konspiruje, przysięgam ci. Ani ja. Zostawcie nas w spokoju.

– Mnie prosisz? – Pudrycy objął dłonią podbródek, pokręcił głową. – Ale mogę pogadać z byłym szefem kadr, to naprawdę porządny człowiek. Spróbuję go przekonać, że nic u ciebie nie znajdzie.

- Dziękuję, Pudryc.
- Znam go z wczasokursu w Tatrach.
- Czy ja coś mówię?
- To było dwanaście lat temu, wypiliśmy wiadro wódki.
- Wódka zbliża.
- Bez aluzji, Sokolik. Po prostu powiem mu, że człowiek umiera i nic z tych rzeczy. Podpisz.

Sokolik wytrzeszczył oczy na arkusz podaniowego papieru, pokryty równym maczkiem Pudrycego.

- Co to jest?

Pudrycy wyjaśnił Sokolikowi, że idzie o drobną przysługę w postaci dwudziestu arkuszy blachy ocynkowanej, i Sokolik podpisał, przypominając Pudrycemu, że sam czeka na eternit. Wrócili do stolika. Jonasz kończył właśnie opowieść o dziwolągu, który z górą sto lat temu przyszedł na świat w nieodległej wsi Osinki: ważył tyle co powietrze, głowę miał ptasią i ramiona porośnięte piórami, poza tym był to normalny dzieciak, choć gadał niewyraźnie i uganiał się za ptactwem, które zresztą stroniło od niego. Ludzie też stronili. Wiejskie urwisy obrzucały go kamieniami, dziewczuchy chichotały, kiedy na nie spoglądał. Ksiądz Celestyn pamięta odmieńca, rozmawiał z nim raz. Chłopak pytał go, czy anioły też obrywają od niebieskich łobuzów i dlaczego Pan Bóg woli ludzi od wron, jaskółek i sokołów; a może nie woli? Może świątynią ptaków jest błękitna kopuła, do której żaden człowiek nie potrafi się wznieść, bo na to nie zasłużył? Czy nie dlatego ptaki latają, że umiłował je Pan Bóg? On, Józek, pofrunie któregoś dnia... I uleciał w niebo, gdy otoczyła go wiejska łobuzeria uzbrojona w kije. Nazajutrz wody jeziora wyrzuciły na brzeg pierzaste ciało pokryte głębokimi ranami ni to od wideł, ni to od ptasich dziobów.

- No i co? – zapytał Lech Maciej.
- I tyle – odparł Jonasz.
- Niewiele. Każda okolica ma swoją legendę.
- To nie legenda. Ksiądz Celestyn może zaświadczyć. Odmieńca uwiodła dla kawału pewna pannica i urodziła dziecko, od którego poszedł ród Ptaków. Do dziś żyją w Osinkach.

- Skrzydlaci?
- Nie. Ale gęby mają ptasie i ciągnie ich do latania. Dziwadła. Ludność nie przepada za nimi.
- Zabawne.
- Normalne. Natura tępi inność. Żeby mieć spokój, trzeba być takim jak wszyscy.
- Ty nie jesteś – wtrącił się do rozmowy Pudrycy. – Aż dziw bierze, żeś dotąd nie porósł piórami.

Jonasz rozchichotał się, rozkasał, łapskiem grzmotnął Pudrycego w kolano.

- Z moim cielskiem fruwać? Z jakiej flachy pociągnąłbym sobie w niebiesiech? Co najwyżej anielicę pomacałbym, he, he...

I zaprosił wszystkich obecnych do siebie na wieczór, przyrzekając śledziki z cebulką i wędzoną słoninę pod wódeczność, od której oko staje dęba.

Po obiedzie, zgodnie z zaleceniem doktora Samosiejki, Pudrycy miał się kłaść i ucinąć półgodzinną drzemkę, która sprzyja procesom trawiennym oraz wzmacnia organizm. Uzyskał na to pisemną zgodę prezesa Kowalskiego. Z gospody poszedł więc do siebie, zaciągnął okno pluszową kotarą z frędzlami, rozebrał się i rozwalił na łóżku, chłonąc chłód prześcieradła. Pachniało lawendą. Półmrok zasnuł pastelem serwantkę z kryształami, obraz Częstochowskiej nad cepeliowskim kilimem, koronkowy biały obrus na stole, zrobiony szydełkiem przez Hannę, chiński wazon z bukietem sztucznych tulipanów. Zazwyczaj Pudrycy W. usypiał natychmiast i budził się po trzydziestu minutach świeżutki, jakby wyszedł z kąpieli. Dziś zasnąć jednak nie mógł: przeoczenie asygnaty kierownika mleczarni rozbujało w nim niepokój, zmuszając do przewertowania w myśli wszystkich kolejnych skoroszytów i osobno asygnat, których tam być nie powinno. Czyżby początek sklerozy? Dawniej, przed wypadkiem, coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć. Przymknąwszy oczy, zobaczył głównego kontrolera, jak wywleka ze sterty papierów rachunek na nazwisko hodowcy nutrii, potrząsa nim triumfalnie i demonstruje blondynie: „Mamy ich! Zgody urzędu nie ma, pieczęci nie ma, trzech podpisów nie ma i kopii nie ma!...”. Jest za to podpis prezesa Kowalskiego. Nie będzie się tłumaczył, że ma

zaufanie do magazyniera i składa autografy, nie wnikając w treść, ponieważ przebywa w Krasnogaju od niedawna. Gdyby próbował, ośmieszy się tylko. Pudrycy już oswoił Kowalskiego, przywiązał do siebie zależnościami, nie chciałby więc rozpoczynać od nowa z kolejnym prezesem, węsząc wśród znajomych, sondując osobowość, robiąc nakłuwania w poszukiwaniu czułych miejsc, które ma każdy, byle trafić właściwie. Szkoda by było rozstać się z Kowalskim.

Nonsens. Nie mógł zostawić w aktach lewego rachunku dla hodowcy nutrii. Nazbyt ma wyćwiczoną intuicję, dostatecznie dużo doświadczenia. Główny nic nie znajdzie. Uświadomiwszy to sobie, Pudrycy odprężył się i zaczął wspominać szybowanie nad szosą, potem nagłą ciemność zamkniętej przestrzeni, lewitację ku światłu, uszczęśliwienie wzbierające w nim jak wiosenna rzeka, pulsujące jak serce po biegu, oczyszczające jak gorący prysznic. Był wolny od wszystkiego, nie wyłączając samego siebie; tak wolny, jak można być, oderwawszy się od pożądań, słabości i potrzeb, od nakazów, które dyktuje uczciwość i strach, lojalność i ambicja, od przykazań boskich i ludzkich, dobrowolnie przyjętych i narzuconych sobie pod przymusem. Był wolny jak czas poza przestrzenią. W poczuciu owej nadludzkiej, niemożliwej wolności Pudrycy przeniknął do bezkresu wypełnionego światłem i bez zdziwienia przyjął obecność bliskich, a także tych, którzy nie powinni mu byli dobrze życzyć, życzyli jednak, przepełnieni ciepłem. Jakie grzechy, Pudrycy, jakie przewiny? Nie ma przeszłości. Jest miłość. Gdybyś żałował czegoś, po prostu zapomnij o tym.

Góralczyk z dziurą w głowie. Mizera, któremu nie zwrócił zaciągniętej na krótko pożyczki. Stary Kuperholc i jego córka: oni też? Nic nie mógł zrobić. Może mógł? Gdyby wszyscy mieszkańcy Krasnogaju wciągnęli na rękawy opaski z gwiazdą Dawida, tak jak to zrobili Belgowie za przykładem swego monarchy, Niemcom nie poszłoby łatwo.

Gdybyś żałował czegoś, po prostu zapomnij o tym. Najwyższy przywilej: wolność od pamięci.

Nie dorósł, nie dojrzał. „Zatrzymaj się, Pudrycy, twój czas jeszcze nie nadszedł, musisz wrócić”. Wrócił ten sam, ale nie taki sam. Inny. Ani mu w głowie zabiegać o prezesurę GS-u, członkostwo Rady, wejście do

egzekutywy. Gdyby znowu wybuchła rebelia, Pudrycy W. poprosiłby o zaległy urlop i pojechał do kuzyna w Rzeszowskie przeczekać chaos w zacisku wiejskiego obejścia; pomagałby przy krowach. Koniec rebelii byłby ten sam, choć nie taki sam: inne nazwiska przegranych, parę nowych haseł, które były słuszne i będą podjęte, w atmosferze spokoju jednak i powagi. Nowy naczelnik, nowy sekretarz, nowy zapewne prezes Gminnej Spółdzielni – ale nie magazynier. Magazynierzy są na wieczność, jeżeli nie ma wpadki. W przeciągu dwudziestu lat Pudrycy przetrzymał dziewięciu prezesów i Bóg go strzegł, że sam prezesem nie został. Już lepiej umrzeć na krótko, aby po zmartwychwstaniu pojąć nietrwałość blichtru i niedogodność wysokich stołków, z których upadek jest równie łatwy co bolesny. Ilu prezesów zmieści się na łebku szpilki w klapie Pudrycego W.? Władza, ta prawdziwa, wypina pierś w prezesowskich gabinetach, ale pazur pokazuje w kantorkach magazynierów: tu jest sobą, daje i odbiera.

Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera. Figusa! Piekła żadnego nie ma, tylko Radosna Światłość dla każdego, kto zaliczył swoje. Jak zaliczył, mniejsza. Ale o tym cicho, żeby nie zgasić w ludziach poczucia sprawiedliwości, nie zniechęcić do dobrych uczynków, nie rozsmakować w grzechu, rui, porubstwie...

Pudrycy czuć już zaczynał słodycz zbliżającej się drzemki, kiedy zadzwonił telefon.

- Kolega W.?
- Przy aparacie.
- Tu Bednarczyk z centrali. Nie wiem, czy wam prezes powtórzył...
- Trudna sprawa – powiedział Pudrycy do słuchawki, układając się wygodnie na plecach.
- Kowalski mi przyrzekł...
- Niech wyda polecenie.
- A nie wydał?
- A mógł wydać?
- Rozumiem. Kochany kolego W., postarajcie mi się o tę blachę... Wiem, że wszystko od was...
- Nie wszystko – odparł ze smutkiem Pudrycy. – Gdyby wszystko, naszą

księgową przeniesiono by do Skiroławek...

Z niecierpliwością czekał na odpowiedź ze słuchawki. Księgowa była zmorą GS-u, jego przekleństwem. Życzliwość księgowego może zmienić przepisy w plastelinę, paragrafy w parówki z chrzanem. Wredność – w makabrę. Czy Pudrycy zawinił, że księgowej Malawko nie tknął żaden chłop, nawet wtedy, gdy nie była jeszcze księgową, lecz dorastającą panienką o buzi buraczanoszarej, pokrytej nalotem żółtawych wrzodzianek? Biustu Bozia nie dała, za to nogi jak kłoce. I na taką w końcu by się znalazł amator, gdyby Malawko nie była najpierw panienką, później panną, wreszcie starą panną z niezłomnymi zasadami. Do tego doszedł jeszcze ciemny wąs i jadowita zgryźliwość, czego chłopcy nie cierpią jak syfa. W rewanżu za osamotnienie i łózkową pustkę księgowa Malawko mściła się na ludzkości za pomocą ustaw, uchwał i postanowień, które wtykała petentom niczym kij w szprychy. Kilka razy wetknęła go w szprychy Pudrycemu, co omal nie spowodowało wywrotki. „Pan ma żal? Proszę mieć pretensje do przepisów”. Ty albo ja, postanowił wówczas, niech się tylko trafi okazja.

– Idzie o księgową Malawko? – usłyszał wreszcie.

– O nią – potwierdził.

– Siostrę naczelnika w Bartach?

– Mój bratanek jest dyrektorem w Warszawie – powiedział Pudrycy. – Naczelnik z Bart może panu nadmuchać. Dzisiaj tępi się nepotyzm, nie te czasy co kiedyś.

– Nie te – zgodziła się słuchawka. – Do Skiroławek, powiadacie? Oni szukają księgowego...

– No właśnie, panie dyrektorze.

– A wy?

– Mamy następcę.

W słuchawce zachrobotło, jakby nie byli sami na linii. No to co? Żadne sekrety. Ciężkie życie łowców tajemnic, coraz ich mniej w telefonach, w ogóle coraz mniej: świat się upublicznia, jawnieje. Krasnogaj nie Watergate.

– Załatwicie te trochę blachy ocynkowanej?

– Na rachunek.

– Jasne, że na rachunek. Trzeba wzmocnić GS w Skiroławkach. Dziękuję

wam za inicjatywę.

– Pan dyrektor może na mnie liczyć – powiedział Pudrycy i odłożył słuchawkę na widełki.

Minęło trzydzieści minut. Nie pośpi dziś po obiedzie. Wygląda jednak na to, że odetchnie prezes Kowalski, odetchnie rada nadzorcza, odetchnie masarnia, skup i tartak, on sam wreszcie. Młodszy księgowy Wojtasik, człowiek prężny i bystry, któremu od dawna należy się awans, będzie dbał przede wszystkim o interes firmy. Przepis nie jest dla niego strzelistą świątynią, gdzie firma musi klęczeć, bijąc się w piersi, lecz rodzajem przeszkody, którą rumak bierze, nie dotykając kopytem. Człowiek reformy, lansowanej dziś w gazetach: bez niemodnych przyzwyczajęń, poczucia, że świat się wali.

Pudrycy ubrał się szybko, łyknął dwie różowe tabletki i zbiegł na dół. Mimo braku drzemki czuł się doskonale. Poszło łatwiej, niż przypuszczał. Bednarczyk mógł kręcić, obiecywać mętnie, grać na zwłokę, odwołując się do kolegium dyrektorskiego, któremu przedłoży wniosek, będzie przekonywał. Musi mu niesłychanie zależeć na blasze. Trzeba więc poprzeciągać, pozwlekać: pismo z centrali o przeniesieniu – blacha ocynkowana, dwieście sztuk. Nie na odwrót.

Z tą myślą Pudrycy W. wszedł do sekretariatu prezesa, gdzie dowiedział się od sekretarki, że inspektorzy średni i młodszy kontrolują właśnie tartak, a główny i blondyna wciąż studiują dokumentację w jego kantorku.

– Dostali herbatę?

– Podwójną ekspresową z ciasteczkami.

– Zadzwoń do gospody, niech podeślą dwa obiady specjalne.

Kowalski gościł u siebie naczelnika, który nie tknął nawet kawy z cukrem, poirytowany słabymi wynikami w skupie zbóż, niższymi niż w ubiegłym roku o tej samej porze, choć w ubiegłym roku zbiory były gorsze niż teraz. Prezes tłumaczył naczelnikowi, że tak to jest.

– Zrób coś! – zażądał naczelnik.

– Zrobiłbym – powiedział prezes. – Najpierw obniżyłbym cenę paszy treściwej. Potem napełniłbym sklepy towarami, których szuka rolnik. I zagwarantowałbym na piśmie, że wartość pieniądza nie będzie spadać.

– Taki mądry to i ja jestem. Nie możemy jednak być gorsi od sąsiednich gmin, a na razie zajmujemy prawie ostatnie miejsce. Trzeba uruchomić agitatorów.

– Z jaką argumentacją?

– Chcę mieć czyste sumienie, kiedy napiszę w sprawozdaniu, że zrobiliśmy wszystko.

– Najlepszy byłby ksiądz Celestyn – powiedział z uśmiechem prezes i odwrócił się do drzwi, w których stanął właśnie magazynier. – Gdzie się podziewacie? Od godziny was szukam!

Pudrycy mógłby przypomnieć Kowalskiemu, że ma jego akces na poobiednią drzemkę, zgodnie z zaleceniem doktora Samosiejki, ale nie zrobił tego.

– Byłem w terenie – odparł. – Współpracuję z organem kontrolnym.

– Jest problem – mruknął prezes. – Zastanawiamy się z naczelnikiem, jak zwiększyć skup. Nie chcemy być gorsi od sąsiadów.

Mogą długo się zastanawiać, pomyślał Pudrycy z lekkim rozbawieniem, obaj miastowi, wojewódzcy, z zawodu nauczyciele: co tacy wiedzą o duszy rolnika? Do kąta go nie postawią, dwóje nie wlepią, nie wezwą rodziców na wywiadówkę.

– Na lekką poprawę znalazłby się sposób – powiedział.

– Jaki? – spytali równocześnie naczelnik i prezes.

– PGR buduje szklarnie...

– No, no? – ponaglił naczelnik.

– Potrzebują szyb, moglibyśmy pomóc. W zamian za kilka sztuk trzody chlewnej, które masarnia przerobi w nadgodzinach i odstąpi stołówce zakładów Guma w Tarcíncu. W zamian za odstąpienie nam gumiaków z nadgodzin. Zakład regeneracji akumulatorów też ma stołówkę. Na kwit ze skupu rolnik nabyłby gumiaki i akumulator do ciągnika.

– To mi pachnie prywatą – powiedział naczelnik, patrząc w okno z jeziorem.

– Nikt nie straci, każdy zyska – odparł magazynier, również patrząc w okno. – Nadliczbówki są dobrowolne, a reforma uwzględnia prawa rynku.

– Mnie interesuje skup – powiedział naczelnik.  
– Zaopatrzenie rolników w gumaki i akumulatory to ważna sprawa – dorzucił Kowalski. – Szczegóły zachowajcie dla siebie.

– Ma się rozumieć.

Naczelnik zapytał jeszcze o przebieg nieoczekiwanej kontroli, potem pożegnał się z prezesem i uściśnął mocno dłoń magazyniera; przy filigranowym Pudrycy wyglądał jak olbrzym z wiechciem słomy na głowie. Kiedy wyszedł, Kowalski odczekał chwilę, zbliżył się do magazyniera i zaczął go wypytywać, czy aby na pewno cała ta transakcja wiązana nie ściągnie im kłopotów na głowę:

– Jemu chodzi o skup, a ja odpowiadam.

Pudrycy wyjaśnił Kowalskiemu, że transakcja wiązana niezupełnie jest zgodna z przepisami, ale wszyscy tak robią, żeby wyjść na swoje, i w sumie na swoje wychodzi całość sprawy, czyli jej dobro, a o to przecież generalnie idzie, zważywszy, że dystrybucja akumulatorowo-gumiakowa nie funkcjonuje najsprawiedliwiej, skup zbóż zaś leży w interesie państwa.

– Działamy w interesie państwa – powiedział. – Niczego nie bierzemy dla siebie, a o przepisy zatroszczy się Wojtasik jako główny księgowy.

– Coście powiedzieli?

– Dyrektor Bednarczyk przenosi księgową Malawko do Skiroławek.

Prezes Kowalski usiadł za biurkiem i zaczął w milczeniu studiować zawartość teczki „Do podpisu”.

– Ona się nie zgodzi – wyrzucił z siebie po pauzie.

– Będzie musiała.

– Kto ją zmusi?

– Dom, w którym mieszka, idzie do rozbiórki. Cztery rodziny, trzy mieszkania zastępcze. Jednego brakuje. Rozbiórkę można przyspieszyć.

– Można – zgodził się Kowalski.

– W Skiroławkach jest dla księgowej mieszkanie, pokój z kuchnią.

Prezes zatarł ręce, uśmiechnął się szeroko, jego płaska twarz zajaśniała jak posmarowana smalcem.

– Wystąpimy dla niej o przeszerokowanie!

– I nagrodę warto dorzucić.

– Dorzucimy! I honorowy dyplom za zasługi dla spółdzielczości! A Bednarczyk... na pewno?

– Musi mieć blachę – powiedział Pudrycy. – Gdyby ją mógł inaczej załatwić, nie zwracałby się do nas. W dużych miastach jeszcze trwa odnowa i ludziom patrzy się na ręce.

– Rozkołysany ocean uspokaja się wolniej niż miska wody – powiedział w zamyśleniu prezes Kowalski i zerknął na Pudrycego, aby sprawdzić, czy metafora zrobiła na nim wrażenie.

Ale Pudrycy W. był już nieobecny: przypomniał sobie, że o czymś zapomniał.

Hubert Molko siedział naprzeciw Anielki w jej pluszowym pokoiku i pochlipywał, wpatrzony tępo w obraz z sarnami u wodopoju na tle jaskrawej dżungli z papugami.

– Nie becz – powiedziała Anielka. – Jakoś będzie.

– Nie będzie – jęknął Hubert, rozmazując kułakiem łzy na zapadniętych, umazanych smarem policzkach.

– Co ma nie być?

– Bo ja jestem drań. Piję ze smutku, a smucę się, bom pijaczyna i wszystko z rąk mi leci, nic się nie udaje, pech na okrągło... Po co takiemu żyć?

– Żyć trzeba.

– Bodajbym zdechł, Anielciu! – Hubert walnął się w pierś, aż zadudniło, oczy miał przekrwione od gorzały i płaczu. – Ojcowizna marnieje, krowy cielić się nie chcą, kapral Słowacki znowu mandat mi wlepił. Z czego zapłacę? A Sokolikowi z czego? Nie moje były sidła...

– Twoje, twoje.

– Niech będzie, że moje. Dlaczego jednym Pan Bóg gębę miodem smaruje, a drugim kopa w zadek? Ja taką sprawiedliwość...

– Zamilcz! – przerwała mu Anielka. – Każdy by zwał na Pana Boga. Co on, biedulek, poradzi, kiedy ktoś woli nażłopać się denaturatu i uwalić do śmierdzącego wyra, zamiast pole zaorać, posprzątać w chałupie, puścić krowy na pastwisko, babie dobrze zrobić?

– Kobita uciekła mi z Cyganami!... – zawył Hubert.

– Kiedy to było, człowieku? I nie dziw, że od takiego uciekła. Ja bym też.

- Dwa tysiące Słowackiemu, trzy Sokolikowi...
- Nie mam.
- Ze sklepu pożyczylabyś. Świniaka jeszcze trochę podtuczę, odstawię do skupu i oddam co do grosiczka...

– Zamilcz! Nie namówisz mnie do przestępstwa.

Hubert Molko zaparł się łokciami w obrus z błękitnego pluszu i zaczął żarliwie tłumaczyć Anielce, że pożyczka z kasy sklepowej to żadne przestępstwo, lecz dobry uczynek, albowiem on tych pieniędzy nie przepije przecież, wpłaci je do państwowej kasy na poczet mandatów, a że i sklep jest państwowy, jak wszystko u nas, co nie prywatne, więc gotówka przeleci tylko z kieszeni do kieszeni, on zaś, Hubert Molko, po odstawieniu świniaka przysporzy państwu pięć tysięcy złotych. A jeśli Anielka odmówi mu – państwo straci.

- Bo skąd wezmę? Ratuj, synowa!
- Jaka ja ci synowa? – zapytała Anielka, biorąc się pod boki.
- Nie chodzi do ciebie Wojtek? Nie chce się żenić?
- Chodzić sobie może.
- Przecie pójdziesz za niego!
- Głupi jesteś, Molko. A mój Zygfryd?

Hubert wywalił ślepią. Spłynęła z nich czerwień. Patrzyły bezradnie, mrugając.

- Nie zrobisz nam tego, Aniela...
- Jeśli za kogo pójde, musi być z wojewódzkiego miasta. Elegancki, starszy, kaloryfery w mieszkaniu.
- Kaloryfery i u nas mogą być.
- Kaloryfery pod strzechą? Na klepisku?

Anielka roześmiała się, pokazując białe mocne zęby. Od uśmiechu w różowych policzkach porobiły się dołeczki. Hubert przełknął ślinę.

– Ile chcesz kaloryferów? – zapytał. – Dziesięć żeberek na izbę wystarczy ci? Za parę wieprzków będą kaloryfery.

– Do kaloryferów musowe są pokoje – powiedziała Anielka. – Na białą pomalowane, z firankami w oknach. Okno na pół ściany. W łazience ciepła woda, porcelanowy sraczyk z rezerwuarem, lustrzana toaletka, kafelki.

Rozmarzyła się, oczy zaszyły mgiełką.

– Amerykańskich filmów ci się zachciewa – powiedział Hubert z grymasem. – Daj babie kaloryfer, to krzyku narobi o porcelanowy sraczyk.

Anielka nie zdążyła odpowiedzieć; zaskrzypiały schody pod ciężarem, do drzwi rozległo się pukanie i bez czekania na odpowiedź wszedł do izdebki Jonasz, wypełniając całą przestrzeń u progu swym olbrzymim cielskiem.

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków – odpowiedział automatycznie Hubert Molko. – Bóg cię zesłał, Jonaszu, ty nas rozsądzisz względem kaloryferów. Musi być do nich wygodka z porcelany?

– Musi być noc po dniu – powiedział Jonasz – a i to nie zawsze.

– No widzisz! – ucieszył się Hubert, z triumfem patrząc na Anielkę, po czym zwrócił się do Jonasza: – Wystarczy na izbę dziesięć żeberek?

– Zależy, ile w niej luda. Jeśli wieprzowe w szarym sosie i do tego pół litra, trzeba liczyć po kilogramie na łeb.

– Albo człowiek je, albo pije – powiedział Hubert Molko. – Ja syna żenię.

– Ze mną! – zaśmiała się Anielka. – Masz pojęcie, Jonaszu?

– Tobie sądzony hrabia z Magdeburga – powiedział Jonasz, rozsiadając się na pluszowej otomanie. – Tak stoi w gwiazdach, choć nie całkiem wyraźnie. Może być na odwrót.

– Jak na odwrót? – zapytała Anielka.

– Mag z Hrabianic.

– Wojtek jej sądzony – wtrącił się Hubert Molko. – Był przez rok magazynierem w PGR w Hrabianicach. Co za gospodarstwo bez baby? Chciał wziąć młodszą, ale nie ma, dziewczuchy do miasta pouciekały. Same kaleki po chałupach siedzą.

I zaczął żalić się Jonaszowi, że jego Wojtek też chce do miasta uciekać, a wszystko przez telewizor; zachwala tramwaje i nowe budownictwo, jakieś cuda miejskie wyświetla, wobec których rozsypywanie gnoju to katorga dla bydła ludzkiego. Co za życie, powiada, we wsi? Młodym zęby wypadają, po robocie tylko uwalić się z flachą w garści i umysł zamącić, żeby myślenia nie było, żenić się nie ma z kim, bo kto żyw, do miasta wieje, do tych teatrów z seksem, ciepłutkich czytelnik, szkół z internatami, pracy od ósmej do

czwartej, pięć dni w tygodniu. Trzydzieści lat mam, powiada, metr osiemdziesiąt wzrostu, w spodniach jak należy, hektarów dwanaście i co? Do końca życia samemu gnój rozrzucać? Telewizory kurewskie w głowach młodzieży poprzewracały...

– Życ bym nie mogła bez telewizji – powiedziała Anielka. – Niech szuka innej do rozrzucania gnoju.

– Do miasta mi ucieknie!...

– Szczęść Boże.

– A gospodarka?... – jęknął Hubert. – Jednego dzieciaka urodziła i hajda z Cyganami. Gdzie sprawiedliwość?

– W telewizji – powiedział Jonasz, przeczesując paluchami skołtunione kudły. – Dawniej opisywali w gazetach, to człowiek nie wierzył, a teraz może zobaczyć na własne oczy. Technika wciąż się rozwija. Kiedyś do tego dojdzie, że będziesz mógł ją pomacać jak ja Anielkę.

Co powiedziawszy, przejechał łapskiem po jędrnym udzie Anielki, rysującym się pod spódnicą prowokująco wyraziście. Anielka zachichotała, Molko skrzywił się.

– Synową mi macasz...

– Moje macanie nieszkodliwe – zapewnił Jonasz. – Puść syna do miasta, gospodarkę spal, a sam ruszaj w świat. Nim go obejdiesz, ziemia użyźni się popiołami i bez twojego udziału rodzić będzie.

– Dałby Bóg – westchnął Hubert Molko. – Człowiek robi i robi, i nic z tego nie ma. Inni nie robią i mają.

– Tylko nie synową, dobrze? – przypomniała sobie Anielka.

Molko wstał, naciągnął kaszkiet.

– Serca nie masz – powiedział. – Jeszcze się będziesz prosić, żeby mój Wojtek cię wziął. W zębach przyniesiesz te pięć tysięcy na mandaty.

– Całe cywilizacje upadają – powiedział Jonasz. – Nie wiadomo dlaczego. Nagle Anielka przyjdzie się prosić, a twój Wojtek jej nie zechce, bo już będzie profesorem sławnym, z orderami i w gronostajach.

– Nie będzie – mruknął Molko, kierując się do drzwi. – Nie ma głowy do rachunków. Chce robić w piekarnictwie.

– Piekarzem też nie będzie – pożegnał go Jonasz. – Nikim nie będzie, bo

świat się kończy. Są już sygnały z kosmosu, może słyszałeś?

Molko przeżegnał się i chciał splunąć, lecz onieśmielił go czyściutki pluszowy dywanik, więc chrząknął tylko, popukał się w czoło i wyszedł. Anielka usiadła Jonaszowi na kolanach, objęła go za szyję, roześmiała się:

– Ale miał gębę! Numer z ciebie, Jonaszu.

– Jakbym słyszał Komendanta. – Jonasz delikatnie musnął dłonią konopne włosy Anielki. – To nie żart, dzieciно. Świat cholernie się posunął, trzy ćwierci od śmierci i paranoja. Uczucia zamierają.

Wczorajsze wieści z eteru, jeden tylko dzień, całkiem zwykły. Amsterdam: szesnastoletnia Marie Bessard oblała benzyną i podpaliła swoich śpiących rodziców, ponieważ nie dali jej na kino. Teheran: wykonano 140 wyroków śmierci na perskich inteligentach, nieżyczliwych przywódcy religijnemu. Otwock: mordercy taksówkarza przyznali się, że zabijanie sprawiło im przyjemność, zwłaszcza zaś błaganie ofiary o darowanie życia: „...żywotny był jak kocur, my go butelką, nożem dwa razy, kluczem francuskim po głowie, a on wciąż się szarpał, prosił o litość; wyciągnęliśmy go z wozu, podnośnik oparłem mu na skroni i zacząłem windować auto w górę, a on się tak śmiesznie wykrzywił, zacharczał i wtedy dopiero był z nim koniec”. San Francisco: urzędnik bankowy Bob Lee, 24, zabarykadował się na wieży kościelnej i przez kilka godzin ostrzeliwał z broni maszynowej przyległe ulice. Bukareszt: Ion Antonescu, nauczyciel, zakatował na śmierć swą pięcioletnią córeczkę za stłuczenie jego ulubionej filiżanki. Filipiny: huragan Margot spowodował kilkaset ofiar. Boreczno: zbiorowy gwałt na nieletniej i wyklucie oczu, by nie rozpoznała sprawców. Genewa: mocarstwa pracują nad bronią „M”, najgroźniejszą z wyobrażalnych – wywiercenie otworu w gazowym pierścieniu chroniącym Ziemię przed promieniowaniem kosmicznym powoduje na wyznaczonym obszarze totalną zagładę życia biologicznego w ciągu 17 sekund. „Nikogo nie kocham i jest mi wszystko jedno – powiedział do mikrofonu młody mieszkaniec Tucholi – każdemu jest wszystko jedno, więc może dosyć już udawania, że o coś chodzi?”

– O coś jednak chodzi – powiedziała Anielka.

Jonasz łagodnie zsunął ją z kolan, wstał, sięgnął po torbę z narzędziami. Zlew za przepierzeniem pełen był brudnej wody, która nie chciała spływać.

Anielka podstawiała kubeł, stary wyjął z torby żabkę i zaczął rozkręcać syfon pod zlewem. Znał się na hydraulice nie gorzej niż na stolarce, potrafił przestawić piec i naprawić pralkę. Dorabiał tym sposobem do emerytury, na którą przeszedł w czasach, gdy pączek u cukiernika Łokietka kosztował złotówkę i Jonasz za miesięczny przekaz mógłby ich kupić tysiąc dwieście, o tysiąc osiemdziesiąt więcej niż dziś za ten sam pieniądz.

– Od czasu do czasu – powiedział Jonasz, opukując zardzewiałą śrubę – zbierają się w ludziach różne tęsknoty, niezaspokojenia, fantazje. Wzbierają, przybierają, nabierają. Im niemożliwsze, tym bardziej upragnione. Aż raptem jak rozbłyśnie!

I zrelacjonował Anielce opowieść księdza Celestyna o czterech braciach Sokolikach, co nie chcieli iść w żołdacy do carskiego wojska ani przed tym wojskiem uciekać, ani zapłacić komu trzeba za przepadek papierów. Nie pójdą w żołdacy, i koniec! Obcemu prawu nie ulegną! Ich zagroda z dziada pradziada, ich polska ziemia, polska dola swawola, swoboda niezgoda! A jeśli przemocą wziąć ich spróbują – będą jatki. Wspomina ksiądz Celestyn, że cały Krasnogaj sekundował Sokolikom, kiedy przegnali za bramę żandarmów, potem oficera na koniu, potem samego praporszczyka Ogurcowa, który pofatygował się osobiście na rozmowę. Z jakiejś przyczyny, którą obwołano słabością, carska władza zwlekała z użyciem siły, śląc tylko ponaglenia i monity. Bracia Sokolikowie umocnili wokół zagrodę palisadą z bierwion, kute wrota podparli drągami z żelaza, zgromadzili dużo strzelb i prochu, a nad zagrodą łopotała chorągiew z orłem piastowskim. Krasnogaj wstrzymał oddech: oto śmiałkowie samotnie walczący w imieniu ich wszystkich, o nich i dla nich, którzy dotąd w tępej pokorze słuchali władz, nie wyobrażając sobie, że może być inaczej. Za palisadę leciały połcie wędzonej słoniny i sarnie udźce, placki i baby drożdżowe, bułki z piwem i okowitą: „Trzymajta się, Sokoliki! Honoru naszego brońta, dumy naszej, czci nieskalanej!”

Ksiądz Celestyn, świadom, czym musi się zakończyć bunt braci, przeżywał bolesne dwuwidzenia: widział Sokolików podziurawionych kulami plutonu egzekucyjnego, posiekanych batogami, pędzonych w kajdanach na Sybir – i widział ich imiona pulsujące w sercach rodaków, zagrzewające do

przetrwania, do oporu, do nadziei. Nic tak nie krzepi jak męczeństwo. Że bez szans? Męczeństwo musi być bez szans: powiedz mi, jak zginąłeś, a powiem ci, czy przejdiesz do historii. Ksiądz Celestyn wyczerpał już w kazaniach męczeństwa biblijne, dla podniesienia na duchu parafian potrzebował pilnie przykładu żywego, tętniącego serdeczną krwią. Stąd nie nalegał zbytnio, aby przekonać Sokolików, że ich akcja to błazeństwo. Lecz i władze okazały się nie w ciemię bite. Carscy fachowcy od propagandy ułożyli szybko równanie, w którym nie pominęli konieczności ukarania buntowników, uwzględniając równocześnie szkodliwość wykreowania bohaterów narodowych i puszczania w obieg nowej legendy. Wynik równania: ośmieszyć.

– Ośmieszyć? – zapytała Anielka.

– Ośmieszyć.

– Ale jak?

– Ośmieszyć można wszystko – powiedział Jonasz. – Kwestia pomysłu jedynie.

Którejś nocy, wspomina ksiądz Celestyn, zjechał do Krasnogaju oddział carskich saperów i Sokolikową zagrodę przykryto kopułą z siatki. Umieszczono też tablicę z napisem: „Warownia buntowników. Styl romantyczny. Skansen”. Nazajutrz pojawiły się pierwsze wycieczki działwy szkolnej i gospodyń domowych. Bracia próbowali przepłoszyć wycieczkowiczów, wznosząc groźne okrzyki i strzelając w powietrze. W zamian sypały się oklaski, drobne monety i wołania o bis. Carski tajniak, przebrany za tłustą babę, sprzedawał w budce bilety.

– No i co? – zapytała Anielka.

– Najstarszy z braci palnął sobie w łeb. Trzej pozostali uciekli nocą, ale ich schwytano i dano do wyboru: skansen albo kompania karna. Wybrali karną.

– Słabszy zawsze bierze baty.

– Trzeba mieć tutaj. – Jonasz poklepał się w czoło. – Jeden muskularny mózg wart tysiąca muskularnych pięści.

Anielka westchnęła. Przypatrywała się ze smutkiem, jak Jonasz walczy z zardzewiałą śrubą syfonu. Zlew był żeliwny, przedwojenny jeszcze, z obtłuczoną emalią. Po raz pierwszy się zatkał. Jonasz usiłował poruszyć

śrubę bez gwałtownego szarpnięcia, ponieważ instalacja także była przedwojenna i mogła nie wytrzymać.

– Cośmy takiego Panu Bogu zrobili? – odezwała się cicho Anielka. – Dlaczego nas wyznaczył do cierpień, a nie pogan tureckich?

– O Turka warto pozabiegać – odparł Jonasz, ciągnąc żabkę na siebie. – Za jednego nawróconego dają tuzin wiernych.

– Tacyśmy wierni, Jonaszu?

– Tacyśmy niedojrzali. Rozkraczyliśmy się w historii jak baba w szpagacie. Jedna noga w powstaniu styczniowym, druga w Targowicy, łapy po łokcie w sejmikach, serce od morza do morza, a żołądek u stóp carycy i jeszcze zez do tego: lewym na wschód wzgardliwie, prawym łakomie na zachód. Bo my, Anielcia, kochamy kochać się bez wzajemności i kpić z rozsądku. Ponad jesteśmy! Tak bardzo ponad, że hańba przeznaczeniu, które nam miodu w gęby nie leje, mirtem nie stroi, innych nie rzuca na klęczki. Ruscy pierwsi polecili w kosmos? Amerykańcy pierwsi na Księżycu? A nasz pan Twardowski?!

– Pan Twardowski na kogucie, w jednym kapciu, w drugim bucie... – zanuciła Anielka, kołysząc jasnymi lokami.

– Amerykaniec wynalazł żarówkę? Nic by po ciemku nie wynalazł. Przyświecał sobie lampą naftową Łukasiewicza, a Ziemia już się kręciła wokół Słońca dzięki Kopernikowi z Torunia.

– Nie drwij z nas, Jonaszu. Są gorsze ludy.

– Nie ma gorszych. Ani lepszych. Wszystkie są średnie, pytanie tylko, w jakim czasie żyją. Najlepiej żyje się żyjącym w terażniejszości, najnędzniej rozkraczonym w czasie, z własnej woli ukrzyżowanym, bluźnierczo gniewnym na los.

– Za dużo myślisz, Jonaszu – powiedziała łagodnie Anielka. – Proszku do prania w ogóle nie było, a teraz zaczyna bywać. Jest węgiel, nie wyłączają prądu, francuski film pokażą dziś w telewizji.

– On usypia czujność... – wyszeptał Jonasz, wpatrzony w zapieczoną śrubę pod zlewem. – Czeka na moment. Umysł zamącić, bielmem pozaciągać źrenice i zadać jadu. Ludzi na ludzi wypuścić, jak psy wściekłe: ten Żyd, to Rusek, ten katolik Chrystusa sprzedaje bolszewikom, ten Polak to nie-Polak,

a zakonnicy są starozakonni, poprzebierani dla niepoznaki w kontusze, pod którymi na szyjach medaliki z konterfektem masona z Berdyczowa, co chrześcijańskie dzieci na macę przerabiać kazał swym kozakom dońskim...

Anielka nie rozumiała Jonaszowego mamrotania, które zagłuszył strumień wody spod śruby. Chlusnęła do wiadra. Gdy wypełniło się, Jonasz dał znak Anielce, żeby wyniosła na podwórze. Został sam w izdebce. Odkręcił śrubę do końca, zdjął kolanko i z cuchnącego bagnem czarnego otworu rury wyciągnął włochaty kłęb tamujący przepływ. Pod palcami wyczuł twardy rdzeń. Rozsupłał kleiste farfocle i oczom jego ukazał się błyszczący metalowy przedmiot na kolorowej wstążce – Żelazny Krzyż.

Jak drwiące wyzwanie.

Kapitan Storch robił to nie po raz pierwszy; opanował sztukę rozmnażania Żelaznego Krzyża, który zdobił ongiś jego hitlerowski tors, i podrzucał odznaczenie Jonaszowi w różnych nieoczekiwanych miejscach, jakby chciał mu przypomnieć o swoich zasługach. Jonasz miał już w szufladzie osiem krzyży, ten był dziewiąty. Nim powrócisz na germańskie łono, powiedział Storch do Jonasza, kiedy szli przez bagna po Reginę Kuperholc, odbędziesz cierniową drogę pokuty, na którą właśnie wstąpiłeś. U jej kresu, być może, spotka cię żołnierski zaszczyt. Widzisz ten krzyż? Sam Führer mi go przypiął za wierność rasie. Skrupuły kolidują z wiernością. Jeśli masz być wierny idei, musisz zacząć od walki ze sobą. Najpierw egzekucja wątpliwości: im głębsze, tym bezlitośniej tęp, wypalaj bez namysłu. Namysł to słabość. Potem egzekucja uczuć, które nie służą sprawie: proces przerobu ludzkiego śmiecia na popiół ma prawo budzić tylko refleksje technologiczne. Ponad banałem czułościowości, ckliwego sentymentalizmu, drobnomieszczańskich obiekcji szybuje duch świata poprawionego. Pan Bóg wyznaczył rasę germańską do panowania nad światem. Panowanie to ciężki chleb, ale nie będziemy się migać. Pomożemy Panu Bogu, aby stała się Jego wola. Ja pomogę tobie, Jonaszu Hoff. Poboli trochę. Wyzwolenie z przesądu dobra i zła musi boleć, jak przecięcie wrzodu. Myśl o dniu, w którym Führer przebaczy ci, przygarnie do piersi i udekoruje Żelaznym Krzyżem...

Jonasz słyszał przyjazny głos Storch'a, miał przed oczyma jego twarz buchającą chłopięcym entuzjazmem. Misja nawrócenia. Rzadkość.

Zadaniem jest niszczyć, miażdżyć, zniewalać strachem, wymuszać pokorę. Kapitan Storch wziął jednak na siebie zadanie trudniejsze: omotać duszę zbłąkaną i sprowadzić do swoich, odcinając odwrót. Dopóki nie skosztujesz krwi, nie wiesz, że natura stworzyła cię drapieżnikiem. Mógłbym, kowalu, załatwić tę sprawę sam, znamy drogę do ziemianki, ale ja szukam drogi do ciebie, dlatego idziemy razem, dlatego rzecz załatwiona będzie twoimi rękami. Dokonasz odkrycia: zabicie człowieka uczyni cię nadczłowiekiem, da wolność, zjednoczy z podobnymi tobie. Kiedyś mi podziękujesz za uszczęśliwienie przemocą.

Kapitan Storch – kuternoga rogaty – ojciec duchowy uszczęśliwienia przemocą – bagieny pokutnik, któremu kres położyć może tylko święta kula odlana z menory. Na każdą okolicę przypada po jednym kapitanie. Stąd zamęt w ludzkich głowach, nieokiełznane ambicje i przemoc. Im ruchliwszy kapitan, tym bardziej krańcowe nastroje, żarliwsza nienawiść, głębsza pogarda dla umiarkowania. Gwiazdy ostrzegają: czas polowania na kapitanów nie jest nieograniczony, może być za późno, trzeba się śpieszyć. Epidemia obłędu już przewala się przez świat. Coraz więcej ognisk choroby. Czy Jonasz zdąży?

Musi zdążyć.

Schował do kieszeni krzyż. Zmontował syfon pod zlewem, sprawdził, czy woda spływa bez przeszkód. Dobrze spływała. Anielce, która wróciła z podwórza, powiedział, że czeka na nią wieczorem:

– Uczta będzie. Dużo gości spraszam, przyjdź na pewno.

## Rozdział piąty

Komendant siedział za swoim biurkiem i odbierał raport od kaprała Słowackiego. Twarz jaśniała mu od potu. Niecierpliwie patrzył w uchylone okno z przestrzenią ujętą w żelazne kwadraty, ale nie nadlatywał stamtąd najłżejszy wiaterek. Udusić się można. W taki żar ludzie dostają amoku i mogą robić różne głupstwa, zwłaszcza po kielichu, który idzie w rozprażony mózg niczym rakietą w masło. Wódka jest, a piwa nie ma. Powinno być na odwrót. Woda w upał wyzwała agresję, a piwo, gasząc pragnienie, działa zarazem nasennie, moczopędnie i rozleniwiająco. Komendant sam napiłby się chłodnego pianistego piwka. Niestety, kryzys. Kryzysowa przewrotność na tym polega, że browar dławi się piwem, a w detalu go nie uświadczysz: piwa w bród, butelek pod dostatkiem, tylko kapsli blaszanych brakuje właśnie. Plastikowych kapsli nie da się zastosować? Nie da się, bo normatywy przewidują blachę. A z beczek sprzedawać – archaizm. Zresztą beczek też brakuje, co było, poszło do rybaków na solenie śledzi. Gdzie śledzie? U Kuperholca były śledzie z beczki, tłuste uliki wypełnione ikłą, niech kawior się schowa. I piwa z beczki nigdy nie brakowało, pianistego, zimnego. Komendant, w krótkich majtkach, nosił je w bańce ojcu do tartaku, po drodze sam nieraz łyknął...

– ...ład i spokój – domeldował kapral Słowacki.

– Dziękuję – powiedział Komendant. – A w Zielennikach?

– Sprawdziłem. Fakt. Towarzyszka Pszenna posłała po księdza. Celestyn już tam jest.

Komendant sapnął gniewnie, wytarł chustką czoło i policzki.

– Była instrukcja o współpracy, ale bez nawróceń – mruknął. Nadgorliwość? Pszenna zawsze pchała się do przodu.

– Melduję, że umiera.

– Każdy umiera! Szanować się trzeba, Słowacki. Pana Boga nie nabierzesz, niczym wody do dzbana. Kto za życia uprawiał ateizm, ten w godzinie śmierci niech z siebie nie robi durnia.

Kapral Słowacki przestąpił z nogi na nogę. Też mu było gorąco. Chętnie siadłby na motor i przeleciał się cienistymi drózkami, wypatrując

przestępców drogowych, wędkarzy bez kart, biwaków w miejscach niedozwolonych.

– Oszukują – powiedział. – Ja ich znam, obywatelu Komendancie. Na zebraniach marksisci, a przez cmentarz nocą boją się pójść.

Komendant przypominał sobie, że w dzieciństwie i on bał się chodzić nocą przez cmentarz, choć w Boga nie wierzył już wtedy: ojciec siedział za komunizm, w izbie zamiast Bozi wisiał Fryderyk Engels, w domu gadało się o walce klas, wyzysku kapitalistycznym i rewolucji światowej. Przed wojną nie opłacało się trzymać z komunistami, więc trudno było posądzić kogoś o interesowność, jeśli do kościoła nie chodził i nawoływał do strajków. Po wojnie też się nie opłacało, zwłaszcza w Krasnogaju, gdzie komunistów było pięciu na krzyż, a zwolenników Mikołajczyka dziesięć razy więcej. Potem było już całkiem dziwnie: w komunizmie komuniści komunistę za komunizm pakowali do paki i ojciec Komendanta znów poszedł siedzieć, a Komendant, wówczas aktywista młodzieżowy, zamiast wpaść w gniew, popadł w depresję ze wstydu za starego, że zdrajca, sprzedawczyk, agent imperializmu. Aby się zrehabilitować, poszedł do milicji. Czy uwierzył w ojcowską zdradzieckość? A mógł nie uwierzyć? Imperialiści napadli na Koreę, po kartofliskach ojczystych hulał żuk z Kolorado, kułackie bandy mordowały dzieci rewolucji. Złe moce sprzysięgły się przeciw nowemu jutru. Jak w bajce: obejrzyś się – zginiesz. Więc Komendant nie oglądał się, parł naprzód, powtarzał magiczne formuły, bolszewickie zaklęcia i robił, co kazano. Władza wie, co kazać, kiedy jest ludowa i wyzwała świat z nieprawości. Milicja to jej zbrojne ramię, pilnujące ładu. Ład to żyzna łąka, na której pasą się ideały i cele. Zbrojne ramię ma pilnować, żeby tej łąki nie zapaskudzało łajdactwo, różne warchoły, opoje, nieroby, oszuści, niebieskie ptaki i farbowane lisy. Komendant, który nie miał ambicji awansowania, parcia wzwyż po cudzych garbach, osiągnął swoje apogeum, obejmując kierownictwo posterunku w Krasnogaju: gmina to było terytorium w sam raz dla niego, obszar do ogarnięcia i kontroli. W kartotekach, jakie prowadził od lat, miał ludzi posegregowanych na kategorie z uwzględnieniem moralności, pociągu do rzeczy zakazanych, stosunku do państwa, jego przyjaciół i wrogów, do władzy i do księdza Celestyna.

Towarzystkę Pszenną z Zielennik należałoby przenieść z jednej rubryki do drugiej. Tylko czy warto? Jest sens psuć statystykę, gdy wiadomo, że facetka do piątku nie dociągnie? Doktor Samosiejka nie miał w tej sprawie wątpliwości: rak wątroby, koniec.

A jednak bolą takie nawrócenia. Słabi są ludzie, maluczcy, wiecznie czegoś przestraszeni, jakby ten świat ziemski nie był jedyny i na serio. Komu ufać? Sobie co najwyżej, a i to nie zawsze, bywały bowiem momenty, kiedy w głowie Komendanta kłębić się poczynały jakieś dziwolągi, koszarne powątpiewania, herezje. Musiał ojciec skonać na więziennej pryczy? Wolno było zniszczyć protokół z polowania, na którym podpity myśliwy postrzelił w nogę chłopca z nagonki? Przerwać dochodzenie w tartaku na rozkaz telefoniczny? Przymknąć oko na nielegalny ubój w PGR-ze? Zorganizować materiał obciążający na poprzedniego naczelnika, który przecież...

Komendant wzdrygnął się, odkaszlnął.

– Stoją przy cmentarzu latarnie i żadna nie świeci – powiedział. – Trzeba objechać energetyków.

– Oszczędność prądu.

– Co mi tam oszczędność, kiedy kwitnie zabobon. Czy szef elektrowni odpowie za nawrócenia?

Kapral Słowacki zasalutował. Nie chciał wdawać się z Komendantem w dyskurs o nawróceniach, ponieważ sam nawrócił się niedawno na aktywną wiarę, cichutko i bez rozgłosu. Kapral Słowacki był wierzący i przedtem, ale z nawyku, bez praktykowania, tak jak wierzy większość mieszkańców Krasnogaju: gdy źle, to do Pana Boga, a na co dzień samo życie. Owego dnia wyruszył na patrol bez żadnych przeczuć, których zresztą nigdy nie miewał, z nadzieją jedynie, że przykarauli swego antagonistę Huberta Molko, ponieważ widziano go po południu, jak niósł z mydlarni denaturat; daleko nie poniesie, nie zdzierży, a wracać na wieś będzie ciągnikiem bez świateł, na łysych oponach. Kapral Słowacki przeleciał się asfaltową szosą do Bart, po drodze wylegitymował dwóch jegomości z plecakami, czy nie do Sokolika czasem na konspiracyjne spotkanie z panem Orno – tacy wásacze sprawiali ongiś wiele kłopotów władzy gminnej, jakby od wásów szła nieprawomyślność, światoburczy tupet i przemądrzenie, ale ci dwaj byli

geodetami z sąsiedniej gminy; potem skręcił na żwirówkę, z tej żwirówki w przesiekę leśną, którą lubił wracać Molko po denaturalnej wypitce swym beczelnym ciąg-

nikiem. Wydało się nawet kapralowi, że już słyszy daleki charkot Molkowego traktora, gdy raptem poczuł ponad wszelką wątpliwość, że nie jedzie sam na motocyklu. Ktoś mu siedział za plecami. Ki diabeł?... – pomyślał w osłupieniu kapral Słowacki i w odpowiedzi usłyszał śpiewny kobiecy głos, że nie diabeł, tylko święta Cecylia, której nie należy się bać, jeśli sumienie czyste. Kapral nie miał problemów z sumieniem. Jedź przed siebie bez zatrzymania, usłyszał, i nie oglądaj się, sumienie twoje wcale nie takie czyste, jak myślisz, żonę się zdradza z rudą Terenią, gościńce jej się kupuje spod lady, ostatnio cytryny, które przysługują tylko dzieciom – do domu dwie przynios-

łeś, a Tereni cztery. Do nagrody przed żoną się nie przyznałeś, całe pięć tysięcy w kaburze trzymasz, pod pistoletem. Wystarczy? Czego chcesz?... – sapnął osłupiały kapral. Zagryzł górną wargę do krwi: nie spał. Za plecami czuł zwiewne ciepło kobiecego ciała, od którego promieniowała świetlistość, rozjaśniająca fosforycznie mrok przesieki. Nie musiał zapalać reflektora. Na dowód, że ma do czynienia z cudem, święta Cecylia uniosła kaprala Słowackiego wraz z motocyklem w powietrze i szybowali nad przesieką dobre kilkanaście sekund, po czym odbyło się miękkie lądowanie i trwała dalsza jazda. Grzeszysz, usłyszał kapral, pycha cię wypełnia od władzy, jaką masz nad ludźmi. Mandatami szafujesz! Uwziąłeś się na Huberta Molko, a on... kto wie? – męczennik... Nicpoń! – ryknął Słowacki. Za kim ty się ujmujesz? Od tych pijaczków-cwaniaczków-tępaczków ojczyzna zadyszki dostała! Poczuł wstrząs elektryczny, omal języka sobie nie odgryzł. Nie filozofuj, strózu, usłyszał słodki głos świętej, módl się i dbaj o porządek, zgodnie z programem nawrócenia, jakiemu zostałeś poddany, a ojczyzna twoja zmierza ku swemu przeznaczeniu nieuchronnym kursem, jeszcze nią zakołysz, i nie przez pijaczków-tępaczków, jeno przez odgórną wytyczną tyczącą ludów wybranych. Uważaj na Huberta! Nie podchodź za blisko, bo namiętność w nim budzisz, karząc za łyse opony. Od pokus są diabły, nie milicja. On cię zadźga, rozumiesz? A teraz, po nawróceniu z ostrzeżeniem,

kontynuuj swoje służbowe obowiązki zgodnie z regulaminem milicyjnym i dziesięciorgiem przykazań...

– Tak jest, obywatelu Komendancie! – Słowacki strzelił obcasami. – Rozkaz, objechać energetyków.

– A ty sam?

– Co ja sam? – zapytał cicho kapral Słowacki, unikając łagodnych wszystkowiedzących oczu Komendanta.

– Tylko mi nie mów, że do kościoła latasz w celach służbowych. Służbowo Karaś chodzi. Ciągnie ciebie ostatnio do Pana Boga jak do buhaja turkaweczkę, aż się zastanawiam, czy cię Celestyn czymś nadzwyczajnym nie zauroczył.

– Melduję, że nie – odparł kapral, czując raptem za plecami znajomą zwiewność, a w sobie kobiecy głos przestrzegający surowo przed wypieraniem się wiary, której jedyną miarą jest pobożność, miarą zaś pobożności częstotliwość uczęszczania do kościoła, albowiem czas jest taki, że trzeba demonstrować światopogląd. – Religijność uprawiam prywatnie, bez związku z funkcyjnością.

– Funkcyjność funkcjonariusza nie ustaje, nawet gdy śpi z kobitą – powiedział Komendant. – Szczególnie jak nie ze swoją, tylko z cudzą, w Dobrzykach zamieszkałą, której zawozi się cytryny.

No i co jest warte takie życie? Wie święta Cecylia i wie Komendant, przed obojgiem niczego się nie ukryje, a warunki stawiają wprost przeciwne. Chodź – nie chodź, wierz – nie wierz. Nie mog-

liby tego uzgodnić między sobą i poinformować kaprała o decyzji? A swoją drogą, przed mrocznymi zamiarami Huberta ostrzegł go nie kto inny, lecz święta Cecylia właśnie: tam, nad urwiskiem, źle mogło być. Więc przymierze ze świętą to nie tylko interes na przyszłość, zabezpieczenie przed nieznanym, to również korzyść doraźna. Było jednak powiedziane: „Kontynuuj swoje służbowe obowiązki zgodnie z regulaminem milicyjnym i dziesięciorgiem przykazań”, a czymże jest większość przykazań, jak nie esencją i wizytówką władzy, której służy milicja? Kłóci się władza ze świętością niczym sekretarz Konstanty z księdzem Celestynem u łóża byłej towarzyszki Pszennej – w przerośni, ma się rozumieć, co w przerośni?

wszystko w przerośni! – jakby ich nie łączyło pokrewieństwo stryjeczne, historyczna historia, katolicki komunizm i materializm idealistyczny, tak typowy dla mieszkańców Krasnogaju i okolic w promieniu kilkuset kilometrów. Co do tego Słowackiemu? Byle jego funkcyjne życie, atawistyczne łowiectwo, dało się pogodzić z atawizmem głębszym jeszcze, rudymmentarnym: pod Twoją opiekę... Dlaczego nad czuwającym czuwa się, a śledzący musi być śledzony? Kapral Słowacki nawet ze świętą Cecylią nie zdradziłby swojej służby milicyjnej. Ale popatrzyłby sobie: młoda i ładna czy stara i brzydka? Czemu tylko głos za plecami?

I czy nie od Niej wie Komendant o cytrynach?...

– Jedź do Zielennik i pokręć się – usłyszał głos Komendanta. – Do gospody zajrzyj na piwko, jeśli będzie. Dobrze, gdyby było, wtedy większa dla nas wyrozumiałość. Chcę wiedzieć, co gadają o Pszennej. Nie zaszkodziłoby trochę śmiechu, żarcików parę. Oko rób do ludzi.

– Do tego lepszy jest Karaś... – zaczął kapral, ale umilkł pod surowym wzrokiem Komendanta.

– Nie grymacie, Słowacki. Etatów brakuje. Może Karaś wypisywać mandaty, możecie wy pożartować z ludźmi. Odmaszerować!

Pozwolił strzelić obcasom kaprała i zamknąć się drzwicom z napisem „Oszczędzaj światło”, wtedy dopiero dźwignął się zza biurka, rozprostował swoją spoconą zwalistość, podszedł do okna z kratą. Krasnogaj dyszał od popołudniowego żaru. Rozeta z bratków, otaczająca biało-czerwony maszt z półkolem cynobrowych kamyków „Milicja Obywatelska”, przywiedła smętnie, bratki straciły kolor i porosły szarawym nalotem od kurzu, który unosił się nad ulicą. Od bazy spływały leniwie fury z węglem. Ile z listy, a ile na lewo? Biez wodka nie razbieriosz, a s wodkoj tiem boleje. Good afternoon. Snaczała razbieriomsia, patom budiem dokazywat. Oj, rozebrałby się Komendant, podokazywałby, najchętniej pod zimnym prysznicem, z lodowatą buteleczką piwa... Kto na lewo, kto na prawo? W województwie wiedzą. Brać na lewo – źle. Być na lewo – dobrze. Lewus – kreatura, człowiek prawy – good afternoon! Prawy, ale na lewicy, bo prawica to lewusy, przeciwniczowie nasi, tacy, którym w smak rebelie: dziurawiliby rzeczywistość jak robak jabłko. Czy dlatego jabłko słodkie, że robaczywe?

Na odwrót! Robak toczy słodkie jabłko. A takie było słodkie? Pewnie było, jeśli toczył. No i utoczył dystrybucję powszechną, nadpieniężność, chmury burzowe, którym kresu nie widać. Świat jest nieudany, powiada Jonasz, ale Komendant nie daje posłuchu takiemu gadaniu, bo wniosek z tego żaden i do raportu się nie nadaje jako wypowiedź apolityczna. Gdyby był udany, ksiądz Celestyn mógłby zamknąć firmę. Co to jest świat? Jonasz może wie. Komendant nie będzie sobie zawracać tym głowy, ma na niej sprawy ważniejsze, aż mu od nich puchnie. Co tu robi Lech Maciej Orno? Dlaczego właśnie tutaj, skurczysyn, a nie za miedzą, za rzeką, u sąsiada? I jak robi, że nie znać? Każdy wróg knuje, uczą tego w milicyjnej podstawówce – nie ma wroga bez knowań, spiskowań, kombinowań. Dobry wróg knuje do ostatka, nawet wypluwając płuca: powiela, zagrzewa, spotyka się, odbiera instrukcje, wysyła emisariuszy, udziela wywiadów agenturalnym agencjom. I wpada! Nie można nie wpaść, zbyt pracowite mamy służby, inteligentni tam mózgują, nie jacyś działacze amatorzy z aparatu, tylko fachowcy z dyplomami. Orno też wpadnie. Jeśli Komendant go nie przyskrzyni, zjedzie do Krasnogaju jakiś playboy sportowym BMW, dzinsowy włóczęga z gitarą albo dziennikarka z Andory. Lepiej jednak, żeby sam Komendant: kto raz nie dał sobie rady, temu już będą nosa wtykać we wszystko.

Szesnasta dziesięć. Spóźnia się; za oknem stara Połtuciowa sprzedaje z furmanki kapustę, przed samym posterunkiem, jak na kpinę – wysłać Mołojca, żeby przymandacił? Eee... Nikt się nie śpieszy do kapusty, co innego, gdyby samogon upłynniała, ale samogon nie u niej – u Tyburki. Tyburka zna się z Sokolikiem, kumplami kiedyś byli... spóźnia się! Komendant chciał już do drzwi, wstrząśnięty nagłą irytacją, ale te raptownie zaszeleściły, rozwarły się i w progu stanął Pudrycy.

Komendant pozwolił Pudrycemu poprzestępować z nogi na nogę, powyjaśniać coś, poprzemaszać, zażartować na temat pamięci, która po śmierci jest już nie ta co przed; słuchał, masując włochatą pierś w trójkącie rozpiętej mundurowej kurtki i spoglądając w okno, za którym trzech ciągnęło kabel. Ciągnęli, jakby chcieli i nie mogli. Może potrzebny jest piorun do wstrząśnięcia ludem? Albo rzeź i po niej wspólny płacz? Czekając,

aż się Pudrycy wygada, Komendant czuł do siebie lekki niesmak, jak zazwyczaj, gdy szło o prace zlecone.

– Skończyłeś? – spytał, kiedy Pudrycy skończył.

– Powiadam właśnie...

– Już powiedziałeś. O wszystkim, tylko nie o tym.

– Przecie byłbym o czwartej...

Komendant machnął ręką. Zniżonym głosem upomniał Pudrycego, żeby zszedł z tematu, ponieważ poruszać się będą w innym temacie, istotnym dla klimatu w Krasnogaju, który to klimat wciąż budzi u czynników uzasadniony niepokój. Przedmiotem odrębnego niepokoju czynników, a nawet, rzecz by można, zatroskania, jest on, magazynier Pudrycy W.

– Ja?...

– Ty – potwierdził Komendant z akcentem przyjaznego współczucia. – Tam uważają cię nadal za swojego. Kto nie popełnia błędów? Sama władza je popełnia, później przyznaje się i naprawia, przez co zasługuje na szacunek obywateli. Tobie też pora się przyznać, Pudrycy. Od szczerego przyznania się, poprzez skruchę do naprawy błędu blisko jest jak od ucha do ucha.

– Nie rozumiem – powiedział Pudrycy, nierzad z nagłego mrowienia między łopatkami, bo przecie nie pierwszy raz Komendant brał go na skruchę, czas był się uodpornić, a jednak wciąż tak samo reagował mrowieniem na współczujący ton. – Wszystko o mnie wiecie...

– Tak jakby – zgodził się Komendant, sadzając Pudrycego naprzeciw siebie w metaloplastycznym foteliku – ale i nie całkiem. Po co żonę swoją, Hannę, posyłałeś do Mielniczuka? Żeby dla siebie awans wyjednać czy zatuszować aferę z wełną owczą, którą skupiliście dla państwa, a sprzedaliście z prywatnym zyskiem góralom spod Żywca na wyroby ludowe?

– To wy i o tym? – zdumiał się Pudrycy. – Tuzin lat minęło...

– Milicyjna pamięć nierychliwa, ale swoje wie – powiedział Komendant, częstując Pudrycego sportem. – Po co człowiek znaczki pocztowe zbiera? Żeby były. W potrzebie za taki album znaczkowy Icek Kloc życie sobie wyjednał u faceta, co służył w Gestapo.

– Siostrzeniec starego Kuperholca?

– Mhm.

– Przecież zginął!

– Potem. A ty handlowałeś po wojnie dolarami, z Papuzińskim myślałeś pryskać na Zachód przez zieloną granicę, później opchnęliście Gondkowi pożyczdowskie mienie w postaci spichrza i zabudowań, posługując się fałszywym upoważnieniem od Perelmana z Ameryki...

– No i kto zrobił na tym interes? – nie wytrzymał Pudrycy. – Chciałbym mieć tyle groszy, ile Gondek ma dolarów!

Mrowienie mijało: materiał Komendanta wydawał się przeterminowany.

– Pamięta się twoje przemówienia na masówkach.

– Kto wtedy nie przemawiał?

– Kto wtedy nie pisał raportów na kratkowanym papierze? – wpadł mu w ton Komendant i Pudrycy zakrztusił się, umilkł: mrowienie jednak nie znikło tak do końca. – Kto nie utracił konkurenta, wynajdując mu krewnego w odwetowym ziomkostwie nad Menem? I jeszcze jednego, za sympatie syjonistyczne, bo źle się wyrażał o prześladowcach Stasia i Nel? He, he, he, Pudrycy!...

– He, he, he... – zawtórował niewyraźnie magazynier.

Komendant zapatrzył się w szaroniebieski prostokąt okna z azurem krat i zaczął wspominać czasy rebelii, kiedy jednym robiło się lekko, a innych przygniatało, i szedł ten proces równolegle, wbrew porządkowi, jak na statku, który musi zatonać pod mocniejszą falą, bo w ładowniach fatalnie rozlokowano ładunek – zawadiacko, na luzie, jak leci, nikt nam nie będzie dyktował! – i byle wstrząs spowoduje przechył, wykopyrtnięcie się, katastrofę. Jak zapobiec? Kto słucha rozsądku, zafascynowany luzem?

– Góralczyka jednak słuchali. Dopóki nie zacząłeś go podpuszczać.

– On był prezesem.

Komendant pokołysał się na swoim obrotowym krześle, wyszczerzył rzadkie zęby, porozpychane paradontozą, ze skurczonymi dziąsłami.

– Oj, Pudrycy, Pudrycy, numer z ciebie, ha, ha! Wątrobą byłeś przy rebelii, dwunastnicą z Góralczykiem, a mnie ogonem omiatałeś!

– Jakim ogonem?... – spytał szeptem magazynier.

Komendant pogroził mu palcem:

– Moja wina, Pudrycy, dałem się wziąć na czarcią sztuczkę. Omiotłeś mnie,

omotałeś. Uwierzyłem, żeś do słusznego protestu przystąpił, aby chronić słuszość przed protestem, a ty wystawiłeś Góralczyka na strzał.

– Ja?

– Ty!... – ryknął Komendant. – Anonim!... Że Góralczyk zaniżył, przeceniając! Pohańbiłeś człowieka i skłoniłeś do samobójstwa! Dla osiągnięcia osobistych korzyści w postaci prezesury z mandatu rebeliantów.

– Nie ja.

– Ty.

– Anonim był pisany na maszynie.

– Nie doceniasz milicji, magazynierze. Mamy ekspertów, którzy zestawiają zarówno gramatykę i składnię, jak siłę uderzenia w klawisze przy poszczególnych wyrazach, akcenty, zawahania, ekspozycję znaków przestankowych. Maszynopis jest dla człowieka mniej typowy niż pismo ręczne, ale posiada specyfikę i niepowtarzalność. Mam niezbite dowody, że jesteś moralnym sprawcą śmierci prezesa Góralczyka, ponieważ ta sama ręka wystukała zarzut o haniebnej przecenie, list gratulacyjny do sekretarza Konstantego z okazji imienin i zaświadczenie o pobraniu saletry przez Huberta Molko, które nie miało miejsca, bo saletrę wykupił Gondek do swoich inspektów.

– Ale nie zostałem prezesem... – wyszeptał Pudrycy, bezradnie wpatrując się w szklany blat komendanckiego biurka, na którym nie było nic prócz odbicia kraty okiennej.

– Czuwaliśmy. Rebelie bywają żywiołowe, rebelianci są jednak ludźmi i nie spadają nam z nieba. Co byłby z ciebie za prezes?

– Żaden – zgodził się szybko Pudrycy. – Przyznaję, była chwila... choć nie życzyłem źle Góralczykowi!

Komendant westchnął. Słońce przesunęło się i wypełniło pokój, pompując do wnętrza rozbuchany żar. Po skroniach Komendanta zaczęły płynąć śliskie strumyczki potu.

– Czy ja życzę komuś źle? – zapytał. – Wiem, że niektórzy tak myślą, i myślą się głęboko. Komendant, który nie kocha ludzi, może iść na trawkę: nie upilnuje, nie wypatrzy, nie ocali. Prawdziwa surowość bierze się z uczucia. Sam cierpię, pałując. Ale pałuję, pałowałem i pałować będę, ponieważ

ojcowska ręka musi ważyć. Tylko taka budzi szacunek. – Komendant umilkł, przechylił jajowatą głowę i przypatrzył się w zadumie Pudrycemu. – Byłeś bity?

– Ja?... Za co?

– Byłoby za co – zapewnił Komendant. – Wystarczy tego, co wiemy, a ze statystyki wynika, że wiemy około dwudziestu procent. Za pozostałe osiemdziesiąt dopiero należałoby ci się pałowanie!

Pudrycy postanowił zmienić taktykę. Wstał.

– Wypraszam sobie! – rzucił z urazą. – Nie macie prawa.

Komendant, nie wstając, wyciągnął ramię goryla, oparł je na barku Pudrycego i nacisnął. Pudryc opadł w fotelik. Przybladł nieco.

– Dlaczego nie chcesz mnie zrozumieć? – zapytał cichutko Komendant, a w jego głosie dawało się wyczuć udrękę i przemęczenie upałem. – Każdy z was może pieprzyć swoją robotę i świat się od tego nie zawali. Ja muszę pracować jak wiewiórka w kieracie. W milicyjnym fachu nie może być biurokracenia się, obibocstwa, trzydniówek, obciachu i zwisu. Wyobrażasz ty sobie, Pudrycy, że zamykam posterunek na remont albo z powodu choroby personelu? I że w tym czasie bandyci napadają na Sokolika, ten woła o pomoc, a u mnie nieczynne?

– Jacy bandyci? – zapytał magazynier.

– Od pytań ja tu jestem – odparł odruchowo Komendant. – Teoretycznie mówimy. Teoretycznie funkcjonariusz służy do regulowania ruchu, łapania złodziei i przeprowadzania przez jezdnię niewidomych staruszek. Nikt go nie kocha, każdy potrzebuje. Ale owo potrzebowanie to już praktyka milicyjna, nasza życiowość, przydatność, wręcz niezbędność dla obywateli. Zmieniają się sekretarze i naczelnicy, a ja trwam. Dlaczego?

– Dlaczego?

– Dlaczego, pytasz? Bo oni władzę sprawują, a ja ją mam. Sprawować władzę to satysfakcja i zaszczyt, choć nie brak sprawującemu problemów, które rozwiązując, musi od czasu do czasu jakieś błędy popełniać i jeśli dany błąd jest w modzie, człowiek zmienia się. Ze mną inaczej. Ja za błędy sam siebie rozliczam, sam za nie płacę włas-

ną krwawicą, satysfakcję mam rzadko, zaszczytów wcale. Jestem po to, żeby

życie biegło spójnie.

– Biegnie.

– Powiadasz... – Komendant przeciągnął się, ziewnął. – A te tunele, światłości, lewitacje? Czemu mają służyć?

Pudrycy wrósł w fotelik. Kark mu zeszywniał.

– Skąd?...

– Milicja dużo wie – powiedział Komendant. – Na upartego można podłączyć się nawet do cudzego snu. Chwali ci się, że nie rozpowszechniasz idealizmu, wystarczy nam tutaj ksiądz Celestyn. W normalnym życiu nie ma miejsca na zmartwychwstania. Trzeba pracować, Pudrycy. Ciężko pracować, każdy przy swoim, żeby się wyrwać ze szponów przejściowych trudności. Nie ma co liczyć na cuda. W żadnym tunelu światłości nie zmartwychwstanie nam trzoda chlewna i budownictwo mieszkaniowe.

– Chyba tak – zgodził się Pudrycy.

– W normalnym życiu każdemu wedle rozdzielnika – powiedział Komendant. – Choćby to był sam Bednarczyk z wojewódzkiej centrali. Nasi eksperci porównują teraz list gratulacyjny do sekretarza oraz zaświadczenie o pobraniu saletry z doniesieniem o nieprawidłowościach w GS-ie.

Pudrycy wstał. Wstając, trafił głową w słup słonecznych promieni bijących od okna, owionął go żar, oślepił rozbłysek blasku.

– Ja się niczego nie boję – wyszeptał chrapliwie. – Wszystko mi jedno. Po tym, co przeżyłem...

– Nie do nas z taką mową – przerwał mu Komendant, tym razem pozwalając Pudrycemu stać w słonecznym prześwietleniu. – Nas nie trzeba się bać. Bywamy surowi, ale potrafimy też okazać wyrozumiałość, spojrzeć przez palce na drobne słabości człowieka, który jest z nami, za porządnym życiem, przeciw wrogom ludu. Ja nie muszę się troszczyć o dystrybucję dwustu arkuszy blachy ocynkowanej. Do mnie należy dystrybucja spokoju. Kto go zakłóca, tego za frak! Za halc! Choćby i pałą! Rozumiemy się?

– Ma się rozumieć, panie Komendancie... – wymamrotał Pudrycy, wciąż pograżony w dobrowolnej torturze żaru i blasku.

– Smakował obiadek z Lechem Maciejem?

– Każdy jadł swoje...

Czy Komendant wie, co zapieka się w naleśnikach? Musi wiedzieć. Sam nie korzysta, w domu jada, Hela gotuje mu grochówki i kapuśniaki, nawet wódeczkę popija samotnie, bo w Krasnogaju wspólne picie musiałoby obligować, a Komendant jest osobą niezależną z natury i profesji. Gdyby nie ten charakter samoistny, Komendant wzbijałby się i upadał na kolejnych etapach, kto wie, kim byłby dzisiaj: generałem? rencistą? – a jest Komendantem w stopniu sierżanta sztabowego i dzięki temu w Krasnogaju zachowała się ciąg-

łość, tradycje oraz porządek w archiwach.

– Czy to możliwe, żeby Lech Maciej Orno nie uprawiał tu działalności? – zapytał półgłosem Komendant, jakby z tym pytaniem zwracał się nie do magazyniera, lecz do samego siebie. – Czy tacy miewają urlopy? Odpoczywają? Chorują prywatnie?

– Wygląda, że tak – odparł Pudrycy i usiadł. – Samosiejka ma pewność.

– Wiemy. I to jest podejrzane. W dodatku ktoś ostrzega pana Orno za pośrednictwem Sokolika, że się zanoszą u nich na przeszukanie. W zamian za drobną przysługę przyrzeka wstawić się u dawnego szefa kadr. Słowem, upomina osobnika, aby się miał na baczności, bowiem obserwują go tutaj, namierzają, mogą przeszkodzić we wrogiej robocie.

Pudrycy zaczął namiętnie tłumaczyć Komendantowi, że działał w intencji zniechęcenia pana Orno do wszelkich wrogich działań, chciał go przestraszyć, co poczytuje za swój obywatelski obowiązek.

– Żeby się stąd wynieść! Wypłoszyć miałem zamiar! Źle wam zameldowano! Tego, co wspólnie przeżyliśmy, nie chcę przeżyć po raz drugi, nie ma miejsca wśród nas dla manipulantów, a więc pomyślałem, że jak popędzę kota Sokolikowi, on popędzi precz Lecha Macieja i z głowy sprawa, tak właśnie pomyślałem, słowo honoru wam daję...

Komendant dał się wygadać Pudrycemu, albowiem wyznawał zasadę, że z wygadaniem łatwiej się dogadać, jak z przekłutym balonem albo rewolwerem bez amunicji. Niech się wyprztyka, wytrajkocze, napapla.

Słońce znikło za chmurką. Na chwilę. Komendant rozsiadł się wygodnie na obrotowym krześle, wyjął z szuflady tekturową teczkę i zaczął przeglądać jakieś papierki, czekając cierpliwie na zakończenie mowy magazyniera.

– Skończyłeś? – spytał, gdy Pudrycy umilkł.

– Mogę jeszcze...

– Nie trzeba. Mam cię tutaj, Pudrycy. Kiedy ludziom odebrano rozum i próbowali porządek przerobić na wariactwo, mało było odważnych z rozsądkiem. Kto próbował zapobiec szaleństwu? Góralczyk. Jonasz. Ksiądz Celestyn. Ale nie wiceprezes GS-u, obywatel Pudrycy W., który wskoczył między naszych piromanów i nuże im wtykać w ręce zapalki. Gdybym wierzył w Pana Boga, pomyślałbym, że spotkała cię za to zasłużona kara w postaci wypadku motocyklowego.

– Ja przecie...

– Nie kłam! – osadził go surowo Komendant. – Kiedy przyjdzie czas mówienia prawdy o poległych, odpowiesz za Góralczyka, który był człowiekiem nieskazitelnym i mężczyzną.

– Ale zaniżył w przecenie!... – pisnął Pudrycy.

Komendant podrapał się w pierś. Oczyma duszy zobaczył kufel piwa z pianą. Aż mu zaskwierczało w ustach z pożądania.

– Co ty wiesz o władzy? – zapytał. – Kto jaki był, wychodzi dopiero potem. Jeden buty liże, zasłania się niepamięcią, niewiedzą, łże żałośnie, na podwładnych zwala. Mówi się o takim, że sam był w porządku, tylko ludzi dobierać nie umiał, bo był naiwny, ufny. Drugi bierze na siebie wszystko, winien czy nie winien. Pycha go rozsądza, sam staje przeciw motłochowi: linczujcie! Trzeci opróżnia jedną z luf, faszerując sobie mózg ołowiem.

– Dwie lufy.

– Jedną. Dużym palcem u nogi nie pociągniesz na raz obu spustów. Druga kula to już mit. Nie ze strachu taki człowiek się zabija ani ze wstydu, ani z poczucia winy. Zdrady swoich znieść nie może. Odkrycia, z kim pracował. Co wcale nie znaczy, że sam był zawsze czysty jak anielski tyłek...

Komendant wsparł się łokciami o blat biurka i zmęczonym głosem wytłumaczył Pudrycemu, że uczciwość władzy mierzy się średnią statystyczną obywatelskiego samopoczucia, a nie chaotycznym nagromadzeniem faktów. Wyjął z szuflady rulonik dropsów miętowych i poczęstował magazyniera. Co jest najważniejsze? Poczucie bezpieczeństwa. Co to znaczy? Nadzieja, że jutro będzie równie spokojnie jak dziś. Ile to

warte? Choćby i burzy sumienia za niekonieczne pałowanie, profilaktyczne zapudłowania, jednostkowe krzywdy. Jeśli przypuszczasz, że facet chowa bombę za pazuchą, daj mu w łeb: gdybyś się pomylił, szkoda społeczna będzie nie za duża.

– Zgniłe demokracje udają praworządność. My uprawiamy sprawiedliwość dziejową. W Krasnogaju ma panować ład.

– Oczywiście – zgodził się Pudrycy.

– Wiemy, że spotykacie się wieczorem u Jonasza z okazji czterdziestej rocznicy męczeńskiej śmierci Reginy Kuperholc. Śledziki z cebulką i słonina wędzona... – Komendant pokręcił głową. – W symbolikę zagrychy nie wnikamy. Samogon też sobie pijcie na zdrowie, macham na to ręką tym razem. Mogę machnąć ręką na fałdy w twoim życiorysie, nie wyłączając nadzwyczajnej kontroli, która znajdzie podejrzanego dwa kilo cukru w magazynie. Musisz mi jednak pomóc.

– W czym?

– Lech Maciej Orno powinien zostać dziś wieczorem zdemaskowany. Tak jak ten podżegacz w Skiroławkach, którego przyłapano, gdy rozklejał.

– Jak mam skłonić pana Orno, żeby rozklejał? – zapytał bezradnie Pudrycy.

Komendant pogroził mu krótkim grubym palcem o poczerniałym paznokciu.

– Nie udawaj głupiego, Pudrycy! Potrafiłeś zmartwychwstać? To i Judasza wskazać potrafisz, co za srebrniki ojczyznę sprzedaje dywersyjnym ośrodkom. Tylko się postaraj. Rusz głową. Chcę, żeby Lecha Macieja jutro tu nie było.

Pudrycy wstał. Modre oczy zajaśniały mu jak dwa diamenty.

– Nie jestem prowokatorem! – zawołał z mocą.

– Czym nie jesteś? – zapytał Komendant.

– Pro-wo-ka-to-rem!...

– Komu dziś potrzebny prowokator? – Komendant westchnął, poczochnął rzadkie włoski na ciemieniu. – Nie udawaj durnia, Pudrycy, ani bohatera narodowego. Gdybym chciał zapudłować obywatela Orno, nie potrzebowałbym ciebie do pomocy. On ma wyjechać stąd dobrowolnie,

uciec w pohańbieniu, z poczuciem kompromitacji. Jak to osiągniesz, twoja sprawa.

– Rozumiem...

– Co rozumiesz? – zapytał Komendant.

– To, co chcecie, żebym zrozumiał.

Komendant podszedł do Pudrycego, uśmiechnął się przyjaźnie i poklepał magazyniera po ramieniu.

– Jak się przyprze, to się przeprze – powiedział.

– Jak się przeprze, to się weprze – odparł Pudrycy.

– Jak się weprze, to się oprze...

– Jak się oprze, to się doprze.

– Jak się doprze, to się zaprze...

– Jak się zaprze, to się naprze.

– Jak się naprze, to się spaprze! – podsumował Komendant, odprowadzając Pudrycego do drzwi. – Czyli z umiarem, ale konsekwentnie, Pudrycku.

Kiedy został sam, powoli zbliżył się do okna i oparłszy dłonie na skrzyżowaniach kraty zapatrzył się w przestrzeń szarą od kurzu. Z falującego powietrza wyłoniła się twarz towarzyszki Pszennej z Zielennik, a ściślej Zdzichy Kusiak, bo wtedy była jeszcze panną, czarnobrewą i kruczowłosą, z ciepłymi cyckami, które Komendant całował na wczasokursie zetempowskim, chowając w nich twarz rozplómonioną od namiętności, dłoń zaś wciskając między jeszcze cieplejsze uda z zamiarem rozsunięcia ich, nakłonienia do gościnności, dobroci uległej: „Ojej, kolego, to u was tak stoi zagadnienie?!”. Komendant przypominał sobie, że zagadnienie mu wtedy opadło, wytrzeźwiał raptownie, rękę spomiędzy ud wycofał: „Ja tylko na bazie koleżeństwa, z uwzględnieniem...”. Następnym razem nie było już ceregieli i kto wie, czy Komendant nie ożeniłby się z Kusiakówną, gdyby na scenę nie wkroczył towarzysz Pszenny z powiatu, weteran walk rewolucyjnych, osobisty przyjaciel sekretarza wojewódzkiego. Czy szło takiemu odmówić? Weselisko wyprawili na dożynki, za świadków byli działacze centralnego szczebla, zaraz po tym Zdzichę wybrano jednomyślnie przewodniczącą powiatowej Ligi Kobiet. Osobiście wykładała na kole materializm dialektyczny, demaskując księdza Celestyna jako sługusa reakcji

i handlarza opium dla ludu. Jak już trafi się baba fanatyczna, nie dorówna jej żaden chłop: włas-

ną córkę przepędziła z domu za narzeczonego z medalikiem na szyi, a święty Mikołaj nazywał się w Zielennikach Dziadek Mróz. Komendant przypominał sobie jeszcze kursokonferencję w Morągu i swoje opory, gdy nocą pod koc wlała mu towarzysza Pszenna, dość bezceremonialnie upominając się o to, co kiedyś. Jeśli wspominać szczerze, opory nie były natury moralnej, lecz estetycznej – obrosła Zdzicha sadłem jak maciora, Komendant zaś gustował w kobietach raczej szczupłych. Ale nie było wyboru: ma w sobie człowiek tę odrobinę delikatności, która nie pozwala w sytuacji intymnej chlusnąć zimną wodą. Co ci? Nic, kochana... A może przesady drobnomieszczańskie? Ech, wy chłopcy! Mam ja się z wami! Za grosz pojęcia, co to rewolucyjna moralność...

I jak taka umiera?

Towarzyszka Pszenna umierała z rozwąga. Kiedy doktor Samosiejka skierował ją na badania do szpitala wojewódzkiego, po powrocie stamtąd zerknąwszy ledwo na kartę informacyjną, zaczął trąkotać o zdecydowanej poprawie, którą cechuje pozorne pogorszenie, Pszenna warknęła, że nie są na zebraniu i że sama dojdzie, co z nią jest. Z karty szpitalnej przepisała łacinę, przez medyczny podręcznik *Choroby wewnętrzne* pod redakcją profesora A. Wojtczaka

skojarzyła swoje dolegliwości z diagnozą. Wyszedł rak trzustki. Mimo utraty dwudziestu kilogramów, mimo wysokiej gorączki, wzdętego brzucha i osłabienia Zdzicha Pszenna nie była pewna, że wkrótce musi umrzeć. Żaden chory na raka nie ma tej pewności, nawet uczony onkolog, którego doktor Samosiejka, jeszcze jako student, odwiedzał w szpitalu, a potem kroił w prosektorium. Już na łożu śmierci, ledwo zapiąc, uczony ów wysunął hipotezę o raku domniemanym, czyli carcinoma phantastica, porównując go do ciąży urojonej i siebie dając jako przykład. Zdzicha Pszenna nie wierzyła w swoją śmierć, ale sprawy stały nie najlepiej i natrętny głos przodków podszeptował, żeby nie igrać z niewiadomym. Znała osobiście towarzysza Janiaka, który wprost z komitetu powiatowego przeszedł do klasztoru, skąd, po uzyskaniu święceń, udał się jako misjonarz do Dahomeju. Z pielgrzymki

do miejsc świętych powrócił ojciec Anastazy, po czym zrzucił szaty kapłańskie, przystąpił do komunistów i jest dziś dyrektorem wzorowego PGR-u w Skiroławkach. Gdzie leży prawda?

Towarzyszka Pszenna przemyślała sprawę i doszła do wniosku, że w jej personalnej sytuacji, nałożonej na czas, w którym łaskę władzy przydziela się z katolickiego klucza, nie zaszkodzi pojednać się z Bogiem, bez względu na prawdę. Jeśli Boga nie ma, to i problemu także, a jeśli jest i stawia wymagania, to nie są one wygórowane. Lojalnie uprzedziła sekretarza Konstantego. Był przeciwny. Cały swój życiowy dorobek przekreślacie w ten sposób! Niczego nie przekreślam – odparła – za życia byłam partyjna i w partii pozostaję, ale po tamtej stronie różnie może być. Wy umieracie, a my żyjemy dalej – powiedział z wyrzutem Konstanty – nie godzi się tak, towarzysko... Załatwiam to z twoim stryjecznym dziadkiem! – syknęła gniewnie, bo krzyknąć już nie mogła. Zostanie w rodzinie! Musi być cicha umowa między Kościołem a partią, jeśli do partii przyjmują wierzących, a aktyw dostaje rozgrzeszenia.

– Nie ma żadnej umowy – zapewnił ksiądz Celestyn, dopijając herbatkę przed drogą powrotną do Krasnogaju. – Jest narodowa specyfika. Wiem z doświadczenia, co potrafi historia wyczyniać z narodem. A to w kabłąk go zegniesz, a to okroi, a to podzieli na porcje. Mądry naród wiele zniesie, żeby przetrwać. Wyuczy się obcej piosenki, tańca cudzoziemskiego, zagranicznych zawołań. Po co, córko? Bo naród to pamięć. Kim oni byli, a kim my? Ile już razy się odwróciło? Znow fuknie kozła, byle dotrwać! Małość odmienia się w wielkość, nicość w coś, wspaniałość w truchło, i tak dookoła Wojtek, nie bardzo wiadomo po co i dlaczego.

– Ksiądz przypadkiem nie bluźni? – spytała Pszenna słabym głosem.

– Wykluczone – zapewnił. – Nam nie wiadomo, ale On wie.

– Zazdroszczę księdzu – powiedział doktor Samosiejka, pakując do sakwojażu swoje lekarskie utensylia. – Świadomość, że cały ten bajzel ma sens i cel, którego my, maluczcy, nie potrafimy ogarnąć, musi wspaniale podnosić samopoczucie.

– Podnosi.

Razem wyszli od towarzyszek Pszennej, drzemiącej po pojednaniu z

Bogiem i zastrzyku przeciwbólowym. Doktor odprawił karetkę po rodzącą do Bart, a sam przesiadł się do trabanta księdza Celestyna.

– Nie wierzę księdzu – powiedział, kiedy ruszyli. – Za długo ksiądz żyje, żeby dać się na to nabrać. Jaki może być cel i sens rosnącej umieralności niemowląt? Jeszcze nie zostały sukinsynami, a już po nich. Walczę z tym jak Cervantes z wiatrakami, ale mój wpływ kończy się w opłotku.

– Mimo to walcz, synu – zachęcił ksiądz Celestyn. – Celem jest zwycięstwo dobra nad złem. Ponieważ nie bardzo wiadomo, co jest czym, do życia powołany został Kościół. Monopol na wykładnię dzielimy z aktualną władzą. Jeżeli ma ona w głowie po kolei, nie zadziera z Kościołem. Dzięki temu może korzystać z naszego dwutysiącletniego doświadczenia.

– Komuniści zadzierają.

– Doprawdy tak sądzisz, synu? – zapytał pogodnie ksiądz Celestyn i dodał gazu.

Trabant, rycząc, wwiercał się w asfaltowy korytarz między sosnami. Dymił niemiłosiernie.

– Proponuję wrzucić trójkę! – zawołał doktor. – Motor się przegrzewa!

– Nigdy nie wrzucam trójki! – odkrzyknął ksiądz Celestyn. – Nie lubię przesadzać z szybkością! Najlepiej czuję się na drugim biegu!

Zwolnił jednak, aby móc słyszeć doktora Samosiejkę, który wpadł w jeden ze swych słynnych nastrojów refleksyjnych, perorując o filozofach oryginalnych, mitomanach klasowych napiętnowanych geniuszem i klasie społecznej przez nich uwiedzionej, oczarowanej, z wodą w mózgu, głową w chmurach, nogami w gównie. Wbrew – wywodził – pragmatyce dziejów politycy potraktowali filozofię serio i zaczęli robić rewolucje ludowe, zapominając, że przedstawiciel ludu chętnie wykorzysta cudzą żonę, natomiast nie daruje drugiemu wydupczenia własnej. Ksiądz Celestyn skrzywił się lekko na tę metaforę, znając jednak doktora Samosiejkę, wiedział, że nie ma w niej wulgarności, jeno zatroskanie o ludzkość, odrzekł więc, że filozofia sprawiedliwości doczesnej wygrałaby do zera z religiami, gdyby nie jeden feler: sprawdzalność.

– Ziemia nasza, synu, jest odporna na sprawiedliwość jak diabeł na łyzy niewinne. Stąd tęsknota za niebem.

– Nie taka wielka znowu – odparł doktor. – Każdy mój pacjent nogami zapiera się, żeby odsunąć termin. Milszy mu własny siennik od niebiańskich piernatów.

– Ale Pudrycy już nie ten co dawniej.

– I ten, i nie ten. Jak to recydywista. Kto po raz drugi żyje...

Doktor zaciął się: ze względu na niezwykłość faktu nie miał pod ręką odpowiedniego porównania. Komendant poradziłby sobie bez trudu, natychmiast strzeliłby czymś w rodzaju: „Kto po raz drugi żyje, temu diabeł dziecko kołysze” albo „Drugie życie jak pierwsza krzyżowa, ani pies, ani bies” – doktor Samosiejka nie miał jednak zwyczaju mówić, żeby mówić, albowiem w przeciwieństwie do Komendanta, którego prostym obowiązkiem jest pilnować ładu zewnętrznego przy pomocy rygoru, nasłuchu i kar, a tylko z rzadka prelekcji dla dziatwy szkolnej, doktor czuł się odpowiedzialny za ład wewnętrzny, współgranie organów, zdrową kooperację wątroby, nerek, serca i płuc. Czy przyszło komuś do głowy poddać badaniom lekarskim przywódców rebelii, gwiazdorów terroryzmu, wiecowych szaleńców i nawiedzonych podziemia? Sprawdzić im mocznik, adrenalinę, nadkwaśność, reakcje członków i narządów, wykonać elektroencefalogram, urządzić seans psychoanalityczny? Dlaczego ulubieńcy zbuntowanych tłumów są na ogół drobni, szpotawi z lekka, ciut jakby rachityczni? Olbrzym Jonasz nie miałby szans na ulubieńca tłumy: ani mu potrzebny podziw mas, ani miłość kolektywna, więc wygarnąłby ludziom w oczy obrzydliwą prawdę zamiast dziarskich pochlebstw, przypomniał, czego nie chcą pamiętać – i szlus. Inaczej z Pudrycem. Ten potrzebuje dowartościowania. Kiedy dążył do prezesury, był gotów na wiele, nie jego wina, że rebelianci zaczęli zżerać własny ogon, zgodnie z historią, która powinna uczyć, a nie uczy, bo zakałapućkana, tragiczna i bez sensu. Pudrycemu zabrakło charyzmy. Trzeba być niedowartościowanym nadprzeciętnie, żeby wystąpiła charyzma. Być głupcem, który wierzy w to, co mówi, choć sam sobie zaprzecza. Pudrycego szczęśliwie ominęła nadprzeciętność, a potem był wypadek i nowe życie, w którym uplasował się najład-

rzej: w roli krupiera.

– ...ten zostaje krupierem – dokończył doktor Samosiejka.

Ksiądz zwolnił jeszcze bardziej, znad kierownicy ukośnie zerknął na doktora.

– Komendanta przedrzeźniasz?

– Wypowiadam myśl – odparł doktor. – My się użeramy przy zielonym stoliku, kombinujemy, jak tu wygrać, żeby ewentualną wygraną uszczęśliwić potrzebujących...

– Zbawić – uściślił ksiądz.

– Może i zbawić – zgodził się doktor Samosiejka. – Stary Jonasz w gwiazdach i ziołach szuka sposobu na świat, ja w rozmnażaniu łóżek szpitalnych i bojach z wydziałem zdrowia, ksiądz w wielowiekowej działalności duszpasterskiej...

– Bez przesady. Nie mam nawet dwustu lat.

– ...a nasz Pudrycy po zmartwychwstaniu zajął się rozdawaniem kart. Podpisał mu ksiądz podanie o blachę ocynkowaną?

– Podpisałem.

– Ja też. I nie zrobiliśmy tego bezinteresownie. Na coś liczymy, coś mamy przyobiecane. Pudrycy robi ruch w interesie. Jednemu się to opłaci, drugi zaklnie brzydko, ponieważ nie może być tak, żeby wygrali wszyscy. Ale Pudrycy nie może przegrać. Ma swój procent i frajdę z rozdawania kart. Po tamtej stronie niegłupio instruują...

– Heretyku!

– Przepraszam. Ani mi w głowie zadzierać z Panem Bogiem, tym bardziej z wami, księżu Celestynie. Przez tamtą stronę rozumiem przeżycie, jakiego doznał nasz przyjaciel W. podczas śmierci klinicznej: gdzie jest powiedziane, że opuszczając ten padół, zwłaszcza czasowo, idzie się prosto do nieba? Na temat przeżycia Pudrycy milczy wieloznacznie, ale też to i owo daje do zrozumienia. Nie boi się umrzeć, to pewne. Na władzy już mu nie zależy. W przeciwieństwie do nas nie zależy mu na nikim. On się bawi.

– Nie, nie... – wyszeptał ksiądz Celestyn, biorąc zakręt z szybkością dwudziestu trzech na godzinę. – To niemożliwe...

– Poniekąd – zgodził się Samosiejka. – Albowiem nie może być istoty ludzkiej, której nie zależałoby na czymś. Pudrycy chce być ponad.

- Grzech pychy. Nie przypuszczałem.
- Zmartwychwstał. Drugi przypadek w ciągu prawie dwóch tysięcy lat.
- I ty to mówisz, doktorze? Wtedy nie było defibrylatorów. Teraz reanimuje się nagminnie.
- Ale nie w naszej gminie. Pudrycy ma bez wątpienia poczucie wyjątkowości. Coś mu jednak zakłóca uciechę.
- Niepokój sumienia. Dawno w kościele nie był.
- Być może – zgodził się doktor Samosiejka. – Ale jest jeszcze coś.
- Co?
- Nie wiem. Mam słabość do Pudrycego, przypomina mi o przysiędze Hipokratesa. Nie robi świństwa, jeśli nie będzie zmuszony.
- Mało...
- Mało? Niech się ksiądz rozejrzy! My robimy bokami, żeby ludzkość nie skarłowaciała, użyżniamy Krasnogaj potem serdecznym, a taki Hubert Molko? Pije, bo żyje.
- Jego pradziad też pił. W żołdacy poszedł za obrazę prapor-szczyka Ogurcowa. A pradziad Pudrycego na kieliszek nawet nie spojrzał, był pisarzem gminnym, szanował go sam starosta. Z życzliwości bezinteresownej pisywał niepiśmiennym raporty pod dyktando. Po godzinach urzędowania i kopiejki za to nie brał.
- Jakie raporty?
- Meldunki. Zawsze ludzie o ludziach meldowali zwierzchnościom, inaczej skąd by władza wiedziała? – Ksiądz Celestyn przeszedł na pierwszy bieg i bez pośpiechu rozprawił się z kolejnym zakrętem. – Kiedyś szło to sprawniej. Za wartościowy meldunek starosta mógł odpalić i czerwonia, ale za fałszywy lub zgoła oszczerczy prapor-szczyk Ogurcow bijął wyciorem do krwi. Chłop siedem razy pomyślał, nim szedł dyktować do pradziada W. A dzisiaj, synu? Gdyby nie tajemnica spowiedzi, dałbym ci przykłady donosów, od których mdło się robi nawet po stu kilkudziesięciu latach doświadczeń w służbie Bogu.
- Wyobrażam sobie – powiedział doktor Samosiejka, przymykając oczy i z uczuciem, że jedzie bryczką zaprzężoną w dwie leniwe szkapy. – Pytam pacjenta o stolec, a on mi w zaufaniu, że księgowy kradnie, bo mu się żona

puszcza z szeregowym Mołojcem. I jak ma być dobrze?

– Jest dobrze – powiedział z przekonaniem ksiądz Celestyn. – Pamiętam, że przedtem było gorzej, a przedtem jeszcze gorzej. Gdy matka narzekała na biedę, ojciec zwykł był powoływać się na swego rodzica, który w czasie wielkiego głodu ocalił życie bliskich, wymyśliwszy recepturę na polewkę nędzopolską ze słomianej strzechy ucieranej w móździerz.

Powoząc trabantem spękaną drogą pośród pól szarobrunatnych od żaru i suszy, ksiądz Celestyn szperał we wspomnieniach i skonstatował, że ocalenie dzięki strzesze miało miejsce zimą w roku 1772, pod koniec wojny domowej wywołanej przez konserwatywnych magnatów i fanatyczną szlachtę w obronie wolności i niepodległości, a de facto przeciw reformom ustrojowym, które zamierzał wprowadzić król Stanisław August na mocy uchwał sejmu konwokacyjnego: ograniczenie samowoli podskarbich i hetmanów, umocnienie państwa, zrobienie porządku z liberum veto. Miał aktyw szlachecki godzić się na ograniczenia w imię jakichś tam interesów państwowych? Machnął najpierw spisek radomski pod wodzą Karola Radziwiłła, z ambasadorem ruskim Repninem jako pomysłodawcą zrywu przeciwko reformom i dysydencji, za złotą wolnością szlachecką. Potem wypiął się na Repnina i zawiązał konfederację barską, wzbogacając reakcyjne hasła interesu grupowego i prywaty o akcent antyrosyjski. Ilu wtedy poległo młodych patriotów, otumanionych przez magnaterię i jej szlachecki aparat! Dziad księdza Celestyna nie poszedł na lep agitacji Kazimierza Pułaskiego, ponieważ nie obchodziła go wolna elekcja, prawo wypowiedania posłuszeństwa królowi, monopol szlachty na majątki i urzędy oraz jej władza nad chłopami. Pewnie dlatego, że sam był chłopem. Rodzinę ocalił od śmierci głodowej, ale kraj wyniszczyła rebelia doszczętnie, a chaos dał asumpt do pierwszego rozbioru, który motywowano całkowitym rozkładem państwa i duchem frakcyjnym utrzymującym w Polsce anarchię. Co to przypomina? Czy nie drugi rozbiór, sprowokowany przez konfederację targowicką przeciwko Konstytucji 3 maja, która ograniczyła magnatów, więc ci do carycy Katarzyny po pomoc zbrojną? Może trzeci rozbiór, do którego przyłożył ręki ojciec księdza Celestyna jako kosynier pod Kościuszką, a który był już tylko konsekwencją dwóch poprzednich?

– Nie mamy szczęścia do powstań – odezwał się ksiądz Celestyn ni w pięć, ni w dziesięć, ale doktor skinął głową, jakby śledził myśli Celestyna i wraz z nim dotarł do pointy, a nie rozmyślał o swoim.

– Nie mamy – przytaknął. – Ponieważ nie rozumiemy, że sytuację trzeba odwrócić.

– Jak odwrócić?...

Doktor Samosiejka poprawił się na siedzeniu, żeby w komforcie przystąpić do wyjaśnień, ale musiał z nimi poczekać, bo trabant wtoczył się w sosnowy las, a na jego skraju stał Lech Maciej Orno i machał do nich. Ksiądz nacisnął hamulec. Auto zadygotało, silnik zgasł. Stanęli.

– Przedtem sprzęgło i luz – powiedział z wyrzutem Samosiejka.

– Nigdy się tego nie nauczę – odpowiedział ksiądz.

Lech Maciej Orno podszedł do samochodu. Był bardzo blady i bardzo spocony, oddychał brzydko i nie spodobał się doktorowi Samosiejce.

– Mówiłem, żeby leżeć, panie kolego!

– Polegiwać – skorygował Lech Maciej. – Niech będzie pochwalony. Wybrałem się na małą przechadzkę, w drodze powrotnej zasłab-łem i dobry los zesłał mi komplet: lekarza, księdza i samochód...

Próbował się uśmiechać. Kiepsko mu szło. Samosiejka wysiadł wraz ze swym sakwożazem, polecił panu Orno wyciągnąć się na trawce między sosnami i zbadał stetoskopem, obmacał, zajrzał pod powieki. Ksiądz, który również wysiadł, przyglądał się tym czynnościom w pogodnej, nieco melancholijnej zadumie. Sam nigdy nie chorował, jeśli nie liczyć koklusz w dzieciństwie i biegunek tropikalnych, gdy był misjonarzem w Lagos. Biegunki ustąpiły po odstawieniu małpiego mięsa, na które ksiądz Celestyn był zapewne uczulony. Bólu zębów nie znał, w jamie ustnej miał ich komplet, może dlatego, że nie jadał słodczy. W ogóle mało jadał. Po przygodach z małpią pieczęcią wykreślił z jadłospisu mięso i odtąd były tylko jarzyny, owoce, z rzadka węgorz bądź szczupak, często jajka na miękko. Ale rozumiał udrękę chorych, którym ból był nie tylko męczarnią, także systemem sygnalizacji, że już nerki nie te, wątroba słabnie, serce ostrzega – zapowiedzią rozkładu, obumierania, niesprawności na zawsze. Kiedy szło to w parze ze starością, było naturalne, mimo że smutne. Ale

Orno miał do starości daleko. Czyżby pasje zżerały człowieka, wypalały mu wnętrze, w ramach równowagi w naturze, która porcuje przeżycia: skonsumowałeś swój przydział, możesz odmaszerować? Żyjesz powoli – umierasz powoli. Umierasz od narodzin, tym bardziej nie należy się śpieszyć, są do zrobienia różne pożyteczności wymagające cierpliwego czasu. Co taki Orno zasiał, burzliwie orząc i nawożąc? Powstania, rozbiory, konfederacje? Ilu ludziom namieszał w głowach swoją rebelijnością, buntownictwem, nieokiełznaniem myśli kontestującej porządek, a więc władzę, a więc również i Kościół? Namieszał i umiera? Ksiądz Celestyn podciągnął sutannę i usiadł na mchu w cieniu pod sosną, niedaleko lekarza i pacjenta. Doktor Samosiejka zrobił właśnie zastrzyk panu Orno, ten skrzywił się, zamknął oczy, po minucie otworzył je.

– Lepiej.

– Będzie całkiem dobrze – powiedział doktor – ale musi pan poleżeć ze dwadzieścia minut. Posiedzimy tu z panem. Prawda, księżu Celestynie?

– Prawda – przytaknął ksiądz. – Nigdzie się nie śpieszymy. A ty, synu, winien mi jesteś odwrócenie sytuacji – przypomniał Samosiejce. – Ja powiedziałem, że nie mamy szczęścia do powstań...

– Tak ksiądz sądzi? – zapytał słabym głosem Lech Maciej Orno.

– Na to wygląda, synu. Sam pamiętam ich wiele. Listopadowego sobie nie przypominam, sześć latek miałem ledwo, ale późniejsze klęski przeżywałem świadomie i boleśnie. Tylko jedno powstanie wygraliśmy, już nie wiem które, dawno to było.

– A wie ksiądz, dlaczego klęski?

– Chyba wiem.

– No to ja powiem księdzu – powiedział cichutko Lech Maciej. – Dwa lata strawiłem, rozmyślając. Znalazłem defekt. Inne narody bywają czasami solidarne. My nigdy.

– Z powodu? – zapytał ksiądz, wycierając chusteczką spocone policzki i czoło.

– No właśnie.

– Nie ma tak.

– Jest. Właściwość narodowa. Przypuszczam, że nawet pod Racławicami,

po zwycięskiej bitwie, znalazł się ktoś w obozie, kto cichcem naszczał do wspólnego kotła...

– Ojciec nic mi o tym nie wspominał – mruknął ksiądz Celestyn.

– Bo cichcem. U nas wszystko cichcem. Głośno tak, a cicho siak. Beznadzieja. Każdy kogoś nie lubi i to jest najważniejsze nawet w godzinie próby. Nie upijamy się tylko na pokaz, ale w ramiona padamy sobie jedynie po wódce.

– Z żółci powstałeś i w żółć się obrócisz! – zaśmiał się doktor Samosiejka.

Ksiądz Celestyn pokręcił z niesmakiem siwą głową, ponieważ nie lubił przeróbek biblijnych. Głosem łagodnym i już cokolwiek znużonym począł tłumaczyć panu Orno, że właściwości narodowe to cechy nabyte w procesie historycznym, niekiedy zaszczepione przez nieprzyjaciół, którzy w masceczkach życzliwości pilnują, aby się ludzie nie dogadali, nie wyzbyli wzajemnej nieufności, nie poszli po rozum do głowy, po uczucie do serca. On, Celestyn, odkrył to w młodości wczesnej i u początków swego kapłaństwa, entuzjastycznie nauczając, spodziewał się otworzyć oczy owieczkom ojczystym, ale gdzie tam! Gadaj do lampy.

– Tylko dzieje uczą bolesnymi razy. Może sto lat minąć albo i dwakroć tyle, zanim pojmiemy jako całość, synu.

– Bośmy lud wybrany – dorzucił doktor.

– Jak każdy – przytaknął ksiądz. – Miałem na ten temat dysputę nad Nigrem ze starszyzną plemienia Joruba. Przekonali mnie, że są wybrańcami. Niepotrzebnie opuściłem kraj.

Lech Maciej Orno uniósł się na łokciu i z bezbrzeżnym smutkiem popatrzył przed siebie. Miał przed sobą szarozielone sosny i szaroniebieskie niebo ze śnieżnobiałym słońcem, chylącym się już ku zachodowi.

– Kpiny z naszego męczeństwa – powiedział szeptem. – Co nam zostało?

– Praca od podstaw – odpowiedział ksiądz Celestyn.

– Już było. U nas nie chwyta.

– Fakt – zgodził się doktor Samosiejka. – Gdyby duszą pracy nie był zdrowy rozsądek, lecz nienawiść, słynęlibyśmy z pracowitości. Słynie my natomiast z beznadziejnych zrywów i idiotycznie marnowanych szans.

– Miałeś odwrócić sytuację – przypomniał ksiądz Celestyn.

– Już odwracam – powiedział doktor. – Wzniecaliśmy powstanie i przegrywaliśmy, czy tak?

– Chwalebnie – szepnął Orno. – Świat nas podziwiał...

– To się liczy – potwierdził Samosiejka. – Ale wygrana liczy się bardziej. Kto wznieca powstanie? Słabszy przeciwko silniejszemu. Tu tkwi sekret niepowodzenia większości powstań. Jeden regularny żołnierz, świadomy, że broni prawowitego ładu, wart jest więcej niż pięciu rebeliantów bez wyszkolenia i z wichurą we łbie. A teraz odwróćmy sytuację.

– Odwróćmy – zachęcił ksiądz.

– Powstania wznieca się przeciwko nam. My je tłumimy. Nawet ze szkodą dla reputacji, przejściową, bo rację ma zwycięzca, a przegrany co najwyżej współczucie. Nie lepsze to?

– Lepsze – zgodził się ksiądz Celestyn. – Ale trzeba być potęgą.

– Trzeba.

– Jak?

– W tym szkopał. Od paruset lat jesteśmy na etapie powstań. Prześcignęły nas kraje, których nie było na mapie, gdyśmy zawiązywali konfederacje i wzniecali bunt. Potęgę należy budować.

– Żmudną pracą.

– Od podstaw.

– A nie mówiłem? – przypomniał ksiądz Celestyn.

Lech Maciej Orno usiadł z trudem. Westchnął. Było mu smutno: niemal trzydzieści lat życia poświęcił walce o wartości, konspirując, odsiadując i znów konspirując, żywiąc się czym popadnie ze skromnych honorariów za artykuły o folklorze beskidzkim, ponieważ odmawiał przyjmowania podejrzanych zapomóg. I co? Przez lat prawie trzydzieści pracować na Wielki Dzień, doczekać go w końcu i patrzeć bezradnie, jak przepoczwarza się w przeogromny burdel, wysypisko strzaskanych nadziei, popisy demagogów, orgie zdrad, prowokacji, chorych ambicji i emocji, w anarchiczny chaos na rękę staremu porządkowi – to był koniec świata Lecha Macieja Orno. Archaiczny anachronista anarchii, chryja arachidowa, paranoiczny parch. Smuga smutku. Pustka.

– O prześmiewcy! – westchnął. – Z kogo drwicie? Wstydziliby się ksiądz

proboszcz wtórować doktorowi, który jest cynikiem prowincjonalnym.

Obaj, lekarz i ksiądz, spojrzeli na niego nieco ze zdziwieniem. Kto tu drwi? Dlaczego ich duet logiczny nazywa się kpina?... Doktor Samosiejka chciał zapewnić, że nie jest ani trochę cyniczny, lecz nie zdążył, bo między sosnami dostrzegł niedźwiedziową sylwetkę Jonasza.

Stary nie widział ich. Pod prawą pachą miał księgę w poczerniałej skórzanej oprawie, w lewym ręku koszyk pełen zielska, czerwień, fiolet, cynober, turkus, złocistość. Prawił coś do siebie niewyraźnym basem, z głową lekko uniesioną w górę, jakby śledził chmury między gałęziami. Doktor pochylił się w stronę księdza, trącił go, wskazał na Jonasza.

– No?...

– Lewitacja – odparł ksiądz półszepem. – Widywałem to w Indiach i Egipcie...

Jonasz nie dotykał stopami ziemi. Jego ciężkie buciory ślizgały się w przestrzeni, jakby szedł po niewidzialnej linii. Ale nie to wydało się doktorowi najciekawsze. Kudłaty łeb starego otaczał pierścień światła. Było tęczowe, z lekka pulsujące i niezbyt mocne; gdy Jonasz wychodził z cienia w słońce, przygasało.

– Aureola?... – spytał bezdźwięcznie doktor.

Ksiądz Celestyn nie odpowiedział. Aureole były rzadsze od lewitacji, ale i z tym zjawiskiem miewał ksiądz do czynienia. Towarzyszyły zazwyczaj stanom szczególnym ducha, które ksiądz odbierał telepatycznie. Czyżby świecenie było rodzajem anteny? Odbiór nie dawał się ująć w zapis słowny, stanowił ciąg doznań nie należących do księdza Celestyna, serię lub mieszaninę uczuć.

Męka Jonasza udzieliła się księdzu. Aż zacisnął powieki. Nigdy nie zaznawał tak żarliwej nienawiści, tak szalonego pragnienia, aby kogoś spotkać i zmierzyć się z nim, spleść w śmiertelnym uścisku. Czy może człowiek udusić szatana? Czy jest szatanem ten, kto uważa siebie za anioła wybawiciela? Czynić dobro czy walczyć ze złem?

A jeśli on jest we mnie?...

Regino, Regino, jak zostać Żydem?!...

## Rozdział szósty

Prezes Kowalski był zniecierpliwiony. Okazywał to Pudrycemu, marszcząc brwi i poruszając uszami. Patrzył też na zegar i postukiwał paznokciem w blat biurka.

- Już po piątej. Jak długo można? Niech tu jutro przyjadą!...
- Chcą skończyć dziś.
- A ja chcę do domu! Zróbcie coś!
- Zrobiłem – zapewnił Pudrycy. – W tym sezonie niespodziewane kontrole trwają jeden dzień i muszą zakończyć się wykryciem. Takie są ustalenia na szczepku.
- Głupie ustalenia!
- Ja tego nie słyszałem, panie prezesie. Obowiązkowe wykrycie to dowód, że się zmieniło i koniec z machlojkami.
- To również dowód, że wszędzie są machlojki – powiedział sucho prezes.
- Że były.
- Wszędzie?
- Wykrywalność machlojek mamy obecnie stuprocentową w województwie – poinformował Pudrycy. – Krasnogaj nie może być wyjątkiem.
- Może.
- Lepiej, żeby nie był. Wyjątki budzą niepokój i szczególną podejrzliwość, a jak się uprze, to się przyprze.

Prezes nie miał natury Komendanta. Gardził formą, obchodziła go treść.

- Co wykryją u nas? – zapytał. – Pamiętacie, że ja tu jestem nowy.

Pudrycy zapewnił Kowalskiego, że wszystko będzie w normie, i poinformował półgłosem o rozmowie telefonicznej z kierownictwem wojewódzkiej hurtowni, które jest gotowe pomóc im w zwiększeniu skupu, dostarczając pięć lodówek, trzy pralki i kilka czarno-białych telewizorów, w tym jeden, być może, kolorowy.

- Ale musi pan prezes pofatygować się osobiście.
- Po co?
- Kierownictwo hurtowni chce poznać pana prezesa. Zamawiają pięć kilo

kawy, dwanaście czekolad i polędwicę wędzoną z naszej masarni. Koniak osobno, jak zwykle, trzy butelki.

Kowalski wywalił ślipia, przysunął się do Pudrycego.

– Przez telefon?!... – sapnął mu w ucho.

– Już nie uprzedzają, że rozmowa jest kontrolowana – zgodził się Pudrycy.

– Ale nie ma powodu, aby kierownictwo hurtowni nie poskarżyło nam się na bezczelność łapówkarzy, oferujących cztery kilo kawy, jedenaście czekolad, schab i dwa koniaki francuskie za lewy przydział towarów. Oczywiście wyrzucono ich za bramę.

– Jak ja to zaksięguję? – spytał bezradnie Kowalski.

– Z koleżanką Malawko byłby kłopot – przyznał Pudrycy – choć nie takie rzeczy w przeszłości księgowwała. Niech jej Skiroławki lekkie będą. Wojtasik rozpisze nam to na behapę, kombinezony, rękawice ochronne, dezynfekcję, deratyzację...

– Wy pojedziecie.

Boisz się, gnojku, pomyślał Pudrycy, że cię zapamiętają, przyuwają, może sfotografują na czarną godzinę, kiedy jako minister spróbujesz komuś czegoś odmówić – ciach, mamy cię, bratku! Nie będziesz ministrem. Minister zaczyna się bać o całe niebo wyżej i robi to w środku, a ty nie dorosłeś nawet do geesowej prezesury, trzeba cię wychowywać od podstaw.

– Nic z tego. Pan do nich pojedzie z prezentami.

– Kolego Pudrycy... – Kowalski otoczył ramieniem plecy magazyniera, zajrzał mu w oczy czule i stanowczo. – Umówmy się. Takie rzeczy załatwicie wy. W zamian macie u mnie dobrze.

Pudrycy zrobił krok do tyłu i ramię prezesa opadło.

– Przejdziemy na ty? – zaproponował.

– Może kiedyś... nie rozumiem...

– No to słuchaj, ty. Jesteś tu od niedawna, ale wiem o tobie dosyć, żebyś wyleciał na zbity pysk. Wiem więcej. Starczyłoby prokuraturze. Kopie dowodów przechowuję w pewnym miejscu, taki mam zwyczaj od lat.

– O co wam chodzi?... – wybełkotał Kowalski.

– Jesteś prezes! Honory, apanaże, samochód służbowy. W zamian ryzykujesz. Jasne? Ty ryzykujesz! Ja ci tylko pomagam jako szeregowy

magazynier. Będzie grało – jesteś dobry. Potkniesz się – leżysz. Kiedy legniesz, nikt cię nie podniesie, więc ja ci jestem potrzebny jako podpora, osłona, żebyś się nie potknął. Ślubuję pomagać. Prezesi zmieniają się, magazynier trwa, dlatego chcę być magazynierem i nie zamierzam awansować. Ty zamierzasz. Nie ma awansu bez ryzyka...

– Wyrzucę was – przerwał mu Kowalski.

Pudrycy uciszył się, wyszczerzył szczerbate ząbki, błysnął oczkami.

– Brawo! Zrozumiałeś! Możesz mnie wyrzucić i grać dalej sam, bez współnika. Plus: polegasz tylko na sobie, z nikim nie musisz się dzielić. Minus: jesteś tu nowy, obcy, bez ubezpieczenia łatwo o wywrotkę, a ja mógłbym się mścić. Albo gramy na spółkę. Prezesowi, co prezesowe, magazynierowi – magazynierskie. Ja inwestuję pomysły, doświadczenie i trzymam się w cieniu. Ty reprezentujesz firmę. Wybieraj!

Kowalski milczał. Zapewne odbywał pracę myślową. Czy W. zamierza go wygryźć? Gdyby celował na prezesa, nie zrezygnowałby ongiś dobrowolnie z wiceprezesury, prosząc o powierzenie magazynów, co tłumaczył stanem zdrowia po wypadku. Będzie go wykorzystywał, szantażował? Odpada: jadą na tym samym wózku. Jakie ma ambicje, aspiracje? Każdy chce czegoś. Chce więcej, niż aktualnie posiada. Warto spytać, wprost, bez ogródek.

Spytał.

Teraz Pudrycy milczał dość długo. Chciał odpowiedzieć w miarę szczerze i okazało się raptem, że nie ma na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi, a każda, jaka się nasuwa, może być podważona z łatwością, podana w wątpliwość, obrócona przeciwko niemu. Światłość go nie przyjęła, kazała wrócić do żyjących. Była w tym intencja? Musiała być. Gdyby intencji nie było, a powroty odbywały się wybiórczo, powiedzmy co stutysięczny – potłuc o kant takie przedsięwzięcie. Więc misja. Prościej: coś do załatwienia.

Co?

Jonasz może wiedzieć. Albo trzeba czekać na znak, sygnał. Albo żadnego zadania, po prostu: „Wróć i przyjrzyj się wszystkiemu na nowo, po raz drugi. Zrozumiesz, dlaczego w łaskawości naszej tak rzadko godzimy się na zmartwychwstania. Parę innych jeszcze drobiazgów zrozumiesz, takich jak bezsens, daremność, przypadek...”. Niemożliwe! Po co byłby ten cały gips,

gdyby niczemu nie służył?

– Moje ambicje i aspiracje dotyczą życia pozabiurowego – odpowiedział wreszcie Pudrycy. – Nie będziemy w to wnikać. Tutaj spełniam obowiązki i nie chcę więcej, niż aktualnie posiadam. Zależy mi na spokoju. Pragnę widzieć wokół szczęśliwych ludzi.

Ostatnie zdanie zdumiało ich obu. Prezesa – bo brzmiało pompatycznie i głupawo. Pudrycego – ponieważ nie on je wypowiedział, tylko coś w nim. W przyszłości miało się to wydarzać częściej, oswajając Pudrycego z myślą, że służy jako tuba komuś lub czemuś, rodzaj kosmicznego przekąźnika życzeń i ostrzeżeń, a nawet przepowiedni („Jutro będzie padać”, „Nie włącz na dach, bo złamiesz lewą nogę w kolanie”, „Sprzyjaj bliźnim”, „Picie szpeci”, „List otrzymasz we środę, a w nim 20 marek”, „Za lat siedem i siedem woda z ogniem się połączy, niebo z ziemią, noc z dniem”) – na razie jednak zbaraniał.

– To wam się chwali, kolego W. – powiedział prezes tonem serdecznie protekcyjnym, łapiąc wiatr w żagle. – Dokładajcie starań. Nasza współpraca może ułożyć się konstruktywnie.

– Dziękuję, panie prezesie... – wyszeptał Pudrycy.

Kowalski ożył. Wziął magazyniera pod rękę, podprowadził do okna i poinformował, że trzeba odebrać wagon nawozów potasowych, uzyskanych w ramach pomocy i współpracy od zaprzyjaźnionego państwa.

– Potasu mamy pełny magazyn! – zaprotestował W. – Potrzebujemy nawozów azotowych.

– O tym wie każde dziecko w Krasnogaju – Kowalski westchnął. – Ale sprawa jest polityczna. Musimy odebrać ten potas.

– I zapłacić.

– I zapłacić oczywiście. Domyślcie się, kto do mnie telefonował.

Pudrycy zacisnął pięści. Co zrobić z wagonem towaru, który nie idzie? Źle jest drażnić ludzi potasem, gdy potrzebują azotu. Towar przyjęty musi być sprzedany. Żeby sprzedać, trzeba mieć nabywcę. Brak nabywcy obciąża sprzedającego. Finansowo. Ale sprawa jest polityczna.

– Ja też do kogoś zatelefonuję – powiedział magazynier. – Dużo niżej, ma się rozumieć, i nie w tym pionie. Odbierzemy potas, jeśli dodadzą pół

wagonu azotów.

– A jak nie?

– Sprawa jest polityczna. Muszą dodać. Inaczej rozniesie się, że zaprzyjaźnione potasy parcieją w magazynach.

– Co nam załatwia pół wagonu azotów? – zapytał prezes Kowalski.

Pudrycy wytłumaczył mu, że załatwia dużo, ponieważ rolnik do worka azotu dokupi dwa albo i trzy worki potasów, jeżeli będzie to jedyna możliwość zdobycia nawozu azotowego. Ziemia musi dostać swoje. Transakcje wiązane to istota handlu gminnego i operacji transkontynentalnych: za milion ton zboża, tyleż bawełny i wołowiny – milion baryłek ropy i ton miedzi katalitycznej plus sweterki damskie oraz guma do żucia. Komu potrzebne rudy chromu i technologia spawania laserowego, musi nabyć dywizję czołgów i rakietowe wyrzutnie, najlepiej za banany, kawę, kokosowe mleczko lub węgiel. Pudrycy perorowałby dalej, ponieważ miał nieświadomiony pociąg do nadrealizmu gminno-transkontynentalnego, ale przerwało mu nagle wtargnięcie głównego kontrolera w asyście blondyny.

– Jest pan!...

– Do usług. – Pudrycy uklonił się głównemu, uśmiechnął do blondyny i mrugnął nieznacznie do Kowalskiego. – Mają państwo problemy?

– Problem ma pan – powiedział główny kontroler. – Proszę z nami do kantoru. Kolega prezes proszony także jest.

Kowalski przybladł. A jednak nie ufasz mi, pomyślał magazynier, ty małokalibrowa fujaro, tchórzku wąskotorowy, żałosny gminokrato; czy ci nie objaśniałem dopiero co sensu życia? Z miną poważną, a nawet wystraszoną z lekka, jak przystało na posądzanego, Pudrycy poczłapał za głównym do swego kantoru. Blondyna usiłowała dawać mu jakieś znaki. Była zmartwiona. Główny kontroler triumfalnie poruszał szpakowatym wąsikiem. Wskazał na szafę stojącą za regałami, w głębi pomieszczenia.

– Co tam jest, kolego?

– Segregatory – odpowiedział Pudrycy.

– Co jeszcze?

– Skoroszyty, katalogi... Czajnik.

– I nic więcej?

– Przepalona grzałka – przypomniał sobie Pudrycy. – Jest na stanie, skreślamy komisyjnie, raz na kwartał...

– Koniec? – przerwał mu niecierpliwie główny.

– Koniec.

– Kto oprócz pana ma dostęp do tej szafy?

– Nikt.

Główny kontroler otworzył szeroko szafkę i teatralnym gestem zademonstrował jej zawartość: segregatory, skoroszyty, katalogi, na dole czajnik i grzałka. Odczekał parę sekund. Potem z górnej półki zdjął segregator pierwszy od prawej. W szczelinie coś bielą.

– Przypominamy sobie?

– Nie za bardzo... – wymamrotał Pudrycy.

Poruszając wąsikiem główny wykonał dwa szybkie ruchy i na biurku wylądowały dwie kilogramowe torby cukru. Pudrycy przypomniał sobie tunel, nie objaśnioną światłość i swój lot ku niej, ale odpędził wspomnienie jako niestosowne. Kowalski mrugał rudawymi rzęsami. Blondyna była smutna.

– A teraz? – zapytał serdecznie główny.

Pudrycy klepnął się w czoło otwartą dłonią.

– Mój cukier! Wszędzie go szukałem. Po wypadku mam kłopoty z pamięcią...

– Nie zaślaniajcie się wypadkiem. To jest miesięczny przydział na obywatela. Chyba że na lewo. Ktoś wam albo wy dla kogoś. Przyznacie się?

– Wolno mieć cukier w miejscu pracy.

– Oczywiście. Żeby posłodzić herbatkę. Sam trzymam w biurku cukiernicę. Ale dwa kilo? W dodatku ukryty za segregatorem?

Magazynier pochylił głowę. Milczał. Główny kontroler poinformował Kowalskiego, że sprawa cukru znajdzie się w protokole i zwierzchność zadecyduje o konsekwencjach wobec magazyniera B. Prezes ze swojej strony przyrzekł osobiście zająć się sprawą, niezależnie od postanowień zwierzchności. Patrzył na Pudrycego z kontrolowanym oburzeniem.

– Nie spodziewałem się po was, za segregatorem!... Wstyd, kolego!

Protokół był już gotowy. Główny włączył do niego raporty średniego z młodszym. Kontrola wypadła pomyślnie, jeśli nie liczyć afery cukrzanej, którą ujęto w osobnym paragrafie. Wszyscy przeszli do gabinetu prezesa, gdzie blondynka odczytała na głos protokół, a potem Kowalski i W. podpisali dokument, tuż obok komisji.

– Dziękuję państwu – powiedział prezes Kowalski. – Niespodziewane kontrole pomagają nam skrupulatniej pracować.

Pudrycy zniknął na chwilę. Wrócił z gąsiorkiem i szklankami.

– Kontrola skończona, protokół podpisany, jest po godzinach...

– Alkohol? – obruszył się główny. – W miejscu zatrudnienia?

Już ja cię widzę, mój błękitnonosy, jak chlejesz gorzałę ze swoimi kolesiami, pomyślał radośnie Pudrycy, nalewając do szklanek ciemnowiśniowy płyn, widzę to całe zakłamanie, jakbyś zakazał rozmnażania się nadmiernego zamiast zbadać przyczyny, dla których ludzie wolą się kochać, niż patrzeć w telewizor, a bieda zawsze idzie w parze z lekkomyślnością; dlaczego piją? kto i w jakim celu przyuczył do kieliszka, otępiając i ogłupiając, a i łupiąc przy tej okazji, bo nietania to uciecha?

– Sok porzeczkowy – uspokoił głównego. – Dobry na upał po ciężkiej robocie.

Siorbnęli zgodnie: trzech kontrolerzy, prezes Kowalski i blondynka. Wypili do dna. Potem wypili po raz drugi. I po raz trzeci. Nikt jakby nie wyczuł, że sok porzeczkowy pół na pół ze spirytusem. Pudrycy udawał, że pije z nimi. Zasłaniał szklankę, pozorował, że i sobie dolewa. Ile to już razy raczył komisje i inspekcje, władze skromne, średnie i wysokie porzeczkowym wzmocnionym?

Czuł, że wzbiera w nim pogarda. Zaraz tryśnie. Bez obaw: nikt nie zauważył iskierek w oczach Pudrycego, skrzywienia warg, drgnięcia nozdrzy. Ech, rodacy!... Tacy właśnie. Pozwól im zakrzyknąć, że są przeciw, że nigdy i precz – potem mogą już spokojnie żłopać spirytus zaprawiony sokiem. Cherława skarłałość, glizdowata ślizgawa, rozmaz.

Gdy wtem...

Pudrycego wypełniła miłość: bezbrzeżna, boleściwa, współczująca, słodka. Zapragnął przytulić do serca trzech kontrolerów, blondynę, prezesa

Kowalskiego. Wszystkich. Nie wyłączając – uświadomił sobie – Huberta Molko, mimo że nóg nie myje i jeszcze śmierdzi obornikiem. Wziąć w ramiona, ukołysać, pocieszyć: „Biedni wy moi, bezradni, przestraszeni, po czubek serca wypełnieni niepewnością, zdani na grę żywiołów, tęskniący wstydliwie do mamuśki i tatuśka – nie dam was skrzywdzić!...”.

To nie on kochał. Coś w nim kochało. Aż się zląkł, że go rozsadzi. Wchłonął szklankę jednym haustem.

– Kocham was – wyszeptał do obecnych. – Biedni wy moi.

Zapadła cisza. Główny kontroler nie dokończył dowcipu o babie, której urwało cycek. Popatrzył na podwładnych, potem na Kowalskiego, wreszcie na W.

– Co proszę?...

– Kocham was – powtórzył magazynier.

Oblicze głównego napłynęło gniewem. Wbił w Pudrycego rozogniony wzrok.

– Wypraszam sobie! Schlał się pan, kolego B.!

Prezes Kowalski pochylił się szybko do głównego kontrolera i zapewnił go, że w zawołaniu W. nie ma złośliwości, natomiast po wypadku motocyklowym, który zakończył się reanimacją, magazynier miewa stany zamroczenia i bełkotu, nie trwające długo, na szczęście, i niegroźne dla otoczenia; ponadto sok porzeczkowy jest odrobinę sfermentowany, co mogło również odegrać rolę.

– Jak ja was kocham... – westchnął Pudrycy.

– Cip, cip, cip, gołąbeczku – odpowiedział główny i poklepał Pudrycego w policzek.

Blondyna zacisnęła uda opięte džinsami. W scenie, na którą patrzyła, było coś podniecającego. Nie wiedziała co, ale czuła się podniecona i bardzo pragnęła znaleźć się sama z Pudrycem. Szepnęła mu to do ucha:

– Autobus mamy dopiero za pół godziny...

Dopijano kolejną szklaneczkę, główny skończył dowcip o babie bez cycka i zaczął o rebem w Oświęcimiu (wkładają go Niemcy do pieca, a rebe nic, więc polewają go dodatkowo benzyną i dalej nic. „Co to za cud, rebe?” – pyta piecowy. „Bo ja się do tego nie palę!” – odpowiada mu rebe), Kowalski

rechotał, trącając podwładnych kontrolerów. Blondyna i Pudrycy wymknęli się niepostrzeżenie. Niby osobno – Pudrycy przodem, blondyna za nim dwa kroki – przecięli ulicę, skręcili w lewo, w prawo, weszli na podwórze, do budynku. Pudrycy majtnął kluczem, wszedł do mieszkania, drzwi zostawił uchylone. Po chwili wpadła blondynka, zasunęła rygiel.

Zrobili to na podłodze. Od tyłu. Blondyna stała na czworakach i z głową zadartą wysoko ciągnęła coraz dramatyczniej wysoki ton, który urwał się nagłym spazmem:

– Oh-hooo!... Ech!

Za pierwszym razem Pudrycy był jeszcze dobry. Nawet bardzo dobry, ponieważ mógł ten raz ciągnąć i ciągnąć, nie to co smarkacz, który ledwo włoży, już jest po wszystkim. Z wiekiem nabiera człowiek opanowania, techniki ruchu i dźwięku, sztuki reżyserii. Nadrabia tym postępującą osowiałość wyobraźni i zanik zachłanności: to już nie dawny wańka-wstańka, któremu wystarczyło zerknąć, powąchać. Drugi raz przychodzi albo nie przychodzi, zależy od obiektu, jego aktywności i zaangażowania. Komu potrzebny jest drugi raz? Na pewno nie dojrzałemu mężczyźnie. A piąty, siódmy? Nimfomankom i zboczeńcom matematycznym. Zresztą, zależy jak liczyć: fachowiec z jednego razu robi osiem, a wdzięczna partnerka pomnoży to jeszcze przez dwa.

Blondyna była partnerką wdzięczną. Kiedy skończyli, równo po dwudziestu minutach, pochwaliła Pudrycego za nadzwyczajne kwalifikacje i wytrwałość godną najwyższego uznania.

– Byłeś wspaniały – powiedziała, naciągając dżinsy. – Żadna z moich koleżanek nie miała zmartwychwstańca. Afery cukrzanej nie będzie.

– Jak to, nie będzie? – zaniepokoił się Pudrycy.

– Załatwię to z szefem. Te dwa kilo cukru biorę na siebie.

Nic nie rozumieją: dobro i zło spina im głupota, przeplata ze sobą niby warkocz. Co za ludzkość! Czy blondyna nie zdaje sobie sprawy, że kontrola podonosowa bez wyniku wzmacnia podejrzenia?

– Nie waż się! – powiedział.

– Ale dlaczego?...

– Bo taki jestem.

– Wspaniały jesteś! Jak sobie chcesz. Nagany ci nie dadzą, moja w tym głowa, najwyżej upomnienie.

Pocałowali się; Pudrycy zapewnił, że nie zapomni nigdy, blondynka przyrzekła, że kiedyś przyjedzie do Krasnogaju, i pognąła na przystanek. Autobus odchodził za cztery minuty. Teoretycznie zresztą. W praktyce mogło być różnie.

Jonasz, marszcząc kudłate brwi, pochylał się nad płachtą pożółkłego od starości pergaminu, na którym czern mieszała się z szarością, a napisy były ledwo czytelne, naniesione pismem klinowym. Mapa gwiazdna była dziełem egipskich kapłanów, astrolog uwiecznił na niej imię faraona Ramzesa Któregoś, liczby nie dało się odczytać. Pergamin przywiózł z Afryki kapitan Storch. Służył tam w korpusie ekspedycyjnym generała Rommla, wypierając Brytyjczyków z Libii i w maju 1941 osiągając zachodnią granicę Egiptu, skąd odesłano go do Europy Wschodniej, gdzie szykowała się kolejna wojna. Mapę zabrał z jakiejś świątyni. Najpierw pokazał ją Jonaszowi, a później podarował; był to czas dobrych stosunków między nimi, kowal lekceważył ostrzeżenia gwiazd, uważał Storch za uosobienie szlachetnej bezinteresowności i naiwnego idealizmu, licząc na pomoc kapitana w przypadku niebezpieczeństwa. Różnili się tylko w jednej kwestii – stosunku do rasy. Jonasz podejrzewał, że Günter Storch udaje przed nim, a może i przed samym sobą, by jego wzorowa służba miała moralne uzasadnienie. Jak można wierzyć w rasę? W wyższość barbarzyńskiego Teutona nad Markiem Tuliuszem Cyncerem, subtelnym komentatorem natury bogów? Nad Marksem, Tołstojem, Szopenem? Da się porównać dwóch filozofów, kompozytorów, szewców czy kowali, ale nie garbusa z rudym, Herr Storch, pańskie kryterium stosując, hrabia debil byłby więcej wart od wiejskiego mędrca. Szukaj w gwiazdach, kowalu – śmiał się kapitan – może odnajdziesz drogę do germańskiej dumy, wyczytasz, co to rasa panów, Herren-volk...

Szukał w gwiazdach. Pochylony nad stołem, przenosił z pergaminu na własny rysunek zbiory punktów: Psy Gończe, Lutnię, Smoka, Łabędzia, Andromedę, Ryby, Wagę, Strzelca, Woźnicę, Koronę Północną, Warkocz

Bereniki. W smudze Drogi Mlecznej umieścił Skorpiona ze Strzałą, Orła z Liskiem, Perseusza z Kasjopeją. Przyjrzał się Łabędziowi – znak krzyża, złożony z kilku jasnych słońc, który w starożytności kojarzono z królewskim ptakiem. Przypomniawszy sobie, jak przed ośmiu laty wypatrzył w tej konstelacji przez lunetę nowe ciało niebieskie, świecące najjaśniej, jaskrawsze od Deneba; obserwował je przez kilka wieczorów, zafascynowany narodzinami gwiazdy – nie żyła jednak długo, wkrótce przygasła, wtopiła się w Drogę Mleczną. Może nigdy jej nie było? Może rozbłysła i zgasła tylko w wyobraźni Jonasza? A może gdzieś w kosmosie rozegrał się banalny dramat: eksplozja i zagłada cywilizacji, która nie potrafiła sobie sprostać? Dla Jonasza było to widowisko świetlne, jeden z uroków nocnego nieba, jak kwiatek na łące. Nic serio. Metafizyczny sens kosmosu krył się we współzależności czasu i przestrzeni, wyrokach wpisanych w konstelacje, trójjedyności losu mrówki i wszechświata. Jeżeli coś będzie, to znaczy, że już było, a więc jest. Astrologowie egipscy rozumieli. Wiedzieli dużo. Ich zapiski, zestawione z przekazami Chaldejczyków, nauką Buddy i mądrościami Talmudu, wzbogacone wiedzą czarnych ksiąg średniowiecza i badaczy współczesnych, którzy bez rozgłosu, w sekrecie, wprowadzają do komputerów trajektorie gwiazdne, daty narodzin geniuszów, wydarzenia szczęśliwe i tragiczne, uzyskują wyniki dostępne tylko wtajemniczonym – to wszystko, do czego udało się Jonaszowi dotrzeć, co przemyślał i uzupełnił własnymi obserwacjami, wskazywało, że punkt czasoprzestrzenny narodzin determinuje przyszłość i wyznacza śmierć. Skomplikowane? Albo nadzwyczaj proste. Dziecinnie proste: Stwórca, dysponując ograniczoną ilością wariantów losowych, rozmieścił je w czasoprzestrzeni na przecięciach biegu planet i słońca, z dokładnością co do ułamka sekundy. Chwila narodzin to przypadek, wyciągnięcie losu. Dalej jednak wszystko dzieje się z niepodważalną astrologiczną konsekwencją i już niewiele da się zmienić.

Koncepcja Jonasza: wpływać na moment narodzin. Potrzebny jest do tego Kalendarz Płodzenia Pod Szczęśliwą Gwiazdą, czyli grafik stref pomyślnych i niekorzystnych, kiedy rodzić się nie należy, albowiem człowieka czekałyby same paskudztwa. Gdyby udało się Jonaszowi ułożyć kalendarz chwil szczęśliwych, a są one poutykane w czasie niczym rodzynki w cieście...

Dlaczego ciasta jest dużo, a rodziników mało? – zwraca się do Jonasza Regina Kuperholc, ubrana w długą czarną spódnicę, z włosami koloru katalitycznej miedzi związanymi w kok, zielonooka, uśmiechnięta jakby ironicznie, może smutno. Dlaczego na jednego szczęściarza przypada stu nieszczęśliwych, tysiąc albo cały milion? Dlaczego cały lud Izraela urodził się pod złą gwiazdą i odkąd jest, spotykają go same nieszczęścia? Nie lubią go nawet Eskimosi, choć wydał spośród siebie rabi Jezusa i wszystkich apostołów, pierwszymi chrześcijanami byli Żydzi, potem tułał się w diasporze, wypędzony z Egiptu, wygnany z Hiszpanii, bity w pogromach na Wschodzie, puszczany z dymem przez nadludzi z Zachodu...

A teraz, gdy powrócił do Kanaanu, sam gnębi słabszych.

Chce przetrwać.

Kosztom cudzego nieszczęścia?

Zawsze tak jest, Jonaszu. Nasze szczęście było nieszczęściem dla mojej rodziny: mało, że goj, to jeszcze Niemiec.

Jonasz zaśmiał się, przygarnął Reginę ramieniem niczym kruszynkę bezcielesną i wdychając migdałowy zapach jej włosów zaczął tłumaczyć, że nie jest Niemcem, lecz Polakiem, zwłaszcza po tym, co zrobili Niemcy z Polakami, jest więc Polakiem, ale szuka sposobu, żeby zostać Żydem, ponieważ stanie się wtedy żywą przynętą dla kapitana Güntera Storcha, który dotąd hula na bagnach, krąży wokół ziemianki, skąd wyprowadził niegdyś Reginę, straszy dzieciaki na jagodach, płoszy zwierzynę i podrzuca Jonaszowi swoje orderki. Kalendarz Płodzenia Pod Szczęśliwą Gwiazdą, który wyeliminowałby pechowców, odwracając stosunek rodziników do ciasta, co oznaczałoby, że na jednego męczennika – bo męczennicy muszą zdarzać się od czasu do czasu – przypadnie milion szczęśliwych lub przynajmniej zadowolonych z życia, otóż ten kalendarz, wsparty sztuką medyczną, która już dziś potrafi opóźnić bądź przyspieszyć poród, wtedy tylko okaże się skuteczny, gdy zniknie siła mącąca w głowach kochankom, aby pomylili godzinę korzystnej kopulacji, a lekarzowi pilnującemu pory rozwiązania wytrącającą strzykawkę z ręki. Tą czarną siłą, Reginko, jest Günter Storch, kapitan krzywobłotny, moczarnomgielny, mrocznobagienny, jurnego z siwym bratający pod gontami, do serc i mózgów podatnych

przenikający jadowitym zaczynem, zawiesiną wirusów zakażających duszę samotnością.

Samotnością, Jonaszu?

Samotnością, Regino. Nienawiść jest samotna. Wszystkich ma przeciwko sobie. Jest więc podejrzliwa i nieufna, żywi się pogardą, strzela pierwsza. Ale stanie się, że ja pierwszy wystrzelę i święta kula zrobi koniec ze Storchem.

Pamiętasz, jak go chwaliłeś? Że wrażliwy, inteligentny, przyjaciel twój. Że w razie czego on nas osłoni...

Jonasz zerwał się z zydła, zacisnął pięchy, powiódł wokół oczami, w których płonęło szaleństwo; nie było Reginy. Odetchnął. Gdzieś w dali rozbrzmiewało echo chrapliwego chichotu i serce Jonasza skurczyło się z bólu na moment, w ustach wyszło pieprznie, a skronie zwilgotniały, jak zawsze podczas fosforycznego świecenia. Chichot zgasł jednak, nie przybliżywszy się, wsiąkł w sine mgły nad moczarami.

Szkic kalendarza był prawie gotów. Jeszcze rok albo dwa i będzie go można rozpisać w partyturę, na papierze nutowym, jak koncert. Jonasz spojrzał na zegar z kukułką. Późno się zrobiło. Zwijając ostrożnie pergamin i upychając go do tekturowej tulei, przypomniał sobie obiekcje księdza Celestyna, jego sceptyczny uśmiech: Ludzkość chcesz uszczęśliwić? Czemu nie? Ty? Kopernik był z Fromborka. Biskupem był. Dawno to było. Dziś Krasnogaj nie gorszy niż Luanda, Syktywkar, Hradec Králové czy New Jersey. Świat się zewsił. Można go uszczęśliwić z każdego miejsca. Albo unieszczęśliwić. Jeszcze bardziej? Jesteś uzurpatorem, Jonaszu. Gdybym cię nie znał od siedemdziesięciu czterech lat, uważałbym, żeś pełen pychy. Z pomocą kalendarza spodziewasz się odwrócić bieg rzeczy, ofiarować ludziom, czego Pan przydzielić nie chciał, ponieważ szczęście wiekuiste musi poprzedzić cierpienie, pokuta i ofiara. Nie maskujemy w ten sposób nieudolności własnej, księżu Celestynie? Na ziemi szczęście nie wychodzi, więc idziemy za ciosem, nakazując cierpieć, bo opłaci się w niebie? Ja nie wierzę! Nie godzę się, aby niebieską walutą była ziemska męka! Musi być rozwiązanie tutaj. Gdyby nie to świecenie wokół głowy, które miewasz od czasu do czasu, uznałbym, żeś we władzy szatana, przeciwko Panu naszemu. Jestem na tropie szatana. Nie poprawisz świata, Jonaszu. Odkąd żyję, a żyję

nieprzyzwoicie długo, wciąż się świat poprawia, rozwija i wzbogaca, nazywając postępem nowe metody wytwarzania czegoś nadzwyczajnego, gdy większość ludzkości przymiera głodem i nie ma dnia bez wojny. Szatan jest w nas, Jonaszu. Jak pasożyt w kiszkaach. To on naszeptuje, że sprawiedliwość i postęp spełniają się rytualnie, poprzez rozlew krwi. Ile spłynęło krwi polskiej podczas Wiosny Ludów! Jako młody kapelan udzielałem ostatniego namaszczenia na polach bitewnych pod Genuą i Rzymem rodakom legionistom u boku Garibaldiego, patrzyłem na śmierć naszych chłopców w Legionie Lombardzko-Piemonckim pod wodzą pułkownika Feliksa Breańskiego, z Józefem Bemem broniłem Wiednia i Siedmiogrodu, spowiadałem na Węgrzech wodza armii rewolucyjnej Henryka Dembińskiego, a na Sycylii mszy polowej słuchał u mnie Ludwik Mierosławski, który potem bił się w powstaniu badeńskim. To wszystko w jednym tylko 1848 roku! I jeszcze nie wszystko: patrzyłem bezradnie, jak nasi ginęli w Dreźnie, zagrzewani do boju przez Chrystowskiego i Heltmana, w Bawarii pod Franciszkiem Sznajdem. Na co się zdała ich młodzieńcza ofiara? Co przyniosło, dwa lata wcześniej, powstanie chłopskie Jakuba Szeli, którego błagałem, aby nie palił dworów, ponieważ jego ludzie, jeżeli ocaleją, będą te dwory w pocie czoła odbudowywać? Nie posłuchał: Głędzisz, klecho!..., i obrócił w gruzy przeszło czterysta dworków szlacheckich, które dziś stanowiłyby historyczny zabytek. Człowiek ma w sobie pasję niszczenia, dar zabijania i powołanie ofiary. Czy widziałeś pomnik Nieznanego Rolnika? Albo Kowala, Który Żył Poczciwie? Nie widziałem. Jest wypróbowana droga do zbawienia. Kościół ją wskazuje. Szczerze mówiąc, nie mam też nic przeciwko innym religiom, albowiem wszystkie wyrastają ze wspólnego pnia, którym jest Pan nasz. Nawet komuniści nie kwestionują przykazań boskich, choć wypadałoby. Kto wymyśli lepsze? A człowiekowi należy przykazać, pogrozić i na końcu okazać wyrozumiałość, jeżeli żałuje popełnionych swiństw, ponieważ być człowiekiem, Jonaszu, ani łatwo, ani przyjemnie w gruncie rzeczy. Wiem. Dlatego chcę, żeby każdy rodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Tyle chyba mogę zrobić dla ludzi? Gdybyś tylko na tym trawił życie, nie kochałbym cię. Pijesz, niestety... Książd też pije. Wino mszalne. Cóż za różnica? Krew mojego Boga jest przezroczysta i pachnie

drożdżami, dlatego doprawiam ją ekstraktem wiśni, głogu, jarzębiny... Zamilcz, bezbożniku!... Bo jak huknę w ten kudłaty łeb!...

Jonasz śmiał się, wychodząc na podwórze, a ludzie, którzy tam na niego czekali, nie okazali zdziwienia owym śmiechem do siebie, albowiem było to jedno z pomniejszych dziwactw starego. Ukłonili mu się nisko, podtrzymując pod łokcie dziewczynę może osiemnastoletnią, wykrzywioną z bólu, niewyobrażalnie piegowatą, w modnej sukience mini koloru końskich jabłek. Byli jej rodzicami.

– Krwawi – powiedziała matka.

– I za nic w świecie do doktora – powiedział ojciec. – My ze Skiroławek.

– Już ósmy dzień. Do cna dzieciak wykrwawi się...

Jonasz kazał im zostać na podwórzu przy furmance, dziewczynę objął w pasie i ostrożnie zaprowadził do izby, dowiedziawszy się w drodze, że ma na imię Stacha, a on Aldo, zdrobniale od Romuald. Ale nic nie było. Ona nie taka. Inne to by zaraz, z kim podleci, świat się taki zrobił, nikt nie ma czasu na podchody, szczerością to nazywają, naturalnym byciem, jak w jednym filmie amerykańskim, może Jonasz oglądał? Ona jednak ma zasady. Po ślubie. Ewentualnie przed ślubem, jak już dano na zapowiedzi. Z Aldo całowała się...

– Tylko tyle? – spytał Jonasz, ułożywszy pacjentkę na ławie i przystępując do oględzin po usunięciu warstw ligniny i waty.

Różne bywa całowanie, usłyszał, nie tylko w usta ludzie się całują, miłość szuka sposobów, żeby się wypowiedzieć. Na dużo mu pozwalała, wiele sama robiła, nie ukrywa, że z przyjemnością. Ale nie to. Nie tam.

– Przez usta przecie w ciążę się nie zachodzi?

– Nie zachodzi się – potwierdził Jonasz. – Rodzice wiedzą, żeś brzemienna?

Rzuciła się jak ryba na piachu, chude uda zacisnęła odruchowo, błądź między piegami zrobiła się głębsza.

– Nie wierzę!...

Wymoczek, chucherko, żebra rysują się pod skórą, a piersi duże, już nabrzmiące, twarde. Przerazenie w oczach. Uciec by chciała, ale dokąd, jak uciec od siebie? Aldo w wojsku. Inna dziewczyna czeka na niego, Halinka z

Bart, córka nauczycieli. Do Stachy przyjeżdża na motorze Grzegorz, młody leśniczy spod Zielennik, zakochany bardzo. Byliśmy dobrą parą. Za co Pan Bóg ją karze?!

Albo nagradza, odpowiedział Jonasz, zakończywszy już badanie, posępny i zadumany, bowiem nie po raz pierwszy, nie setny nawet, może tysięczny stawiano przed nim ten sam problem nie do rozstrzygnięcia. Ma człowiek prawo świadomie zdecydować, czy gotów jest do poczęcia nowego życia? Do obowiązków, niewygód, odpowiedzialności? Do wieloletniego trudu formowania żywej istoty, nazywanej dzieckiem, której trzeba zapewnić godziwy byt i zaszcześcić postawę wobec świata, z siebie czyniąc modelowy wzorzec? Jeżeli „człowiek” ma brzmieć godnie – musi być prawo do decydowania.

Ale kiedy?

Przed poczęciem, twierdzi niezachwianie ksiądz Celestyn, nim zawiąże się owoc życia z kiełkującą w nim duszą. Zamach na życie jest zbrodnią. Czy o zbrodniczości zabójstwa ma decydować zapis w księgach metrykalnych? Poczęłaś – nie dotykaj!

Łatwo powiedzieć. Jak gdyby człowiek był z natury istotą myślącą, zdyscyplinowaną, odpowiedzialną. Komputer może taki być: zaprogramujesz odtąd dotąd – wykonuje. Nie ma w nim pasji Stachy do pocałunków i gorączkowej zadyszki Alda, gdy finiszuje między chudymi udami, nie wkładając. Ot i dzieworództwo, czyli niewinne poczęcie. Nie takie znowu niewinne. Człowiek grzeszny. Czymś musi się różnić od reszty ssaków.

Przed poczęciem – w ogóle nie ma sprawy. Planowanie rodziny, rozsądek, antykoncepcja. A jeśli stało się? Urodzić i koniec – na poniewierkę, tułaczkę, zmarnowanie? Kto tego żąda, niech zapewni każdemu nowo narodzonemu dach nad głową, kęs strawy i miłość.

Nie zabijaj! O czym tu dyskutować, Jonaszu? Protestując przeciwko śmierci, nie podejmuje się przecież zobowiązań. Trzeba tylko ustalić, kiedy zaczyna się życie.

I co to w ogóle jest.

– Czym sobie zrobiłaś? – zapytał.

– Drutem od swetrów – odpowiedziała bezdźwięcznie, rozciągnięta na ławie i tępo zapatrzona w sufit.

– Poraniłaś płód. Ale żyje. Może urodzić się kaleka.

– Ja nie urodzę.

Nie urodzi. Pojedzie do województwa i zrobią jej to bez żadnego gadania, za odpowiednią opłatą, jak trwała ondulację. Albo będzie się znowu dziobać drutem. Raczej to drugie. Podświadoma skłonność do samoudręki.

Przez nałożenie rąk Jonasz zatrzymał już krwotok. W podobny sposób mógł wywołać poronienie. Nie mógł natomiast zagwarantować, że dziecko urodzi się zdrowe i pod szczęśliwą gwiazdą. Jeszcze nie.

Pełen mglistego bólu bezsilności, świadom, że czyni źle, bo tak trzeba, czując do siebie obrzydzenie i tęskniąc do kielicha gorzały, Jonasz położył swe ciężkie łapska na dziewczęcym brzuchu.

Zgodnie z rozkazem kapral Słowacki przeleciał się na motorze do Zielennik, gdzie ustalił, że doktor Samosiejka i ksiądz Celestyn już zakończyli wizytę u towarzyszki Pszennej. Sąsiadka Pszennej, Czerwikowa, krzepka kobiecina o gościnnie rozłożystych biodrach i twarzy cerkiewnej świętej, wraz z kumoszkami obserwowała murowany dom kryty blachą wyzywająco pomalowaną na czerwień i powiedziała kapralowi, że ksiądz Celestyn nie zabawił długo u konającej, a doktor był jeszcze krócej i odjechali razem.

– Tak to jest, władzo kochana.

– Jak jest? – zapytał kapral Słowacki, zsiadając z motoru i zapalając papierosa.

– Ludzi od wiary odciągacie, a sami jak niedomoga, to do Pana Boga...

Kumoszki zaśmiały się, Czerwikowa zrobiła do kaprała oko. Słowacki wzruszył ramionami.

– Milicja nie odciąga. Ja sam wierzący jestem i praktykujący.

– Pozwalają wam? – zdziwiła się Czerwikowa. – Partyjnym?

– Milicjant nie musi być partyjny – wyjaśnił Słowacki kobietom – ja na przykład do partii nie należę. My służymy państwu.

– Ale ona jest mocno partyjna – powiedziała Czerwikowa, wskazując na murowaniec Pszennej. – Jak był ten protest w miastach, oba psy spuszczała z

łańcucha i co trzy dni przyjeżdżał do niej gazik z cywilami.

– Nie od nas.

– Z województwa. Co warta mocna partyjność, kiedy Pan Bóg górą? Ksiądz Celestyn się nie napraszał, sama po niego posłała córkę. Błagaj, powiedziała, żeby się śpieszył, dobry interes robi, zasłuży się zwierzchnikom: komunistkę nawróci.

Kapral Słowacki przypominał sobie własne nawrócenie ze świętą Cecylią, może nie tyle nawrócenie, co przywołanie do porządku, i zwrócił kobietom uwagę, że nie ma tu żadnego nawrócenia, skoro Pszenna sama posłała po księdza, w dodatku nazywając rzecz całą dobrym interesem.

– Niepotrzebnie udawała niewierzącą. Mało wierzących w partii?

– Zmieniła się jednak nasza władza po tych protestach – powiedziała Czerwikowa do kumoszek. – Dawniej dzielili na partyjnych i wierzących, a teraz, gadają, ksiądz Celestyn ma dostać order państwowy, że wybił ludziom z głowy rebelię.

– Dostanie – potwierdził kapral. – Naczelnik wystąpił już z wnioskiem, sekretarz podpisał. Co jeszcze gadają u was?

Ugryzł się w język, spostrzegłszy, jak kumoszki wymieniają znaczące spojrzenia. Kto tak zagaja? Plutonowy Karaś nigdy by nie zapytał wprost, miał specjalne odzywki, które zachęcały ludzi do wygadania się, wyskarżenia, wyżalenia. Potrafi otworzyć człowieka jak fachman kasę pancerną, na słuch, na węch, na oko. Psychologiem trzeba być do takich rzeczy, talent mieć i odpowiednie wykształcenie: jednemu powspółczuć, drugiego obrazić, z trzecim wejść w komitywę przeciw czwartemu, a potem z marszu oddzielić ziarno od plewy, ponieważ ludzie plotą czasem, co ślina na język przyniesie, zwłaszcza gdy komuś świnie chcą podłożyć.

– Ma pan ciekawość? – zapytała z uśmiechem Czerwikowa. – To już nie Karaś niucha?

Słowackiego ogarnął gniew. Po trosze na siebie, że taki niezgrabiasz, głównie jednak na babę, bo rozumieć trzeba władzę, która szuka prawdy o obywatelach, żeby w porę złu zapobiec, niekiedy wilka z lasu wywołać, uwolnić od pokusy, z głowy wybić, a w sumie pilnować ładu poprzez sprawiedliwość.

– Pies niucha – warknął. – Jak was pijani mężowie leją, to do kogo o pomoc?

Czerwikowa zmieszała się, jakby pojęła swój nietakt, zatrajkotała, że nie tak, nie to, kapral źle zrozumiał, bez milicji nikt nie byłby pewien, czy rankiem w oborze własną krowę zastanie, więc kochana ta milicja, lekkiego życia nie ma na pewno, a gadają we wsi, że Pszenna wezwała księdza, aby swemu zięciowi zaszkodzić, który zrobił w mieście karierę przez protekcję teściowej, po czym żonę rzucił i z taką jedną mieszka w Krakowie.

– Jak dojdzie do Krakowa, że Pszenna się nawróciła i pochówek miała katolicki, z samym biskupem, to Jędrka wywalą z partyjnej posady.

– Dlaczego z biskupem? – zapytał Słowacki, nareszcie zaczepiając o konkret.

– Poprosiła o biskupa. Żeby rozgłos był. Do towarzyszek Pszennej na pogrzeb to i biskup przyjedzie.

Wyjeżdżając z Zielennik, kapral rozmyślał o zmartwieniu, jakie będzie miał Komendant, kiedy się dowie, że czekają ich odwiedziny biskupa. O pogrzeb Pszennej dopytywano się ze stolicy, Słowacki był przypadkiem obecny przy rozmowie telefonicznej. Komendant wyjaśniał, że jeszcze żyje, stan jest beznadziejny, ale daty orientacyjnej ustalić nie można: doktor Samosiejka odmawia podania. A o co chodzi? A o to chodzi – dotarło aż do kaprała, który stał nieopodal telefonu – że na pogrzeb Pszennej, jako znanej działaczki i rolniczki, wybiera się sam towarzysz O-ski, więc datę trzeba znać odpowiednio wcześniej, albowiem czas towarzysza O-skiego jest surowo limitowany. Przyśpieszyć nie mogę, powiedział Komendant, ale opóźnić zawsze, o te dwa, trzy dni.

Czy towarzysz O-ski przyjedzie na pogrzeb nawróconej? A czy pojednanie z Bogiem w godzinie śmierci przekreśla materialistyczny dorobek całego życia? W danym momencie dziejowym może nie przekreślać. Pozostaje biskup. Towarzysz O-ski na pewno nie zechce koncelebrować z biskupem uroczystości żałobnych...

Poczuł raptem ciepło za plecami, znajome mrowienie, jakby go łaskotano leciutkim prądem elektrycznym. Nie filozofuj, stróżu – usłyszał i rozpoznał słodki głos świętej Cecylii – na pewno dwa i dwa jest cztery, ale i to dałoby

się podważyć, bywało już bowiem i pięć, i siedem, i trzynaście; nic nie wiesz o taktyce, tym bardziej o strategii, przyjmij więc do wiadomości, że na pogrzebie Pszennej O-ski spotka się z biskupem, każdy wykona swoją działalność liturgiczną, po czym odbędą wspólny spacer po cmentarzu w Zielennikach, wśród starodrzewu i różnojęzycznych nagrobków. Okaże się, mój strózu, że O-ski przybył tu dla biskupa głównie, a biskup dla O-skiego. Po co, pytasz, była im do tego potrzebna śmierć Pszennej? Bo każdy od kogoś zależy. Komuś gdzieś mogłoby dać do myślenia spotkanie O-skiego z biskupem. A tak – przypadek. Być może po to właśnie zemrze się Pszennej od dziś równiutko za dni cztery, aby przedstawiciele dwóch władz nawzajem coś u siebie wyjednali. Czy ja nie śnię? – zapytał kapral Słowacki i w tej samej chwili jakaś siła obróciła nim, tak że zasiadł na motocyklu w pozycji przeciwnej do kierunku jazdy. Motor toczył się asfaltem jakby nigdy nic. Żeby mnie tylko ludzie nie zobaczyli, pomyślał, rozniosłoby się natychmiast, że Słowacki ma hyzja. Nic się nie bój – usłyszał głos świętej – sprawa między nami; a teraz zatrzymaj swój pojazd i wybierz się na przechadzkę do lasu, albowiem to, co jest ci sądzone na dzisiaj, wymaga spaceru po lesie. Ta sama siła uniosła kaprała w powietrze nad motorem i posadziła prawidłowo, wkładając kierownicę w urękawiczone dłonie. Módl się... – dosłyszał jeszcze – z Terenią nie grzesz tak często...

Zjechał na pobocze, zatrzymał się, ukrył motocykl w krzakach i ruszył przed siebie, z dziwnym przeświadczeniem, że idzie tam gdzie należy. Zorientował się, że trafił w okolicę leśniczówki Sokolika. Gdyby kapral Słowacki umiał nazywać swoje myśli, okazałoby się, że idąc nieśpiesznie między sosnami ku swemu przeznaczeniu, duma o celowości w naturze, która spełnia się za pomocą pozornych przypadków i zbiegów okoliczności, a tak naprawdę wszystko jest sterowane, pytanie tylko, z którego piętra. Nawet z jego kaprańskiego piętra zdarza się tym i owym pomanipulować, na przykład przetrzymać na posterunku Huberta Molko do zmierzchu pod jakimś pretekstem, a później dogonić na szosie i wlepić mandat za jazdę bez świateł. Plutonowy Karaś jest jeszcze lepszy w takich kombinacjach, kiedyś przyskrzynył całą pakę agitatorów rebelianckich nad kartonem wódki Żytnia wykradzionym z transportu i przemyconym na teren zakładu Metalowiec w

Bartach. Agitatorzy przysięgali, że gorzałę ktoś im podrzucił. I ponalewał do gardeł? – zapytał pogodnie plutonowy, wskazując na kilka opróżnionych flaszek, co było dowodem nie do odparcia, albowiem podrzuconego nie pije się, tylko wzywa milicję: a nuż trucizna?

Im wyższe piętra, tym sterowanie subtelniejsze, chytrzej zamaskowane. Co ma wspólnego towarzysz O-ski z księdzem biskupem? Nic nie ma. Tyle ewentualnie, że O-skiemu imię Marcin dali na chrzcie świętym, a biskup może zakazać rozwieszania w kościołach emblematów i napisów o treściach świeckich. Spotkają się przypadkiem na cmentarzu w Zielennikach przy trumnie katolickiej komunistki, co z kolei może spowodować, że zięcia Pszennej ominą kłopoty, bo i on przecież będzie na pogrzebie.

Najwyższe piętro kieruje całością. W odczuciu kaprała Słowackiego najwyższe piętro sprzyja piętru położonemu o kondygnację niżej, czyli państwu i jego legalnej władzy, choćby ta odzęgnywała się od koneksji w górę ze znanych sobie względów. Najwyższe piętro nie musi bawić się w hocki-klocki: reguluje bieg wydarzeń, organizując układy przypadków. Czasem coś się przeoczy – a może nie? może nadrzędna premedytacja? transfuzja i przeczyszczenie? – pobuzuje wtedy wokół, naszumi, pobłyska. Jeśli zachodzi potrzeba nadzwyczajnej ingerencji, najwyższe piętro deleguje emisariusza. Emisariuszkę. Świętą Cecylię na przykład. Troszkę cudów i polecenie, informacja. Kapral Słowacki ma przejść się po lesie, tu i teraz.

Więc idzie. Przystaje. Słyszy głosy. Ścieżką w stronę leśniczówki Sokolika maszerują trzej tacy sami: ciemnobrodzi, bujnowłosi, wąsaci ponadto, ze skłonnościami do tycia, w czarnych sztruksach Wrangler, modnych koszulach z pagonami. Po jednakowej minie samozadowolenia. Zarys lekki brzuszków. Różowe policzki. Sama młodość.

Wylegitymować? Jeszcze zdążysz, słyszy w sobie głos, ruszaj cichutko za nimi. Kapral Słowacki nie jest dużo starszy od młodzieńców, o cztery lata może, sześć najwyżej, ale włos ma już rzadki od czapy służbowej, twarz mięsiste błada, z podbródkiem nieco cofniętym, któremu przydałaby się kędzierzawa bujność, kto jednak widział milicjanta z brodą? Kapral nieczęsto miewa minę zadowoloną. Trudno o taką, gdy z jednej pensji człowiek utrzymuje żonę z czworgiem dzieciaków, pomaga niedołężnej

matce i jeszcze chce mieć odrobinę życia z Terenią. W szkole milicyjnej nad morzem wyuczono go twardości. „Nie będą was lubić – wykladał major – glina, blacharz, dowcipy różne, jeden głupszy od drugiego, jak o Polakach w Ameryce, będą was się bać i gardzić wami, pijak czasem obrzyga, kurwa opluje. Ale w zagrożeniu do was przybiegną po pomoc. Wy będziecie opoką państwa i narodu. Wam zaufają uczciwi, prawomyślni, przyzwoici, że obronicie ich przed tałatajstwem, nadstawiając nieraz własną głowę. Nasza robota jest brudna. Nie da się jej robić w białych rękawiczkach, chyba że ruchem kierujesz na skrzyżowaniu. A tak – w gnoju po łokcie. Nie we własnym gnoju, pamiętajcie! To gnój społeczny. Milicja jest po to, żeby go usuwać. Przemocą, sposobem. Każdy chwyt dobry, jeśli wiedzie do ocalenia większości przed zbuntowanym draństwem, złodziejstwem i kurestwem. Będziecie odnosić rany, ginąć na posterunkach. Pomniki nie dla was. Tylko upór, charakter, nieugiętość i miłość do służby, do swoich: jedną rodziną jesteśmy. Milicjantem, chłopcy, trzeba się urodzić!” Czy Słowacki urodził się milicjantem? Jako chłopak śpiewał altem dźwięcznie czystym i przesyconym niebiańską słodyczą, nauczycielka wróżyła mu karierę Kiepury. Kto wie, kim się będzie? Chyba święta Cecylia, opiekunka chórów, patronka od śpiewania: głos wysoki i słodki przeszedł w koguci dyszkant nie bez jej udziału. Po co milicjantowi głos? Służba, kapralu! A teraz posuwaj się bezszelestnie za trójką brodaczy w typie śródziemnomorskim, czuwaj i nasłuchuj.

– Błazej, czy my dobrze idziemy?

Zatrzymali się, pierwszy z lewej wyjął kawałek papieru z płóciennnej torby, mapę albo szkic, popatrzył, porównał.

– Chyba dobrze. Zaraz powinna być.

Milicyjność w człowieku to dar boży albo, inaczej, powołanie; kapral Słowacki poczuł w sobie atawistyczny zew myśliwego, tropiciel sprężył się w nim, wyciszył oddech, ubezszelestnił kroki, naostrzył wzrok jak parę szpikulców.

– Gdyby byli obcy, to co? – usłyszał półszept drugiego z lewej.

– Turyści jesteśmy, szukamy noclegu – odpowiedział trzeci. – Tak jak uzgodnione.

Kapral Słowacki, stąpając bezszmerowo, osłonięty baranicą krzewów, towarzyszył trójce brodaczy aż do leśniczówki, gdzie trójka natknęła się na Sokolika rąbiącego drzewo na podwórzu. Przystanęli. Kapral też przystanął, kryjąc się za kurnikiem.

– Dzień dobry – powiedział drugi, wcześniej nazywany Błażem. – Pan Sokolik?

– A bo co? – zapytał Sokolik, przerywając rąbanie. – Daremnie się trudzicie. Już mówiłem, że muszę pomyśleć, nim wejdę między założycieli. Człowiek to nie chorągiewka na dachu. Na łapu-capu mają być te związki? Przyrzekliście poczekać tydzień.

– My? – zdziwił się pierwszy.

– Nie pan tu był przedwczoraj? – Sokolik wskazał na trzeciego.

– Nie ja.

– No to podobny.

– Pamiętam pana z festiwalu piosenek – powiedział drugi.

Sokolik przełożył siekierę z ręki do ręki i zrobił to dosyć znacząco, spode łba przypatrując się brodaczo.

– Coś nowego wymyślcie. Jeśli chcecie wiedzieć, moja matka jest rodowitą Rosjanką, Piatigorską z domu.

Wyglądał groźnie: ostronosy, okrągłooki, najeżony. Jak krogulec, który chce dziobać. Brodacz pouśmiewał się do siebie, powzruszał ramionami.

– Omyłka – powiedział pierwszy. – My akurat wprost przeciwnie. Do pana Orno...

Kapral Słowacki wstrzymał oddech. W co gra z nim święta Cecylia? Przeciw komu? To oni przecież, ci właśnie, niczym kruczata dziecięca nosili w klapach święte obrazki i budowali ołtarze, gdzie się tylko dało, z modłami i śpiewem. Im więc powinna sprzyjać, a nie funkcjonariuszowi Milicji Obywatelskiej, który prywatnie, owszem, wiarę w Boga posiada, ale na służbie gotów jest twardo uspokajać rozrabiaczy, choćby się po trzykroć zegnali, ciskając w niego kamieniami. Może za to właśnie mają przeciwko sobie świętą Cecylię, że z wiary tarcze próbowali robić, jak milicyjne z pleksiglasu? Pan Bóg chyba nie lubi być używany do takich rzeczy, skoro tyle wojen przegrano z Jego imieniem na ustach.

Sokolik wcale nie zrobił sięwały ani serdeczny. Powiedział brodaczo, że Orno jest chory i potrzebuje spokoju.

– Tak jakby go nie było tutaj.

– Ale jest – powiedział trzeci. – Z nami zechce się zobaczyć.

Leśniczy niechętnie wskazał na ogródek, gdzie pod jabłonoą spoczywał na leżaku Lech Maciej Orno, przykryty pledem mimo popołudniowego upału. Kapral musiał zmienić pozycję, przemykając od kurnika do szopy ogrodniczej, gdzie przycupnął wśród szpadli, grabi, sierpów i kos. Lech Maciej drzemał, a może był bez pamięci lub na jej pograniczu: twarz biała, bez krwi, na czole i skroniach krople potu.

– Niech będzie pochwalony – powiedział cicho pierwszy.

Lech Maciej z wysiłkiem uniósł podpuchnięte powieki.

– Na wieki wieków – odparł. – Seminarium duchowne w Zgierzu? Chyba byłem u was z odczytem...

– Nie, nie – przerwał drugi. – Stocznia. RB-16. Najlepsze ogórki są na targowisku w Krośnie.

Konspiratorzy, stwierdził kapral, teraz nie mając już wątpliwości, po czyjej stronie jest święta Cecylia. Aresztować? Zaczekać jeszcze? Plutonowy Karaś wiedziałby, co robić, Słowacki mógł zdać się jedynie na głos wewnętrzny.

– Leokadia lubi je na gorąco – odparł jakby automatycznie Lech Maciej. – Jestem na urlopie bezterminowym.

– W naszej sprawie nie ma urlopów – powiedział trzeci. – Potrzebujemy pana. Musi pan...

– Niczego nie muszę – przerwał mu Lech Maciej, obracając się na leżaku. – Umieram. To prywatna sprawa.

– Przypomnieć, co pan do nas mówił na wiecu w lutym 81? – zapytał pierwszy. – Jakoś się nie sprawdziło.

– Nikt nie jest prorokiem we własnym domu, kolego.

– To trzeba zorganizować wymianę proroków między domami! – odparował ostro pierwszy. – Szykujemy na stoczni strajk.

– Po co?

Drugi kucnął przy leżaku, zajrzał w twarz Lecha Macieja, zroszoną zimnym potem.

– Miał być inny świat, pamięta pan? Taki, żeby idąc spać, człowiek tęsknił do przebudzenia, a rankiem był pełen radości, że żyje. Świat bez pustki, bez kłamstwa i bez samotności.

– Nigdzie nie ma takiego świata... – wyszeptał Orno.

– No właśnie! Trzeba tylko zrobić początek. Jeszcze raz. Ludzie zniechęcili się, popadli w apatię, nie wyrywają sobie naszych ulotek, na pokojowe demonstracje przychodzi żulia z przedmieść. Mnie żona rzuciła...

– Ty znowu swoje? – upomniął trzeci.

– Przepraszam – przeprosił drugi. – Co drugi to prowokator.

– A was tu trzech – zauważył Orno, wyciągając się na leżaku i przymykając oczy.

Pierwszy odsunął na bok drugiego z trzecim. Pochylił się nad Lechem Maciejem.

– Dlaczego pan drwi? – zapytał. – Kto dał wam prawo tak nas olewać? Najpierw uczycie, jak żyć, a potem ręka zgięta w łokciu! Nic z tego, panie Orno. Zafundowaliście tamtą rzeczywistość, potem bunt kontrolowany, dyskretna powtórka, salwa, inny wariant tej samej śpiewki, zryw, wycisk i od początku? My na to nie pójdziemy.

– A na co? – spytał Lech Maciej, nie otwierając oczu.

– Jesteśmy podziemną strukturą ruchu. Potrzebujemy pana.

– Umieram.

– Wiemy. Musi pan umrzeć w odpowiedni sposób. Ruchowi niezbędny jest męczennik.

Lech Maciej Orno usiadł na leżaku i wytrzeszczył oczy na pierwszego.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał.

Trójca wymieniła spojrzenia. Kapral Słowacki sprężył się w sobie, aby nie opuścić niczego z rozgrywającej się sceny. Wcisnął głowę głębiej między szpadle i kosy. Podobno do standardowego wyposażenia policjanta w Los Angeles należy podręczny magnetowid. Dlaczego u nich tylko plutonowy Karaś posiada na stanie magnetofon kieszonkowy, a i to przeważnie nie na chodzie, bo raz brak taśmy, raz baterijek, raz części zamiennych?

– Umrze pan z rozgłosem – powiedział pierwszy. – Tak pan umrze, że za sto lat będą uczyć o tym w szkołach. Poematy powstaną o panu.

– Umrę albo nie umrę. – Orno dźwignął się z leżaka, stanął naprzeciw brodaczy, chudy jak szparag, z tonsurką łysiny obrzeżoną kasztanowymi kędziorkami. – Nie potrzebuję poematów o sobie. Z Londynu mają mi wkrótce przysłać rewelacyjne lekarstwo na płuca.

– Bujda – odezwał się trzeci. – Pański stan jest beznadziejny, sprawdziliśmy, inaczej nie fatygowalibyśmy pana.

– Umrze pan w stoczni, wśród nas – uzupełnił drugi. – Mamy wszystko przygotowane. Pogrzeb zamieni się w manifestację i będzie początkiem strajku.

– Zabieramy pana stąd – podsumował pierwszy. – Proszę się spakować. Pomóc panu? Rejtan z Zawiszą...

– Zaraz, zaraz – przerwał mu Lech Maciej Orno. – Ja się muszę zastanowić.

– Nad czym? – spytał pierwszy. – Chyba że jest pan zdrajcą.

– Albo prowokatorem – dorzucił drugi.

Lech Maciej zrobił krok w ich stronę. Był rozgniewany. Kapral Słowacki rozpoznał to po ceglastym rumieńcu, który wystąpił mu na policzkach i wypukłym czole.

– Kim jestem, to jestem, smarkacze! – warknął głosem załamującym się z lekka. – Całe życie walczyłem z dyktaturą! I nie pozwolę sobie dyktować sposobu i miejsca zgonu, zrozumiano?!

– Coś pan tak się zbiesił? – zapytał trzeci. – Nie wszystko jedno?

– Gdyby mi było wszystko jedno, grubasie, pracowałbym jako docent w instytucie folkloru i ogłaszał drukiem tysiąc trzysta dwudziestą siódmą publikację o tradycjach garncarskich Podbeskidzia – odpalił mu Lech Maciej Orno.

Zapadła cisza. Drugi westchnął, nisko pochylił głowę.

– Mamy się poddać?... – wyszeptał. – Musi być, jak było?... Niczego nie da się zmienić, panie Lechu Macieju?

– Cały czas nad tym rozmyślam – odpowiedział Orno, nagle uspokojony, spokorniały, osłabły. – Może pojedę z wami, ale jutro dopiero. Dziś idę na przyjęcie. Muszę poznać nastroje terenu. Przenocujcie w stodole, na górze jest siano, Sokolik zgodzi się z pewnością.

– Są ryby w tym jezioru za brzezią? – zapytał trzeci.

Dalej kapral już nie słuchał. Wewnętrzny głos odezwał się znowu, nakazując, aby Słowacki śpieszył na posterunek złożyć raport Komendantowi. Wycofał się z szopy, przez dziurę w parkanie trafił prosto do lasu. Idąc w kierunku szosy, gdzie zostawił motor, kapral usiłował nawiązać łączność ze świętą Cecylią i w końcu mu się udało: został poinstruowany, że od produkcji męczenników jest niebo, trzeba więc przeszkodzić partaczom w nielegalnej fuszerce i stąd ingerencja świętej, która od tego momentu wyłącza się, licząc, że dalej kapral poradzi sobie sam.

Jadąc na posterunek, kapral Słowacki rekapitulował. W pogrzebie Pszennej weźmie udział biskup – układał w myśli raport dla Komendanta. – Pszena umrze za cztery dni... Skąd wie? Jak to wytłumaczy Komendantowi? Jak objaśni spotkanie z brodacami w lesie? Kłamać kapral Słowacki umiał nie za bardzo, uszy mu wtedy czerwieniały.

Pudrycy klęczał obok Anielki i zapatrzony w srebrnozłocistą materię opinającą plecy księdza Celestyna, w ołtarz z Ukrzyżowanym i kolorowe witraże nad nim, szukał sposobu na wykurzenie z Krasnogaju Lecha Macieja Orno, a przedtem ośmieszenie, skompromitowanie lub zawstydzenie przynajmniej. Mało miał czasu. Sprawna intryga wymaga starannych przygotowań, takich jak rozmowy z ludźmi, zbieranie materiału, rozstawianie sideł, puszczenie w obieg pogłoski, a wszystko według precyzyjnego, z góry ustalonego planu, w którym nie może być słabych miejsc w rodzaju wątpliwości, czy Iks uwierzy w nielojalność Igreka. A tu raptem parę godzin.

Intryga to pomysł. Może wymodli! Ku zaskoczeniu Anielki Pudrycy z nadzwyczajną gorliwością przystąpił do modłów, a śpiewał najgłośniejsze, aż się ksiądz Celestyn zmarszczył podejrzliwie, głową z niesmakiem pokręcił. Nic z tego. Umysł spięty przypominaniem słów modlitwy i religijnych pień nie produkował niczego więcej.

– Co tobie?... – szepnęła Anielka.

– Grzesznym – odparł.

– Wszyscyśmy grzeszni, Pudryku...

Ksiądz Celestyn przystąpił do kazania. Potrząsając piąstką i rzadką grzywką białych włosów zaaplikował wiernym wywód o szkodliwości pychy, która pcha ku poczuciu własnej wyjątkowości, przyzwalając na łamanie dziesięciorga przykazań boskich, objawionych Mojżeszowi w kamieniu. Może i to pamięta? – szepnął ktoś obok, po prawej ręce od Pudrycego. Mojżesza? – zareplikował Parhoń swemu sąsiadowi z lewej. Ty mi tu nie gadaj o Żydach...

– A łamanie przykazań to grzech! – grzmiał ksiądz Celestyn, zapalając się coraz bardziej. – A grzech to samotność! A samotność to najstraszliwsza z kar, jaka może spotkać człowieka na ziemskim padole! Przybliżysz się – nie zobaczą, przemówisz – nie usłyszą, przytulić się zechcesz – odtrącą, w łzach będziesz tonął – nie podadzą ręki. Lepiej był trędowatym wśród zdrowych niż pośród zbratanych samotnym! Różne jednak bywają zbratania, mili moi, na dobrą sprawę i na złą, na rozsądną i na szaleństwo, które mirażem jest, z motyką na słońce rzucaniem się...

Dalej ksiądz Celestyn zachwalać począł zbratania rozsądne, w tym pracownicze, właśnie zakładane na nowo od jakiegoś czasu, które, być może, do dobrego przywiodą, jeśli tworzone będą po chrześcijańsku, bez pychy, arogancji i odwetu w intencjach, albowiem w historii dziejów naszych – sam pamięta – tylko te okresy owocowały, gdy miecze przekuwano na lemiesze, a nie na odwrot. Pudrycy wsłuchał się: czy tu przypadkiem nie ma haka na Lecha Macieja? Poradzić go się w sprawie tych nowych, zakładać czy nie zakładać w GS-ie. Na pewno będzie przeciw. Poprosić o argumenty, że niby potrzebne do rozmów z ludźmi. Parhonia na świadka wziąć i wybuchnąć nagle: „Dla kogo pan prowokuje?! Dla tych, co by chcieli naród na kolana rzucić, czy na zlecenie Wolnej Europy?!”. Gdyby na dodatek coś mu jeszcze z kieszeni wypadło... Ale co? Rewolwer, bomba, instrukcja wywrotowa w zachodnim języku, radionadajnik mikrokomputerowy? Pudrycy przerwał rozmyślania, bo ktoś wszedł do kościoła i wszystkie głowy obróciły się w tamtym kierunku, więc magazynier też spojrział.

Zobaczył kaprała Słowackiego. Nie byłoby w tym sensacji, gdyby to była msza niedzielna, a kaprał miał na sobie cywilne ubranie. Nieco z boku, jakby trochę wstydliwie, klęczał jednak milicjant w przepisowym mundurze, dzień

zaś nie miał nic wspólnego z niedzielą. Znowu nowe czasy, pomyślał ze zniechęceniem Pudrycy, niedługo lektorzy z województwa zaczną wykładać materializm metafizyczny, biskupów dokooptuje się do władz centralnych, a wierność idei ślubować się będzie z pocałowaniem krzyża, żeby namieszać ludziom w głowach, dymu w oczy ponapuszczać, pozbawić kierunku, wyzuć z punktu odniesienia. Jeśli nadejdą odnośne błogosławieństwa, sekretarz Konstanty wespół z księdzem Celestynem mogą założyć w Krasnogaju partię chrześcijańsko-marksistowską, czyli chamarksję. Komendant ewentualnie strzeli sobie w łeb albo pojedzie jako dozorca nocny na placówkę do Bukaresztu. Ciemnota, panie dzieju! Przez cztery dekady próbowali różni otworzyć oczy tutejszym, wiarę w Boga zastąpić wiarą w człowieka. Błąd! Co jest takiego w człowieku, żeby w niego wierzyć? Wiadomo, co w nim jest. Im głębiej przenikają badacze w jestestwo ludzkie, tym mniej powodów do wiary: słabiutkie toto, na każde świństwo podatne, chorowite, od urodzenia nadgniłe, popsute, genetycznie zdegenerowane i musi umrzeć. Gdzie tu konkurować z wiarą w Pana Boga, który wszystko może, gdyby zechciał, a zechce, jeśli zasłużymy? Obserwując modlącego się kaprała Słowackiego, Pudrycy doszedł do wniosku, że nie podobają mu się nowe czasy – milicyjna religijność pachnie stronnictwem albo i podstępem. Skąd mógł wiedzieć, że kapral przyszedł podziękować świętej Cecylii, opiekunce swojej, ponieważ Komendant po wysłuchaniu raportu nie zadał żadnego pytania, tylko zamyślił się, potem poklepał Słowackiego po policzku i obiecał mu szybki awans służbowy?

Szkoda, że wszyscy naraz nie mogą umrzeć i potem zmartwychwstać, pomyślał Pudrycy W., świat przestałby żyć złudzeniami. Po czym, zastanowiwszy się, zdecydował, że do spisku przeciwko Ornie można i należy wciągnąć Anielkę, połowicznie, rzecz jasna, bez informowania, że stoi za tym Komendant. Wredny człowiek, powie jej, ludzi na ludzi tylko by napuszczał, knuł coś, motał, nakręcał; tutaj też kombinuje, jak by powtórzyć sytuację, w której wspaniali mężczyźni pokroju Góralczyka będą odbierać sobie życie.

A może Bóg to owa światłość u końca tunelu? Nie baczy na głupstwa, które ludzkość wyczynia w przejściówce, zajęty własną terażniejszością, ale Jego

plenipotenci, pilnujący stada przed wejściem w tunel, muszą strzelać z bata, żeby się okazy nie zadziobały, nie zagryzły, nie rozszarpały nawzajem pazurami. Niech wierzą, że tam wystawia się oceny za sprawowanie. Kotły ze smołą były dobre, topienie w nieczystościach, wyszczypywanie wątroby, różne inne bóle. Tylko jak zareklamować raj?

Tak czy owak, skoro znalazł się w kościele, Pudrycy podziękował Panu Bogu za dobry dzień, a zwłaszcza za pomyślny przebieg nadzwyczajnej kontroli. Podziękował standardowo, słowami, których matka nauczyła go w dzieciństwie. I nagle, ku własnemu przerażeniu, poczuł, że wypełnia go najprawdziwsza wdzięczność, gorąca i bezgraniczna: za to, że nie bolą go szwy, blizny i pozostawiane kości, że jest wśród ludzi, że nie skurwił się aż tak bardzo (być lepszym!), że oddycha czystym wieczornym powietrzem z domieszką aromatu palących się świec i że przez dziurę w witrażu nad Ukrzyżowanym widzi rąbek pociemniałego w niezgłębieniu nieba z księżycową inkrustacją na skraju.

Pudrycy przeraził się, ponieważ wdzięczni bywają tylko słabeusze.

## Rozdział siódmy

Przedtem Jonasz zajrzał jeszcze do szczura. Zapalił światło w komórcie, bo zmierzch już zgęstniał. Drapieżnik poderwał się, pobięgał po klatce, strzygąc wąsami i młynkując ogonem. Korytko na żarcie było puste. Sierść jakby nabrała połysku. Czerwone oczka przewiercały starego nienawistnie.

Coś błysnęło przy klatce, Jonasz schylił się, podniósł. Guzik: świeżo wypucowany, z wroną, od hitlerowskiego munduru. Storch!... W szczura wlażesz? Tam najprędzej twoje miejsce! Ho, ho, kapitanie, toś mi się w porę trafił!... W samą rocznicę!... Czuło serce moje, że dziś się spotkamy, ha, ha, ha!...

Wiem, że łatwo nie dasz się wziąć. Jakąś sztuczkę szykujesz. Ale i ja ci niespodziankę przygotowałem...

Stary sięgnął do kieszeni kurtki. Wyjął stamtąd czarną skórzaną kostkę, w której zaszyty był pergamin z werselem Tory. Takie kostki podczas modłów chasydzi przytracają sobie do czoł. Jakim cudem nie spłonęła, gdy rozmodleni Żydzi palili się w synagodze na rozkaz Storcha? Cały Krasnogaj przez tydzień cuchnął zwęglonym mięsem. Ten sześcian znalazł stary niedawno w ruinach bóżnicy, przylepiony do kości czołowej. Mogła to być czaszka rabina Garfinkla, który wzywał do posłuszeństwa i zabronił trzem wozakom i tragarzom, braciom Urbach, zatłuc Storcha na śmierć, albowiem powołaniem ludu Izraela jest przetrwać i doczekać. Co tam godność starozakonnych, gdy o przetrwanie idzie? Czy nie w pokorze prawdziwa mądrość? Cholera wie. Uległość rozzuchwała, opór daje asumpt do rozprawy. I tak źle, i tak niedobrze. To może jednak gest, żeby coś zostało dla potomnych? Na pomniki nie ma lepszego budulca niż godność. W legendach i pieśniach ocalały ludy, które ginęły z honorem, walcząc do ostatniego, a ich kobiety i dzieci wyrznęli zwycięzcy w pień. Rabi Garfinkiel miał swoją rację. Bracia Urbachowie też ją mieli. Storch ich pogodził, nakazując Żydom modły za Führera w pierwszą sobotę kwietnia. Kto sprawdzi, o co modli się Żyd w swojej synagodze? Rabi Garfinkiel wiedział swoje. Kapitan Storch też wiedział swoje: kanistry z benzyną i karabiny maszynowe naokoło, zgodnie z wariantem szóstym instrukcji, jaka nadeszła

z Berlina.

Jonasz powoli przybliżył czarny sześcian do klatki ze szczurem. Zwierzę zastygło na chwilę.

– Nie lubisz tego, co? – zarechotał stary i zbliżył kostkę jeszcze bardziej do siatki. – Ordery będziesz mi podrzucał!... Guziki!... Wyłaż i zmierz się ze mną, Günterze!

Coś mu zafurkotało nad głową, owionął go fetor siarczany, poczuł ukłucie w piersiach. Tak głębokie i rozdzierające, że przysiadł. Zawył chrapliwie. Piąchą rąbnął się pod lewą pierś, żeby zmusić pompę do tłoczenia.

Zaskoczyło. Ból cofnął się powoli. Równocześnie ożył inny ból, męka nieustanna, palenie w mózgu. Gdzie szukasz, głupcze? W sobie szukaj. Z żywym mięsem wyrwij, z krwią własną upuść: zabij się, jeśli mnie chcesz zabić, he, he...

– Zrobiłbym to – powiedział głośno Jonasz. – Ale ci nie wierzę. Przez odkupienie cię pokonam. Nie wiem, ile mi jeszcze brakuje do odkupienia, ale póty będę żył, aż się szala ku mnie przechyli. Tylko żywy może odkupić. Tylko zły ma dość siły, żeby czynić dobro.

Wyprostował się i popatrzył na szczura, który wyglądał zdrowo, rzucony mu ser pożarł w okamgnieniu. Poprawa może być przejściowa. Zobaczymy. Włączył palnik, podgrzał na nim kuliste szklane naczynie z cynobrową cieczą, nabrał jej do strzykawki. Włożywszy skórzaną rękawicę, schwytał szczura, nie bacząc na wściekły pisk wcisnął mu do przełyku rurkę i zaaplikował lekarstwo. Szczur chciał go ugryźć. Pewnie przegryzłby Jonasa na wylot, gdyby mógł. Wróciwszy do klatki, w bezsilnym gniewie zaatakował metal.

Jonasz zgasił światło w komórce i przez podwórze ruszył do domu. Przystanął w drodze: na mrocznoszafirowym niebie zapaliła się pierwsza gwiazda. Dziś była to gwiazda Dawida, gwiazda Reginy Kuperholc.

Poszedł do sypialni. Na szafce przy łóżku stała menora. Zapalił wszystkie siedem świec.

Potem w gościnnej izbie nakrył długi stół z surowych, grubych, pociemniałych od starości dech obrusem z lnu szarobłękitnym. Porozstawiał czarki gliniane, ciemnobrunatne talerze fajansowe, między nimi dzbany z

kwasem chlebowym i pęki ziela miętowego z pędami szczypiorku i czosnku. Rozmiescił kieliszki z chropawego szkła, widelce i noże o drewnianych trzonkach.

Poszedł do kuchni. Śledzie zmacerowały się z cebulą, wyłożył je na półmisek, posypał drobnutko pokrojoną natką pietruszki. Pachniały jak uliki w sklepiu Kuperholca. Tłuste, mlecznoróżowe, prawie bez ości. Młody kowal przyszedł po uliki i zamiast starego zobaczył za ladą miedzianowłosą dziewczynę o oczach zielonkawych w ciemnej oprawie, ustach trochę za pełnych, małym nosie z garbkiem, piersiach obfitych wyzywająco. Kto ty jesteś? Regina, córka. Gdzie cię chowali? U ciotki mieszkalam w Osinkach, tam gdzie ludzie mają ptasie gęby, ha, ha! Potem chodziłam dwa lata do szkoły w Krakowie, ciotka wysłała mnie po kryjomu, ona dziwaczka, sama gra na pianinie, układa poezje. A pan kto jest? Jonasz Hoff. O, kowal, który czyta w gwiazdach!... Twoje oczy, Regina, są ciekawsze od gwiazd – sekrety w nich, mroki tajemnicze, radosne jasności, mienią ci się jak światła w wodzie; będziesz mnie kochała. Co pan!... Nam nie wolno... Będziesz mnie kochać, a ja ciebie, powiedział w zadumie kowal, ponieważ objawienie, jakiego doznał nagle, zasnuło było bielmem niezrozumiałego smutku. Przyjdiesz do mnie sama. Ja, do goja? Takie, co idą do gojów, przeklina się, bo zdradzają lud Izraela. W diasporze, panie kowalu, my, Żydzi, musimy trzymać się razem, żeby dotrzeć do dnia powrotu na Ziemię Obiecaną; ile ulików zważyć? Już wiedział, że to ona, że mu powierzy siebie całą, zaufa bez reszty, swoich wyrzeknie się, a w zamian... Tutaj nic zdarzeń chowała się we mgle, która przenikała kowala niedobrym dreszczem. Ale młody był. Jeszcze nie znał życia. Widział dalej niż inni, wierzył jednak, że przeznaczeniu można zapobiec, złą wróżbę odwrócić, porozumieć się z losem. Zostaw szparę w frankach, poprosił, przyjdę cię podglądać wieczorem, kiedy będziesz się rozbierała do snu. Ile tych ulików, panie kowal? Białe policzki aż pociemniały od rumieńca. Przyszedł wieczorem i była szpara w firance parterowego okna, zobaczył jej nagie piersi, brzuch porośnięty smolistym puchem, tylko twarzy zobaczyć nie mógł, bo wstydliwie odwracała głowę...

Poszedł do spiżarni. Przyniósł stamtąd polec złocistej słoniny, pachnącej dymem ogniska. Pokroił w plastry, obsypał solą czosnkową i czerwonym

pieprzem, ułożył w dwuszeregu na długiej wąskiej deseczce. Rzodkiewek usypał górę biało-czerwoną. Szklaną michę wypełnił ogórkami małosolnymi na liściach dębowych, chrzanowym korzeniu i koprze, do drugiej michy nakładł kiszzonej kapusty z kminkiem. Jaja ugotowane na twardo ze skorup obłupił, na patelni cebulkę podsmażył szkliście i posiekał razem, dodając świeżego masła, pieprzu i soli do smaku. Przypomniawszy sobie o wędzonce, którą na siłę wcisnęli mu rodzice Stachy: pękatym pakunku w lnianej płachcie. Wiedziano w okolicy, że pieniędzy nie bierze za swoją medycynę, jedni to wyzyskiwali, inni, przezorniejsi, zwozili flachy lub poczęstunek, podrzucając Jonaszowi wiklinowe koszyki, więcej bowiem warte opłacone niż to, co za darmo.

Wędzonka była chuda, łososiowa, nóż wchodził w nią jak w masło. Pocięta, legła półkolem na półmisku, jaśniejsza nieco od pomidorów, które Jonasz poukładał w środku. Co by tu jeszcze? Wrócił do spiżarni, rozejrzał się: weki z borówką, weki z borowikami, weki z ćwikłą, słój smalcu ze skwarkami, cebulą i jabłkiem, gruchy marynowane, śliwy w occie winnym. Kiełbasa z dzika. Całkiem zapomniał o niej, więc obsuszona przepięknie, brunatnie lśniąca. Doktor Samosiejka mu ją przyniósł: „Z podziękowaniem za współpracę, mój cudotwórco, pacjentów mi ślesz, od innych uwalniasz, horoskop, który ułożyłeś, sprawdza się pomalutku, a kiełbaska kłusownicza – strach podzielić się z bliźnim, zje i doniesie; opijemy?”. Jonasz przyrzekł, że wkrótce opiją, niech mu tylko niebiosy strzykną gorzałą do gąsiorka, bo stary zapas na wyczerpaniu.

No i opiją dzisiaj. Policytują się przy kielichu na żarty ze znajomości histopatologii, biochemii, anatomii porównawczej; Jonaszowi po pierwszej ćwiartuli otwiera się skrzynka z pamięcią, pewnie ten kufer z księgami medycznymi, które uzbierał przez lata, przeczytał i przemyślał słowo po słowie, zestawiając z osobistym doświadczeniem, wzbogacając o długie dumania, kiedy nie potrafił pomóc choremu ani ziołami, ani przez nałożenie rąk; dlaczego? Co takiego dzieje się w człowieku, że raz pokona w sobie najgroźniejsze chorobsko, a innym razem byle niedomoga zabija w nim życie? Czy nie to samo dzieje się z narodami, które wkuwają się w historię nieśmiertelnym zapisem, gdy żadnych szans, zdawałoby się, na zwycięstwo,

a parszywieją i rozpełzają się w gnuśności, mając wszelkie dane, by rozkwitnąć?

Po drugiej ćwiartuli kuferek pamięci Jonasza zatrząskuje się z hukiem. Wejście w terażniejszość. Trochę fantazji, marzeń, dużo facecji, różne zachcianki, jeśli Anieli pod ręką. Po trzeciej otwiera się rana.

Czasami rana otwiera się jeszcze przed pierwszą ćwiartulą albo po drugiej. Nie ma na nią sposobu. Po co się okłamywać? Rana zawsze jest.

Jonasz ogląda swoje poczerwiałe dłonie, gruzłowate, pełne odcisków, zgrubień, blizn. Nie krwawią. Ani bok nie krwawi, choć przebity grotem. Wpadł stary kiedyś do wilczej jamy, nadział się, ledwo wylazł.

Na podwórzu księżyc pachniał rozparzonym sianem. Wiaterek ciągnął od jeziora. Dwa rude kociaki gziły się pod płotem, popłakując ze szczęścia. Już nie było gorąco. Jonasz przeciągnął się, ziewnął donośnie, aż poderwały się wróble z gałęzi klonu. Podeszedł do studni. Chwycił za sznur uwiązany do kołowrotu i wywindował gąsior z samogonem. Szkło było zimne.

Odkorkował, łyknął. Łyczek malusieńki, na spróbowanie, czy samogon wystudzony dosyć, czy moc należyta i nie śmierdzi drożdżami. Pachniał suszoną śliwą. W domu Jonasz miał jeszcze nalewki różnorakie, jarzębinówkę, borowiczkę, pokrzywiankę, jałowcówkę na sośninie, esencje malinowe, porzeczkowe, z jeżyny, z głogu i tamaryszku, bzu czarnego i konwalii, ale jako lekarstwa raczej, choć księdzu Celestynowi bardziej do serca przypadały niż czysta prymitywność i już bywało, że po księżowskiej wizycie musiał stary w pośpiechu uzupełniać ubytki apteczne.

– Ej, Jonaszu, gości przyjmujesz?

Parhoń pierwszy: w garniturze fioletowym, czosnkiem swoim pachnący poprzez kolońską wodę, którą się spryskał po goleniu gęby w połowie opuchniętej od zęba. Dostojny. Punktualny buchalteryjnie. Ósma to ósma.

– Okazja może jakaś? Wybacz, nie zapytałem, ząb rwał zbulwysyńsko...

– Wielki dzień dzisiaj – powiedział Jonasz.

– Pod jakim względem to rozumieć?

– Prawda pójdzie do podziału. Każdemu, czego się najmniej spodziewa, ha, ha!

Parhoń wykrzywił się półgębą, poprawił pod szyją pomidorowy krawat ze wzorkiem: jajecznica na szczypiorze.

– Znam ja twoje krotochwile – powiedział. – Poszedłbym sobie. Ale Pudrycy bardzo prosił, żeby być. Jestem niezastąpiony na przyjęciu.

– Jesteś – zgodził się Jonasz, prowadząc Parhonia do gościnnej izby, gdzie stół już się ugiął od przysmaków, jakbyśmy mieli czasy obfitości, gdy tymczasem mówi się wokół o ubóstwie, wzywając do godności narodowej, ale Krasnogaj zawsze był odwrotnością reszty, może wyjątkiem w regule, a może samą regułą, tylko bez zamaskowania: co ludzie mieli po lodówkach, spiżarkach, piwniczkach, to od czasu do czasu ugięło najmocniejszy stół bezwstydnie, urągając rządowej tezie o zaciskaniu pasa. – Jesteś, Parhoni, niezastąpiony – powtórzył Jonasz, sadzając pierwszego gościa na skraju ławy. – Adwokatem dziś będziesz. Przyjdzie ci bronić łotra, że jednak sam łotrem jesteś, choć maciupęńkim, tycim w porównaniu z podsądnym, więc znajdziesz w sercu małe coś niecoś na jego usprawiedliwienie.

– Trujesz – mruknął Parhoń, rozglądając się po obrusie. – Pudrycemu nie o to szło.

– Każdemu o jego – zgodził się stary. – Ty też nie jesteś z drewna, Parhońciu, swoje udręki posiadasz. Dziś, za tym stołem, każdy, kto zechce, będzie mógł otworzyć duszę przed innymi.

– Nie mam nic do otwierania – powiedział Parhoń, a oko rozbłysło mu, najpierw gdy spojrzał na łososiową wędzonkę i kielbasę z dzika, potem przygasło, wypatrzwszy śledzie. – Żydowskie jedzenie uszykowałeś... Po śledziu z cebulą człowiek śmierdzi tydzień.

Jonasz wziął się pod boki, zapatrzył w szarą twarz Parhonia, jego wargi grube, nos ptasi, podkrążone oczka, jeden policzek wypukły, drugi zapadnięty, włosięta lśniące czarno, brylantyną przyklejone do czaszki; zapatrzył się i zamyślił.

– Kochasz ziemię naszą? – zapytał cicho.

– Sercem całym – odszepnął Parhoń.

– Naszą ojczyznę Słowiańszczyznę? Tradycję rycerską, piastowskiego orła?

– Kocham.

– A czemuż to?

– Bom syn tej ziemi – odparł Parhoń. – Synów prawdziwych coraz mniej, a coraz więcej zbulwysynów, przybłędów, mieszańców, różnych...

– Jak ja, dajmy na to – wpadł mu w słowo Jonasz, skontrolowawszy wzrokiem, czy stół w porządku, nie zapomniał czegoś, goście dalsi nie nadchodzą. – Germaniec czystej krwi. Ani nawet prababki Słowianki nie uświadczysz w rodzinie Hoffów.

– Aleś zesłowiańszczony historycznie – powiedział Parhoń. – W katolickiej wierze chowany. Hoffy zasługi mają słynne dla słowiańskości, jak Estreicherowie, Habermusche, Manteuffle. Czytałem o tym.

– Dziękuję ci! – uradował się Jonasz, a Parhoń nie dostrzegł, jak mu oko błysnęło. – Parhoniowie to też słynny ród. Z Parchomienkami spokrewniony.

– Z kim?...

– Parchomienko, sławny rosyjski dowódca. Nie czytałeś?

– W tamtą stronę nie czytuję – powiedział znacząco Parhoń.

Jonasz pochylił się nad Parhoniem, przejechał łapskiem pieszczotliwie po błyszczących włoskach, potem nalał po kielichu z gąsiora, tręcili się, wypili.

– A teraz bądź mężczyzną, Parhońciu. Dawno chciałem ci powiedzieć, ale ksiądz Celestyn odradzał. Tylko on i ja wiemy, jako najstarsi mieszkańcy Krasnogaju. Nadeszła jednak pora.

– Co wiecie? – zapytał Parhoń głosem cokolwiek nieswoim.

Jonasz nie odpowiedział. Wypuścił z objęć Parhonia, którego był przygarnął po wypiciu, odsunął się, westchnął boleśnie.

– Tragedia się przydarzy na uczcie – powiedział cicho. – Chcę ją odwrócić i nie mogę. Widzisz, nad stołem?

– Lampę widzę.

– Pod lampą. Taka sina mglistość, falowanie, obłoczek jakby. To śmierć.

– Czyja śmierć?... – spytał Parhoń, postanawiając szybko stąd odejść, choćby się miał narazić tym Pudrycemu.

– Nie mam pojęcia, Parhońciu. Ale nie twoja. Ty długo pożyjesz, różnych paskudztw doczekasz, prawnukom opowiesz, jak pięknie kiedyś było. Tylko jednego im nie powiesz. Żeś taki Parhoń jak ja baletnica.

– A kto mam być?

– Trzy razy ronila twoja matka, nie mogła płodu donosić – powiedział cicho Jonasz. – A za czwartym razem powiła dziecię nieżywe. Zwróciła się wtedy w sekrecie wielkim do księdza Celestyna z błaganiem o dziecko, które byłoby jej, ponieważ prześmiewki robiono w Krasnogaju, że jałowa. Akurat Rozencwajgowa umarła w położu...

– Milcz! – ryknął Parhoń, zrywając się z ławki i purpurowiejąc. – Znam ja twoje dowcipasy, stary capie!

Jonasz zagulgotał, zacharczał, krztusząc się, eksplodował grzmiącym rykiem, który wypełnił izbę, aż szyby zadrżały. Grzmotnął Parhonia w plecy, ten opadł na ławkę i palce wbił w uszy, żeby nie słyszeć Jonaszowego zaśmiewu.

Rechot zgasł równie nagle, jak wybuchł. Jonasz zobaczył przez okno wchodzącą na podwórze Anielkę. Ruszył na jej spotkanie.

Stali pod gruszą w księżycowym cieniu i Jonasz prawą ręką miętosił serdecznie cycki Anieli, a lewą zapuścił z tyłu między uda, wcisnął w ciepłość, zagarnął naraz oba pośladki pod szeroką spódnicą.

– Tak tutaj? – zaprotestowała Anielka.

– Nie tak – uspokoił. – Tylko pogłaszczę.

– Ale mnie się zachciewa, wariacie!

Nie zaprzestał. Od dłoni płynął do niego potok ożywczego prądu, którego miała w nadmiarze Anielka, a jemu zaczynało brakować i stąd marznięcie nadranne, strzykanie w kościach, chwilowe słabości, kiedy nie zgiąłby w łapach żelaznej sztaby. Anielce nie ubędzie, Jonasz się wzmocni: nie ma dla starców skuteczniejszego lekarstwa niżli żarliwe obmacanie ciała dziewczęcego, pod warunkiem że samo się garnie. Przemoc nigdy nie wyjdzie na zdrowie, musi bowiem istnieć harmonia w przetaczaniu energii z ciała w ciało. Podobnie jest z nakładaniem rąk – nie pomoże Jonasz niedowiarkowi, co przyszedł zakpić z niego. Bywali tacy. Jakiś docent z Krakowa, żeby mu brakujące zęby odrosły. Dziennikarka stołeczna udająca paralityczkę. To nie Jonasz sprawił, lecz moc czuwająca nad nim, że docent dostał szczękoscisku, a dziennikarkę wykręciło, połamało, kurcze chwytały

przez tydzień.

– Za mąż ci pora, dziecinko – wyszeptał czule Jonasz. – Czemu by nie Molko. Hubertowy synalek? Kursy jakieś pokończył. Kocha ciebie. Weźmiesz go do galopu, zadasz ostrogami, w ambicję wbijesz: wzorowe ma być gospodarstwo!

– Co ty? – zaśmiała się Anielka. – Ja do krów?

– Maszyny będą do krów, do łąk, do pola. Nawożenie z samolotu. W hacjendzie, tak jak chcesz, kaloryfery...

– Co za hacjenda?

– Dom farmerski w pirenejskim stylu – wyjaśnił Jonasz. – Wojtuś Molko sprytny jest jak mrówka. Zapisze się do paru dobrych organizacji, gdzie trzeba, mowy wygłosi, kogo trzeba, przekona, żeby na niego postawić. W każdej okolicy musi być taki jeden do postawienia. Nie Gondek prywaciarz, który pieczarkami spekuluje na rynku, tylko prosty gospodarz kochający się z państwem.

Anielka śmiała się, słuchając, kolebała biodrami w takt pieśzczot starego.

– Czemu by państwo akurat na Wojtka miało stawiać? – zapytała, chichocząc. – Głupszych już nie ma?

– Wszyscy głupi, Anielciu. Ci, co piją, i ci, co nie piją. Pijaczków wódka odmóżdża, a trzeźwych mózg pije jak przyciasny bucior. Spryt liczy się i życiorys! Państwo stawia na postęp, więc należy dowieść, że rozwój postępuje. Co ma Hubert Molko? Chwasty na polu, chałupę zagrzybioną, ciągnik w rozsypce i długi. W państwie, które nie stawia na postęp, dawno by takiego szczury zżarły. Nasze chce pomóc. Wojtuś zobowiąże się tylko opowiadać przy stosownych okazjach, jak żył tatuś, ilustrując to przeżroczami, a ty, w paryskiej kreacji...

– W czym?...

– W kiece zagranicznej, częstować będziesz słuchaczy domowej roboty szampanem. Albo na ludowo, mlekiem.

– Wódą.

– Może wódą. Zależy od gościa, jak bardzo swój. Gwiazdy powiadają, że ledwo rok minie, jak za mąż wyjdiesz.

Anielka wyswobodziła się z obłapien starego, poprawiła spódnice, cycki

upchała w stanik, włożony specjalnie na przyjęcie. Jej dziecinne, wielkie, zielonkawe oczy jaśniały w ciemnościach jak u kota.

– Ale nie za Wojtusia Molko?

– Za królewicza, dziecino. Historia kołem się toczy i już bliscy jesteście monarchii. Może będzie to królestwo niebieskie.

Zaskrzypiała furtka i na podwórze weszli następni goście. Jonasz ruszył ich witać wraz z Anielą, którą obejmował w talii ramieniem.

Zasiedli przy stole: pośrodku Jonasz w swoim fotelisku z wyżłobionego pnia, koszula z lnu białego, szeroko rozpięta pod szyją, szyja żylasta, trójkąt klatki piersiowej porośnięty siwymi kędziorami, łeb siwoczarny, kudłaty, brwi splątane, gęstwiną nawisłe nad oczodołami przepastnymi, w których oczy ciepłe, wyblakłe z lekka, zadumane; po lewej Anielka miodowłosa, rumianolica, usta rozchylone, pulchne, bluzka z zielonego pluszu rozchyłona, w rozchyleniu dwie białe wypukłości, a nosek maciupci, piegowaty, zadarty prześmiesznie; przy niej Pudrycy drobniutki, w jedwabnym wiśniowym golfiku, w zamszowej kurteczce koloru złota, ząbki białe, nadszczerbione nieco, oko modre, sama szczerość i słodycz, takiż uśmiech pogodny, czoło nie za wysokie, w sam raz, pokryte białymi bliznami ginącymi w blond włosach. Obok Pudrycego Sokolik ptasiogęby, podobno z Osinek rodem, któremu ciągota do latania przeszła w zdolność do układania kupletów:

W Szczebrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie,

W szczękach chrząszcza chrzęści miąższ.

Czcza szczypawka czka w Szczecinie.

Chrząszcza szczudłem przechrzczył wąż.

Chrząszcz ma męża, wąż się zwęża,

Brzeszczot pieszczot, szczęk oręza,

W lędźwie swędź mnie,

Wiedźma w jarzmie,

Za te rzeczy wieszać każ mnie!

– Czy to aluzja? – zwrócił się do Sokolika siedzący naprzeciw Parhoń.

– Aluzja do czego? – zapytał Sokolik, odkładając gitarę.

– Wiadomo...

– Tobie wiadomo, mnie nie – powiedział Sokolik, obrabiając dzwonko śledzia. – Ten kuplet służy jako pomoc fonetyczna do nauki polskiego dla cudzoziemców.

Obok Parhonia siedział Lech Maciej Orno. Ledwo siedział. Twarz szarobiała, mokra od potu, wargi sine, oczy świecące od gorączki.

– No i po co? – spytał go z lewej ksiądz Celestyn. – W łóżku trzeba było zostać, dobrodzieju.

Orno uśmiechnął się do księdza. Zrobił to z wysiłkiem. Dziąsła, które pokazał w uśmiechu, były bezkrwiste, przykurczone. Paradontoza. Ale nie straci zębów, ani jeden już mu nie zdąży wypaść.

– W łóżku, ojcze, albo się śpi, albo umiera – powiedział. – Mnie przepowiedziano, że nie umrę w łóżku.

– Ot i źle – zareplikował Celestyn, któremu w odróżnieniu od reszty biesiadników Jonasz nalał do czarki napoju jarzębinowego, więc trącał się z Lechem Maciejem i odpijał łyk bez grymasu, choć napój miał moc spirytusową. – Odkąd wymyślono łóżka, dobrodzieju, powinnością przyzwoitego człowieka jest w nim ducha oddać, a nie w harmidrze bitewnym, na gałęzi, pod murem lubo też w żelastwie, które pędzi po szosach.

– A ty sam, księżu? – zapytał Jonasz z wyszczerzonymi zębiskami.

– Mój pojazd plastikowy. I umierać jeszcze mi nie sądzone, musi przedtem pierścień się zewrzeć historycznie, a urodzony jestem w 1824 roku. Kawał życia przede mną. Ty wiesz, Jonaszu.

– Kawał – przytaknął stary, pociągając z kubka haust samogonu. – Jeżeli bez nagłego przyśpieszenia.

– To znaczy? – spytał Orno.

– Łups – odparł Jonasz.

– Bing-bang?

– Szast-prast. Tego gwiazdy nie precyzują, bo i one mają pozakładane ograniczniki, kiedy z ziemi w nich czytać. Białe plamy.

Ksiądz Celestyn przysunął się bliżej do Lecha Macieja i zaczął rozwijać swoją myśl o łóżku, które dane zostało człowiekowi, aby w nim poczynął,

śnił nocami, w jego cieple za dnia pokonywał choroby, w jego przytulnej miękkości odpoczywał po pracy znoјnej, która jest istotą żywota ludzkiego, albowiem nic tak nie przybliża do boskości jak twórcza praca. Sześć dni pracował Pan Bóg, tworząc świat, a siódmego dnia odpoczywał.

– Odeszliście od Pana Boga...

– My? – zdumiał się Orno.

– Wy – potwierdził ksiądz Celestyn. – Kiedy waliło się i paliło, wy podnieśliście szum o wolne soboty.

– O szabas! – wtrącił się Parhoń. – No i kto za tym stoi, panie Ornower? Czy też Ornsztein?

Lech Maciej zignorował Parhonia, ale księdza Celestyna zlekceważyć nie mógł. Głosem łamiącym się z osłabienia wyjaśnił, że na Zachodzie człowiek pracuje pięć dni w tygodniu, a dwa wypoczywa, pomimo czy też dzięki kapitalizmowi, więc ruch protestu miał prawo żądać tego samego, skoro ustrój panuje u nas antykapitalistyczny.

– Tam wyzyskują robotnika przez pięć dni. Weekendy ma wolne od wyzysku. Myśmy gorsi, za pozwoleniem?

– Gors! – odparł z mocą ksiądz Celestyn. – U nich ład i bogactwo, u nas bryndza i bajzel. Musiał Pan Bóg tworzyć świat? Tyrać w pocie czoła sześć dni i nocy? Dla kogo to zrobił? Dla nas, dobrodzieju! A przy okazji dał nam przykład. Wprowadził złoty rytm do czasu.

– Bizantyjskie myślenie... – mruknął Lech Maciej.

– Złotą proporcję sześć do jednego! – Ksiądz jakby nie dosłyszał. – Chyba że brak roboty, wówczas może być i trzy do czterech, nawet siedem do zera. Człowieczeństwo człowieka wyraża się jakością pracy jego, która jest miarą boską. A my co?

– A my wypijmy! – zawołał z przeciwnego końca stołu doktor Samosiejka, wznosząc kielich z samogonem.

Posłuchali. Pudrycy, nie przestając śledzić rozmowy z udziałem Lecha Macieja, bowiem dać mu mogła punkt zaczepienia do intrygi, wychylił kieliszek, zakąsił śledzikiem i pogłaskał gorące udo Anielki od kolana aż po samą górę. Nie podobał mu się Orno. Trzy ćwierci do śmierci. Nie ma człowiek sumienia intrygować przeciwko takiemu. Zwłaszcza gdy nie życzy

mu źle. Co winien Lech Maciej, że jego siatka na motyle wkręciła się między tryby?

Sam ją tam wepchnął. Intryga nie ma nic wspólnego z prywatnością Pudrycego W. Każdy wypełnia jakieś zadanie: ten jest pamięcią, tamten odkupicielem, ów stara się nie szkodzić. Pudrycy zmartwychwstał. To zobowiązuje, także wobec władz.

Orno nie pił alkoholu, w czarce miał kwas chlebowy z domieszką sproszkowanych ziół, których dosypał mu Jonasz. Jeść nie mógł. Snując wywód o Europie i wartościach, o misji dziejowej i historycznym przeznaczeniu Polski, podniecając się tym do utraty tchu, Lech Maciej myślał równocześnie o trzech brodaczech, którzy czekają na niego w leśniczówce, aby uprowadzić jak brankę, umieścić wśród takich samych jak oni i szykować mu śmierć. Może zechcą przyspieszyć, jeśli będzie umierał zbyt opieszale? Mają plan, termin. Podłączone do pamiętnych dat.

Dzisiejsza młodość nie jest sentymentalna. Kiedy Lech Maciej Orno, z naganem u pasa i twarzą pąsową od młodzieńczego trądziku, robił rewolucję na wydziale folklorystyki stosowanej, wydałby służbom specjalnym własnego tatusia. A jednak deklamował wiersze, śpiewał falsetem o ciemnej nocy i samotnym harmoniście, do upojenia kochał się w Nataszy, nie doniósł na nią, że ma brata w Londynie, politykował żarliwie do zmierzchu i uczył się do ranka, bo rewolucja potrzebowała ideowych folklorystów. W Oświęcimiu, gdzie nabawił się dziur w płucach, parę razy oddał swoją brukiew słabszemu, który nie przeżyłby apelu. Kto wie, czy nie łatwiej jest wybrać desperacko śmierć zamiast kogoś, niż mu oddać łyżkę strawy. Lech Maciej nie był wyrachowany. Szkoda, powiedział mu kiedyś pewien ktoś w cywilu, z wyrachowanym można się porozumieć, wymienić coś na coś lub do czegoś przekonać; pan, niestety, jest sentymentalny.

Brodacze nie są. Widać. Co za nietakt mówić komuś, że umiera! Od kogo się dowiedzieli? Bo przecież nie od Jonasza, nie od doktora Samosiejki. Tacy wszystko wyniuchają. I nie będą się patyczkowali: potrafią konającego Ornę wywlec na manifestację. A jeśli odmówi? Nie pojedzie z nimi? Z umieraniem bywa najróżniej, niektórzy nawet zmartwychwstają.

– Łacina! – wykrzykiwał słabiuteńko. – Nasza śródziemnomorskość! Przedmurze!

Ksiądz Celestyn odczekał, pociągając swoją nalewkę, przegryzając to rzodkiewką, to ogóreczkiem małosolnym, to śledzikiem z cebulką.

– Trójkąt miłosny – powiedział, gdy Orno umilkł dla nabrania tchu. – My kochamy Zachód, Wschód nas kocha i nienawidzi, bowiem nie szczędziliśmy mu krzywd i upokorzeń, kiedy nam jeszcze siły starczało. Że przypomnę Kazimierza Wielkiego, który już w 1349 roku najechał Ruś Halicko-Włodzimierską.

– Nas też najeżdżali... – stęknął Lech Maciej, odczuwając coraz większy głód powietrza.

– Ale najlepsze interesy robiliśmy ze Wschodem – powiedział ksiądz Celestyn. – Że przypomnę umowę w Krewie z 14 sierpnia 1385 roku, kiedy to Władysław Jagiełło, w zamian za rękę naszej królowny Jadwigi, zobowiązał się złączyć Polskę z Litwą i Rusią, wprowadzić tam chrześcijaństwo i jeszcze odzyskać utracone przez nas Pomorze, po czym słowa dotrzymał z nawiązką. Że przypomnę Grunwald w roku 1410.

– Grunwald!... – podchwycił Parhoń. – Święta sprawa!

– A Zachód, dobrodzieju, wtedy ramiona przed nami otwierał, kiedy byliśmy dobrzy na Wschodzie – ciągnął ksiądz, ciągnąc zarazem nalewkę, której musiał mu Jonasz nieustannie dolewać. – Podjudzając zaś nas przeciwko Wschodowi, szybko wchodził do puli, gdy rozbierano Polskę niczym tuszę wołu. Że przypomnę...

Nie chcę umierać, powiedział sobie Lech Maciej Orno, ani po cichu, ani tym bardziej publicznie, dla dobrej sprawy, która jest beznadziejna, bo wszystko jest beznadziejne, zaplanowane jakby na wariata, nie wiadomo przez kogo, nie wiadomo po co, nie wiadomo nawet, czy zaplanowane. Było lepiej, jest gorzej. Nie tylko u nas. Wszędzie. Można zderzać żywioł z żywiołem, wywoływać kataklizmy, komponować apele, od których serce rośnie. Nie można jednak niczego zmienić: światem rządzą prawa tajemnicze, siły niepojęte, wszechkomputery i voodoo. Historyczni cwaniacy przypisują sobie autorstwo zmian, śląc maluczkich na rzeź, na męczeństwo...

A on, Lech Maciej? Czy nie wzywał płomiennie do nieustępliwości, boju o całość? Nie wyklócał się z takim jednym, co radzi wieszać, przeciwstawiając mu pokojową krucjatę z kwiatami i dziećmi na rękę, przed którą pierzchną wojska? Życie całe strawił na apelach: demonstracyjnie oddając swoją brukiew oświęcimskiemu półtrupowi, który i tak nazajutrz był już trupem, z naganem w rękę dzieląc ziemię między chłopów, „Reakcji nie boimy się!”, „Wie-sław, Wie-sław!”, „*Dzia-dy, Dzia-dy*”, wtedy coś się odwróciło, ale nie przełamało, pod ukochanym Parhoniowym hasłem. Lech Maciej Orno z pozycji przeszedł do opozycji czy też przeniesiony tam został wraz z utratą etatu w katedrze folklorystyki stosowanej. Ale w sierpniu, w sierpniu!... Gdy Pan Bóg jakby rozlał nad Polską banię z braterstwem, miłością wzajemną, odnowicielskim duchem przetworzenia!... No, nie aż taką miłością. Rewizja treści garnków, inwentaryzacja kozuchów i obrączek, obliczanie kursów samochodem. Tego jednak nie robili ludzie od Lecha Macieja, tylko sami zagrożeni, pałując się nawzajem, zamiast stanąć ramię przy ramieniu. Ludzie od Lecha Macieja, tak czyści i bezbłędni, jakby ich tu zesłano z innej planety (gdzie taka planeta, Jezu Chryste?!), odgrywali inny spektakl, nadzwyczaj piękny, smutny i surrealistyczny w uzgodnionej aktualnie czasoprzestrzeni. A Lech Maciej zagrzewał: jego apele podnosiły temperaturę, odsłaniając nieznane lub zapoznane i obszary prawdy, stawały się objawieniem, na wyobraźnię rebeliantów działały jak narkotyk. Czy nie pora przypomnieć Panu Bogu, najgrzeczniej zresztą i najpokorniej, za pomocą ołtarzy polowych i zbiorowych modłów, że wypędzonym należy się amnestia?

Światem rządzą jednak prawa tajemnicze, siły niepojęte. Człowiek maluczki jest, słabowity z charakteru i ciąży ku równowadze: co wczoraj było żarem, dziś popiołem jest. Znów tęsknota do mechanicznych zabawek, świecidełek dekoracyjnych, życzliwości zwierzchnictwa i bezmyślnego ciepła, jakie daje kielich okowity. No i niech. Lech Maciej Orno jest już zmęczony, ma klucie w piersiach i potrzebuje powietrza. Dobrze byłoby spędzić resztę życia w leśniczówce. Mógłby przy Klubie Rolnika zorganizować ognisko plastyczne i uczyć dzieci rysunku oraz wycinanek podbeskidzkich.

– Nie chcieli się bić, na własne oczy widziałem! – przekonywał Sokolika

Parhoń. – Pod koniec tamtego kwietnia rąbankę akurat zawoziłem do stolicy w futerale od trąby strażackiej. Niemcy do nich z armat, a Żydki, zamiast szarżować, szukali tylko zejścia do kanałów. Jaki tam był giewał!

– A wy co? – zapytał Sokolik.

– Co my?

– Nic?

– Im religia zakazuje stawiać opór – powiedział Parhoń. – Co innego zahandlować, pochytrzyć, wygrzyźć goja z posady, masonerię założyć. Ale bić się? Spójrz pan na tego Lejba Ornberga. Szczuł, podpuszczał, a sam w krzaki...

– Oj, nieładnie, Rozencwajg – zawołał do Parhonia Jonasz, który słyszał, mówiono, jak drzewo oddycha. – Tak się wyrażać o swoich?

Żłopnął gorzały, zarechotał, łokciem trącił leciutko księdza Celestyna. Ksiądz mrugnął do niego, też łyknął, popił szybko kwasem chlebowym.

– Ja?... – Parhoń aż się uniósł na ławie. – Ja?! Ja?!...!

Lech Maciej pojął, że się udusi, jeśli nie wyjdzie na powietrze. Podniósł się cichutko, wysmyknął zza stołu, chwiejnie opuścił izbę. Pudrycy ruszył za nim. Ksiądz Celestyn przesunął się na miejsce zwolnione przez Ornę i położył Parhoniowi pulchną dłoń na ramieniu.

– Nie turbuj się, synu, Jonasz żarty z ciebie stroi. Nie jesteś dzieckiem Rozencwajgowej, która umarła w połogu. Miałeś szczęście, bo i niemowlę oddało ducha Bogu, wkrótce po tym, jak je adoptowali Parhonie za moim pośrednictwem.

– To kimże jestem?... – wyszeptał Parhoń samymi wargami.

Ksiądz Celestyn przysunął się do niego całkiem blisko i opowiedział o Egipcjance znad Nilu, która pod koniec lat dwudziestych słynęła jako tancerka w stołecznych kabaretach, ale zapadła na złą chorobę, brzuch jej się wybrzuszył, więc zamieniwszy scenę na katarynkę z papugą, rozpoczęła wędrowanie po wsiach i miasteczkach.

– Fatima jej było. Kiedy trafiła do Krasnogaju, wybrzuszenie brzucha znikło nagle. Fatima też znikła, zostawiwszy mi pod progiem wiklinowy koszyk, w koszyku zawiniątko ze szmat, a w zawiniątku ciebie. W ten sposób, synu, zostałeś podmieniony: twoja pierwsza wersja, ochrzczona w

porę, poszła do poświęconej ziemi, a jej miejsce zajęła druga...

– Też semicka zresztą – uzupełnił Jonasz.

– Sam chrzcilem! – przypomniał ksiądz Celestyn.

– Myśli ksiądz, że lżej mu od tego? – zapytał Jonasz, wskazując na Parhonia. – U nich chrztem człowiek się nie wyłga. Do czwartego pokolenia sięgają. Gdy mówią o czystości, mają sprawę przefiltrowaną i dowody, że żadnych domieszek, które jak kropla dziegciu beczkę miodu psują. Co z nim teraz będzie?

– Co ma być? – zapytał ksiądz Celestyn.

– Znienawidzi siebie.

– Ani myślę! – zawołał Parhoń. – Nie wierzę wam! Że też nie wstyd księdzu w takim wieku dworować sobie z uczciwego chrześcijanina!

I opróżnił kielich. Nie zakąsił. Nalał sobie drugi, też opróżnił i znowu nie zakąsił, jakby mu tęskno było uciec od dowcipów jonaszowo-księżowskich w alkoholowy tępościan.

Pudrycy chciał podbiec, podtrzymać za ramiona chwiejącego się Lecha Macieja, przy okazji wsunąć mu do kieszeni pewne małe coś, ale Orno poradził sobie: objął gruszę na podwórku, przytulił się do niej, przywarł całym ciałem. Jakby chciał sokiem drzewa się pożywić. Siły z niego zaczerpnąć.

Spisany na straty, podsumował Pudrycy W.; na miejscu Komendanta przesłałbym odpowiedni raport zwierzchnikom i spokojnie poczekał na naturalne rozstrzygnięcie. Po co wyganiać? Nawet lepiej: u innych rozrabiał, a tu mu się zmarło. Widać, klimat u nas nie sprzyjający dla takich.

Bywają jednak sytuacje, gdy z Komendantem nie ma dyskusji. Co z tego, że Pudrycy nie boi się umrzeć? Na razie żyje. A dla żywego żadna frajda mieć na pieńku z Komendantem, który w takim przypadku posiada obowiązek i odpowiednie sposoby, żeby dać w kość obywatelowi. Sprawa została postawiona jasno: Lech Maciej ma się wynieść z Krasnogaju gdzie pieprz rośnie. Raz na zawsze. Ośmieszony, skompromitowany.

Na razie magazynier śpieszyć się nie musi. Lech Maciej nosi chińskiego kroju szarą kurtkę z nakładanymi kieszeniami. Nic prostszego niż wpuścić w taką odstającą kieszeń pewne małe coś. Jest czas. Przyjęcie dopiero się

zaczęło.

A Lech Maciej Orno, przytulony do bielonego pnia gruszy, patrzył ze smutkiem w niebo, które było dalekie, chłodne i rozgwieżdżone jakby dla podkreślenia jego nie ludzkiej głębi. Chłód studził rozpaloną twarz. Powietrza jednak brakowało. Było go coraz mniej i mniej i Lech Maciej Orno uświadomił sobie raptem, że koniec nastąpi, kiedy zabraknie go całkiem. Koniec wszechświata: bezgłośny i zwyczajny jak zgaszenie światła w pokoju.

– Ma pan dosyć, szefie? Może by tak w drogę, nie zwlekając? Jest autobus za godzinę...

Brodacz z fałdą tłuszczu nad dżinsowym paskiem. Pierwszy, drugi, trzeci? Wszystko jedno.

– Śledzicie mnie? Pilnujecie? Jakim prawem?

– Musimy pana mieć na stoczni. Jezu, ale będzie pogrzeb!... Cenimy pańskie zasługi dla całości ruchu, uczyliśmy się na pana tekstach, ale to wszystko nic w porównaniu z rolą, jaką odegra pogrzeb Lecha Macieja Orno. Błżej twierdzi, że pan się miga. Podejrzliwiec, co?

Brodacz zaśmiał się cicho. Stał w cieniu komórki i ćmił papierosa, osłaniając go dłonią.

– Koniec rebelii – powiedział Orno z trudem, bo powietrza wciąż ubywało.

– Dosyć szarpaniny. Musi być krew?

– Dla nas szczęście polec za ojczyznę.

– Poległeś? Widziałeś poległych? Młodych i już martwych?

– Pan młodo nie umrze.

Już nie umrę młodo, uświadomił sobie Lech Maciej ze zdziwieniem, pięćdziesiąt cztery lata, a ledwo trochę pożyłem; szkoda.

– Potrzebna wam salwa – powiedział. – Wielka salwa na bardzo dużo trupów. Potem egzekucja tych, co strzelali, i tego, co kazał strzelać. Potem łzy, objęcia. Władza dla nas. I za mordę, bo jak inaczej? Od nowa. Dzisiejsi spasieni władcy przemienią się w wychudłych konspiratorów.

– Ależ pan pieprzy! – przerwał mu brodac, ku irytacji Pudrycego, którego zaniepokoił proroczy jakby wywód Lecha Macieja. – Idziemy, bo autobus

ucieknie.

– Nigdzie nie idę.

– Jutro?

– Jutro. I zmiataj stąd. Dosyć byłem w życiu śledzony.

– Przedtem pan śledził. My dobrze wiemy, kto jest kto, kim był, kiedy przestał i dlaczego.

– Też obrośniesz w życiorys...

– Pan jest nasz – przerwał mu brodac, rozdeptując niedopałek. – Wszystko nagrane. Niech pan nie próbuje nas kiwać.

– Umrę w porę – zapewnił go Lech Maciej.

– A my już zadbamy o pogrzeb!...

Brodacz zanurkował w cień, ale nie odszedł, przysiadł na pniu za komórką. Postanowili nie spuszczać z oka swego przyszłego bohatera. Po dwóch godzinach brodacza wymieni drugi brodac. Będą dyżurować do końca uczty, żeby żadnych niespodzianek. Gdzieś powieli się już nekrolog. Pudrycy, obserwując zza studni Lecha Macieja Orno wciąż wtulonego w gruszę, porządkował w sobie zamęt. Czy Komendant, gdyby wiedział, na co się zanoszą, zmieniłby dyspozycję? Może nie wolno teraz dopuścić, aby Orno wyjechał? Jak się skontaktować, skonsultować?... Gdyby Pudrycy W. rozgrywał tę sprawę dla siebie, mając w intencji jedynie pozbycie się kłopotu, zaniechałby jakichkolwiek czynności, pozwalając panu Orno wyjechać i umrzeć, jak sobie chce. Był jednak narzędziem, a skromne narzędzie mieszać szyków siłom wyższym nie ma prawa.

Realizować plan? A jeśli Orno umrze, nie wytrzymawszy ośmieszenia i kompromitacji, tamci zaś rozkolportują, zwałą na władzę, podniosą nowy bunt? Będzie wówczas Pudrycy zasłaniał się poleceniem Komendanta? Polecenie ma moc formalną, kiedy jest na piśmie, stąd światowa kariera telefonów. I może się raptem okazać, że magazynier gminny Pudrycy W. wykoleił lokomotywę historii, ma na sumieniu rzeź niewiniątek, odpowiada przed narodem za katastrofę ojczystą. Przecież nie po to zmartwychwstał!

A jeśli po to?

Takaż byłaby przewrotność Światłości? Takie jej okrucieństwo?

Pudrycy pochylił się nad studnią, przymknął oczy i zapragnął gorąco, by przemówił w nim głos. Chciał być tubą, instrumentem, odbiornikiem. Nic w nim jednak nie zabrzmiało, wrócił więc do gościnnej izby, gdzie już siedział na swoim miejscu biały na twarzy i z pałającym wzrokiem Lech Maciej Orno.

Jonasz wędrował dookoła stołu, trzymając w garści gąsior jak gęsiora oskubanego za szyję i lejąc równo po opróżnionych kielichach, a goście kładli sobie na talerze rzodkiewki i szczypior, wędzonkę i siekane jaja, słoninkę i małosolne ogórki, borowiki i ćwikłę, kielbasę z dzika i gruchy marynowane. Śledzie już zniknęły.

Leśniczy Sokolik oskubywał plasterek wędzonki i rozmyślał o podobieństwie brodatych brunetów, którzy chodzą po ludziach, żeby do czegoś ich wciągnąć, namawiając z jednaką żarliwością do przeciwstawności i podstraszając aluzyjnie, odwołując się do demokracji z patriotyzmem. Dlaczego właśnie Sokolik miałby się znaleźć wśród inicjatorów? Ponieważ znają go w nadleśnictwie jako zamiłowanego związkowca, który publicznie bolał nad przejściową bezzwiązkowością i stanem przemocy porządkującej. No właśnie! Co, właśnie?... Chorągiewką mam być na dachu? Nie chorągiewką, lecz sztandarem, panie Sokolik, narodowego odrodzenia przeciwko anarchii, w którą od czasu do czasu popadamy, rujnując kraj gospodarczo i psychicznie; bądź pan odważny! Nie byłem? Nie śpiewałem? Mamy wynotowane wszystko, co pan śpiewał, w tym głupoty bezmiernie szkodliwe z państwowego punktu widzenia, jakbyś pan słomką w nos tygrysa łaskotał i chował się za plecami matki ojczyzny. Jest okazja, Sokolik, żeby się zrehabilitować: idziemy na samorządność, nie ma powrotu do przeszłości, inicjatorzy mają po plusie u nadleśniczego. I nie tylko tam. Pomyśl dobrze...

Więc myśli. Gdyby nie Lech Maciej Orno, sprawa byłaby prostsza, szczególnie po kazaniu księdza Celestyna, w którym nawołuje do nowego braterstwa pracowniczego. Wstyd przed Lechem Maciejem. Nazwie zdrajcą? Machnie ręką wzgardliwie? Ech, wy, bojowniczkowie, odnowicieleta, protestowicze rebelijni... Dać wam po uszach i już w tył zwrot? Jaki w tył

zwrot, mistrzu? Przeciwnie, wygrywamy. Mogłoby wcale nie być związków, a przecież powstają, i nie odgórnie, na rozkaz, wojskowym dekretem, tylko oddolnie, z inicjatywy inicjatorów. Więc już uważam, że tej inicjatywy nie wolno pozostawiać różnym skompromitowanym, przyczajonym, odwetowcom, wie pan.

Czy Lech Maciej Orno zgodzi się z leśniczym Sokolikiem? Pogadają. Po czwartym kielichu Sokolik odkrył w sobie gniew, a może tylko irytację: kto dał prawo panu Orno być czyimś sumieniem? Naobiecował z trybun, naprzyrzekał, ponawoływał i – gównem z tego wyszło. Słuchacze zawiedli? Zawsze zwala się na słuchaczy. Że słuch nie ten. Ale żyć dalej trzeba, panie Orno, ludziom dzieci się rodzą!...

– Hej tam, doktorze! – zawołał ze swego tronu Jonasz, unosząc szklanice z bimbrem. – Na ciebie kolej! Czyją pohybel opijemy?

Doktor Samosiejka, siedzący naprzeciw starego na drugim biegunie stołu, dźwignął się z zydlu. Milczał dotąd. Pił równo z Jonaszem, kielich w kielich, zagryzał małosolnymi, ale się nie odzywał, zajęty obserwacją Pudrycego i własnymi myślami. Myśli były leniwie mętne, natomiast Pudrycy W. imponował Samosiejce wyrazistością mimiki: kiedy przeżywał, robił to całą gębą. Musiał coś głęboko przeżywać aktualnie. Falowały mu szramy, tańczyła blizna z blizną, wargi krzywiły się, mrugały modre oczka. Czyżby Pudrycy po raz pierwszy w życiu nie wiedział, jak zakombinować?

– Na pohybel proporcjom! – odpowiedział donośnie doktor Samosiejka. – Precz z klockami, które kupuje się dzieciom! Sześcian do sześcianu, czarne do białego, trójkąt na wierzch. I to już zostaje, proszę państwa. Potrzeba porządkowania, budowania i burzenia, i układanie na nowo. Wszystko razem: szajs. Albowiem z porządkowania nic nie wynika, proporcje są zmyślane, a na katar jak nie było, tak nie ma lekarstwa. Podobnie na smutek...

– Na smutek jest! – przerwał mu Jonasz, demonstrując swoją szklanice znowu pełną i szczerząc krzywe przeogromne zębiska.

– A kac? – zapytał doktor Samosiejka.

– Gdzie grzech, tam i pokuta – zauważył ksiądz Celestyn.

Doktor Samosiejka obrócił się do księdza Celestyna, pochylił przed nim

łysą głowę.

– Wybaczy mi ojciec. Obserwując świat od pewnego czasu, stwierdzam, że jest nieudany. Być może Stwórca ma w swej kolekcji bardziej udane dzieła, ale nam przydzielił konstrukcję raczej kiczowatą.

– Nie waż się!... – syknął ksiądz, dziwnie odwracając oczy.

– Nie ważyłbym się, ale smutek mnie zjada w postaci nadkwasoty od owrzodzeń żołądka – odparł doktor. – Chyba mam spaczone widzenie rzeczy. Złości mnie koślawe łóżko na korytarzu szpitalnym, susza od dwóch miesięcy, przez którą zabraknie ziemniaków, głód w Angoli, ten tu Parhoń, choć nader pocziwie wygląda, wredność rzeczywistości, która udaje szlachetną, a podła i podstępna, co wynika ze stosunku masła do armat... – Samosiejka przerwał nagle, uśmiechnął się szeroko do Anielki. – Za stosunki wypijmy! Twoje zdrowie, Anielko! Za męską siłę przy tobie, która pozwala zapomnieć o bezsilności naszej powszedniej!

Leśniczy Sokolik odruchowo wypił, automatycznie sięgnął po gitarę.

Nowy ład niech wykwitnie z zamętu,  
Od Szczecina przez Grójec po Jasło –  
Z prominentów zrobimy petentów,  
Przetopimy armaty na masło!

Aplauz przeleciał wzdłuż stołu. Pudrycy pieszczotliwie uszczypnął Anielkę w lewe udo pod kolanem, zachichotała, pogroziła mu, ukontentowana i dumna, że pije się jej zdrowie.

– Ech, ludzie, ludzie – westchnął ksiądz Celestyn. – Albo wzniosłości, albo świństwa...

– Albo absurdy, albo herezje! – zawtórował mu Jonasz rechotliwym basem.

Ksiądz pogroził mu kułakiem i łyknął nalewki. Jarzębinowa już się skończyła, właśnie przeszedł na wrzosówkę: cierpki fiolet o zapachu jesiennych łąk. Anielka pochyliła się nad stołem w stronę księdza Celestyna. Gdyby tylko zechciał, mógł obejrzeć w szczegółach jej wspaniałe piersi. Spuścił oczy szybko.

– Dlaczego? – usłyszał. – Dobroć dla ludzi ksiądz nazywa świństwami? Że kapkę szczęścia daję spragnionemu, a i samej przy tym mi kapnie? Co w tym

złego, ojciec Celestynie?

– Rozpusta... – wymamrotał ksiądz.

– Rozpusta dla rozpustników – powiedziała mu Anielka nad stołem. – Dla nie pocieszonych pociecha. Tutaj sobie dworują, ale zobaczyłby ich ksiądz ze mną w łóżku, jacy bezradni w tęsknocie, jak uciekają we mnie od tej swojej męskiej samotności. Innych nie dopuszczam.

Ksiądz Celestyn chciał zareagować. Uważał, że powinien. Ale nie miał konceptu. Ta dziecięca naiwność, niby czystość dziewicza, nie udawana! To spojrzenie zdziwione niewinnie, pulchne usta rozchylone pytająco, ułożone w kapryśną podkówkę... Precz, siło nieczyste!... Won, szatanie. Nie po to ksiądz Celestyn opierał mu się przez półtora wieku, żeby teraz ulec.

– Przysuń mi, córko, ten półmisek z jajkami siekanymi. I grzybki marynowane, jeśli łaska...

Już drugi gąsior wędrował wzdłuż stołu, a Jonasz wciąż nie wspominał o powodzie uczty ani swojego toastu nie wznosił, tylko dolewał biesiadnikom, dokładał na talerze i od czasu do czasu zaglądał do kuchni, gdzie w piekarniku, na malutkim ogniu, wygrzewał się żeliwny garnek zamknięty od góry natłuszczonym pergaminem; druga doba mijała, odkąd Jonasz wstawił go do piekarnika. Czulent. Tłusty szponder przesypyany pęczakiem, dobrze wymoczona fasola, duże ziemniaki, które po dwudniowym pieczeniu w tłuszczu wołowym staną się ciemnobrunatne, wreszcie gęsia szyjka wypełniona farszem: wątróbka utarta z żółtkami, mąką i gęsim tłuszczem z dodatkiem drobnutko posiekanej pietruszki, czosnku, pieprzu. Koronne danie. Świąteczna potrawa Kuperholców, którą jadali w sobotni wieczór. Jonasz słowo w słowo zapamiętał przepis, opowiedziany mu przez Reginę którejś nocy w ziemiance: „Dziś sobota, mówisz? To ja bym zjadła czulentu. Rumiane kartofelki, wołowina topniejąca w ustach, mięciutka fasolka, ale szyjka gęsia przede wszystkim...”.

Wrócił do izby, obwiodł wzrokiem biesiadników. Zatrzymał spojrzenie na Lechu Macieju Orno, który wydawał się drzemać!

– Na pana kolej, panie Orno! Dawaj pan swój toast!

Orno nie od razu dosłyszał. Oczy nie widzące poruszyły się, jakby spłoszone nagłą ciszą. Wszyscy patrzyli na niego. Teraz będzie okazja,

pomyślał Pudrycy, żadnych wahań, niech się martwi Komendant; lekkim skinieniem dał znać Parhoniowi, żeby uważał.

Lech Maciej wziął do ręki swój nie tknięty kieliszek. Zbył uśmiechem ostrzegawczy gest doktora: ani kropli!... Wstał z trudem.

– Świat jest niepojęty – powiedział. – Rządzą nim żywioły i sekretne prawa, których mózg człowieczy nie potrafi ogarnąć...

Na razie woda, skonstatował Pudrycy. Tacy lubią uogólniać. Przenośnie, złote myśli. Pewnie i cytaty będą. Uwaga: cytaty mogą się przydać! Gdyby, na przykład, zacytował Wolną Europę albo prezydenta Ameryki...

– Ale próbuje – wtrącił Jonasz.

– Ludzie są mali, słabi i bezradni – powiedział Orno. – Tymczasem wolności im się zachciewa. Praw. Tlenu...

– ...i wodoru – chichotał Parhoń.

Pudrycy pod stołem przydepnął mu nogę, aż się Parhoń wykrzywił. Morda w kubek! Jeszcze się Orno załamał, zrezygnuje z toastu. A tu nic. Ogólniki. Powie coś wreszcie?

– Być może kierują nami cykle – ciągnął Lech Maciej. – Dlaczego rok ma dwanaście miesięcy, a nie trzynaście? Siedem krów chudych i siedem tłustych. A imię jego Czterdzieści Cztery. Nie wiadomo. Nic nie wiadomo! Czy was to nie przeraża?

Urwał. Może skończył? Pudrycy postanowił interweniować. Pochylił się w stronę Lecha Macieja, spojrzał mu w oczy z dołu w górę.

– Wtedy pan wiedział. Żadnych wątpliwości, jeśli się nie mylę. Nauczał pan, żeby nie ustawać w proteście i raz wreszcie zrobić z tym wszystkim porządek.

– Tak – powiedział Orno. – Wtedy jeszcze wierzyłem, że jako naród potrafimy latać.

– I wznieść się ponad inne? – zapytał z niewinną miną magazynier.

– I wznieść się ponad inne – przytwierdził Lech Maciej. – Ale my niestety podkładamy sobie świnię nawet w powietrzu, co powoduje obniżenie lotów i ostatecznie upadek.

– Nie nowina – wtrącił ksiądz Celestyn. – Zaborcy, pamiętam, umieli to wykorzystywać.

Orno wziął głęboki wdech, w piersiach go jednak nie poczuł, nie ostudził gorączki. Twarze ludzkie rozpływały mu się przed oczami.

– Zakładam votum separatum – wymamrotał. – Uprzedzam państwa, że będę głosował przeciw, bo to do niczego nie prowadzi, nic nie prowadzi do niczego, więc ja się prowadzić nie dam jak krowa na ubój...

– Do czego on prowadzi? – zapytał Parhoń, ale nikt mu nie odpowiedział, wszyscy w milczeniu patrzyli na Lecha Macieja, nawet Anielka, ponieważ było coś w nim nadzwyczaj tragicznego, co rozchodziło się wokół jak duszący opar.

Orno otrząsnął się, oprzytomniał.

– Przepraszam – powiedział. – Albo nie dorośliśmy, albo na nas wypadło napocząć tę śmierdzącą pieczeń. Czuję trupi swąd. Piję przeciwko klątwie, która uczyniła nas narodem wybranym!

Zaczął przybliżać do ust pełny kielich.

– Tylko symbolicznie! – ostrzegł doktor Samosiejka. – To spirytus.

Orno wypił. Poczuł, że spalił sobie wnętrzności. Zrobiło mu się pusto w środku. Tylko ból. Tymczasem Pudrycy analizował słowo po słowie toast Lecha Macieja, odtwarzając frazy i akcenty, aby stwierdzić na końcu, że żadnego z nich pożytku dla Komendanta, chyba żeby podretuszować, nie o to jednak chodziło tym razem, tylko o pohańbienie i banicję, więc trzeba intrygę motać wedle poprzedniego planu, najpierw wpuszczając w kieszeń Orny tekturowe pudełko, potem niby radząc się, potem wybuchając gniewem, w czym podtrzyma go Parhoń. „Czuję trupi swąd...” Ech, ty, inteligencjo pieprzona! Boją się ciebie politycy nasi, albowiem przeważnie z tegoż pnia szlacheckiego, herbami szczytą się cichcem, snobują na odczytanie, ogładę salonową. A polityk musi być cham. Uczciwy biznescham, ponieważ polityka to wielka gra, w której mały szwindel nie popłaca, ale nie popłaca tym bardziej sentymentalizm, wzniosłość i wyniosłość. Czemu on, Pudrycy, to rozumie i co najwyżej żał mu Lecha Macieja, a przełożeni szefa trzęsą portkami. Bo u nas amatorszczyzna. Nie ma kultu fachowości.

Czy trzeba aż zmartwychwstać, żeby przejrzeć elementarnie?

Na tym Pudrycy zakończył rozmyślania, które nie przeszkadzały mu

popijać i pojadać, zwłaszcza kielbasę z dzika pod ogóreczek małosolny.

– Co ty tam knujesz, Pudrycku? – usłyszał bas Jonasza.

– Niby dlaczego?... – spytał.

– Bo masz wtedy oczęta modre.

– Zawsze są takie.

– No właśnie! – zarechotał stary, klepiąc łapskiem w stół, aż zadzwoniły kielichy. – Otóż to, ha, ha!...

Pudrycy postanowił się nie obrażać: samogon był przedni, jadło pierwszorzędne, ponadto sprawa do załatwienia.

– Rozwiązuję zagadkę bytu – powiedział.

– I co ci wychodzi? – zapytał ksiądz Celestyn.

– Pomidor, ojcze. Za każdym razem pomidor.

Ksiądz Celestyn zadumał się, brwi bielutkie namarszczył u nasady nosa.

– A powinno wyjść jabłko – powiedział po pauzie wypełnionej gwarem zastolnym, chichotem Anielki, płytkim pokasływaniem Lecha Macieja, któremu oczy zasnuły się bielmem. – Wszelkie zło, Pudrycy, poszło od głupiego jabłka, wyobrażasz to sobie?

– Pomidor...

– Chwilami zdaje mi się, że jestem dużo młodszy. W chłopięcych latach pasjonowałem się historią i sam już nie wiem, co znam z widzenia, a co z lektur. Od dziecka nie znoszę jabłek.

– Ale dlaczego pomidor?!... – zapytał Pudrycy z udręką w głosie. – Przed wypadkiem nie miewałem takich idiotycznych myśli!

Dobrze wiesz, dlaczego pomidor – usłyszał w sobie.

I zobaczył michę pełną soczystych pomidorów pokrojonych w ćwiartki, nad nią pochylonego prezesa Góralczyka: pomidorowy sok spływał mu po brodzie. No, co tam, kolego? Uspokoicie się wreszcie? Dziś nie czytam już żadnych postulatów, jest po godzinach, mam prawo zjeść w spokoju swoje pomidory. Ma pan, zgodził się Pudrycy, życzę smacznego, rezygnację z prezesowania można napisać i jutro. Na mózg ci padło, W.? Ani myślę zrezygnować! Zrezygnujesz, Góralczyk, chyba nie lubisz jeździć taczkami... Prawa dłoń Góralczyka zanurzyła się w misie i zaczęła gnieść pomidory na masę, krwawą pulpę. Tonem z lekka drwiącym, choć podszytym

zdenerwowaniem, Góralczyk zakomunikował Pudrycemu, że przymykał dotąd oczy na wygórowane aspiracje swego zastępcy, teraz jednak miarka się przebrała: jutro W. otrzyma wymówienie dyscyplinarne. Za co? Oj, jest za co! Oj, już nie ma, wyszczerzył ząbki Pudrycy, w papierach zrobiło się porządek... Won stąd, W.!... Mnie ludzie na słowo uwierzą, jeśli powiem, żeś swołocz! Uwierzyliby, szefie, ale nie uwierzą, ponieważ będą musieli wierzyć, że swołocz to ty: tylko fakty się liczą w epoce słusznego protestu... Góralczyk oświadczył, że ma czyste ręce, choć czystą miał tylko lewą, a prawą upapraną w pomidorowej miazdze; nikt mu nie udowodni złodziejstwa, łapówkarstwa, talonu na lewo ani korzyści prywatnych ze służbowej funkcji – po prostu on, Góralczyk, nigdy się nie dał zdemoralizować. Nigdy, szefie? A to? Co to?... Asygnata na eternit dla wicewojewody, z podpisem szanownego prezesa. Tutaj protokół z przeceny eternitu: był gatunek pierwszy, zrobił się ostatni. Tu wizytówka wicewojewody z podziękowaniem dla kolegi prezesa. I powiadomienie o nagrodzie resortowej... Nie przyjąłem! Przecenić naczelnik polecił! Ty przecież wiesz! Na to Pudrycy, że wie się rzeczy różne, i takie, i siakie, a w tym oto zeszyciku notowało się wszystkie polecenia telefoniczne z góry, prośby ustne różnych dostojnych gości, aluzje, sugestie oraz sposób ich realizacji przez prezesa Góralczyka na przestrzeni lat kilkunastu. Że nic za to nie brał? Ale okradał społeczeństwo! Rabował biednych i napychał ważniaków! Tu Pudrycy sypnął falcikami z kajetu, a Góralczyk kurczył się coraz bardziej nad miską swych ukochanych pomidorów, jakby chciał w nie zanurkować. Potem pulpą chlusnął w twarz Pudrycemu. Pudrycy zniósł to spokojnie. Wycierając twarz chustką, usłyszał nagle jęk Góralczyka: Jezu Chryste, taki ze mnie skurwysyn!... Jakim cudem mogłem nie mieć pojęcia?!... Jutro rano przyjdę do ciebie z przedstawicielami załogi, powiedział Pudrycy, usunąwszy z powiek pomidorową miazgę. Twoja szansa: złożyć krótką samokrytykę i podać się do dymisji, nie czekając na zarzuty. Krzywdy nie będziesz miał, w Bartach szukają dyrektora PGR-u.

I nazajutrz grzmot wystrzału w gabinecie, krwawe grudki na biurku, nieco bledsze od miazgi pomidorowej.

– Czemu to zrobiłeś?!... – wyrwało się Pudrycemu spod serca, tonąc w

samogonowym gwarze. – Jam niewinny, niewinny...

– Niewinnyś jak niemowlę, Pudryculo – odpowiedział mu prezes Góralczyk, wciskając się bezszelestnie między Parhonia i Ornę, aby móc patrzeć w oczka swemu byłemu zastępcy. – Walką o byt się to nazywa. Gdyby tam, gdzie ty zajrzałeś tylko, a ja przebywam stale, chciało się analizować przyziemne zaszłości, Cudowna Świat-

łość rozjaśniłaby sprawę w mig: jedni się kurwią, bo kurwią się inni, i frajer ten, co daje się wykołegować przez skrupuły, czyli skrofuły, czyli czyraki na tyłku, z którymi ani lec, ani usiąść; wlałeś między wrony, kracz jak i one, z pretensjami do aranżera, że zaprogramował krakanie. Ale ci drudzy, Pudryculo, mój krwawy wampirku...

– Dlaczego mnie tak nazywasz?!... – zawył W.

– Pamiętasz pulpę pomidorową? – zapytał Góralczyk, chichocząc, a biały był jak prześcieradło, w które się owijał po szyję. – Ci drudzy, Pudryculo, żeby władać, muszą mieć poczucie własnej nieskazitelnosci. Chcą być kochani, rozumiesz? W łapę nie biorą, jadają ascetycznie, nie zdradzają żon i żarliwie modlą się co wieczór do swoich bogów, niektórzy przez telefon. Otóż ci nieskazitelni, czyniąc czasami wbrew kodeksom, mają świadomość wyższej konieczności. Wyższa konieczność, Pudryculo!... Niczym siła wyższa, która napędza dzieje! Postępując wbrew, nieskazitelni czują się męczennikami. Czy wiesz, jak bolał ...ski, wrywając przesłuchiwanym paznokcie, zanim się przyzwyczaił? Albowiem do męczeństwa można przywyknąć.

– Zwłaszcza do cudzego... – mruknął Pudrycy.

– Milcz, morderco – powiedział Góralczyk przez stół, na szczęście nikt go nie słyszał prócz Pudrycego. – Mnie zabiłeś swoją parszywą buchalterią: dowiodłeś, że byłem gnojek taki sam jak ty, tylko jeszcze głupszy, bo nic z tego nie miałem.

– Miałeś – powiedział Pudrycy. – Nie udawaj.

– Nie dręcz!...

– To nie kłam. Miałeś poczucie współnictwa ze zwierzchnością. Przeciw całej reszcie, którą traktowałeś protekcyjnie. Może zjadłbyś coś? Albo wypił?

Pudrycy obwiodł ramieniem zastawiony stół. Góralczyk przecząco pokręcił głową.

– To już minęło. Wszystko mija, przekonasz się: udręki sumienia podobne są do niestrawności. Nadkwasotka, beknięcia, sraczunia. I po wszystkim. Organizm oczyszcza się. Cześć, Pudryculo.

– Czekaj!... Żle mi jest. Nikogo nie chcę zabijać.

– Chcą tylko zboczeńcy.

– Po co ja zmartwychwstałem?!... – ryknął na cały głos Pudrycy.

Góralczyk szczeł. Gwar za stołem wyciszył się, wszystkie oczy skierowano na magazyniera.

– Nie nazywałbym reanimacji zmartwychwstaniem – powiedział doktor Samosiejka. – Zmartwychwstaje się po dłuższym czasie i bez defibrylacji.

– Zmartwychwstał Zbawiciel – powiedział ksiądz Celestyn i pogroził piąstką Parhoniowi: – A odezwij mi się!...

Pudrycy przeprosił za swój okrzyk, który przypisał działaniu samogonki o niesłychanej sile. Żeby się uspokoić, wsunął prawą dłoń między przyjazne uda Anieli i zaraz poczuł się cały jak w ciepłej kołysce, pod puchową kołderką, ze słodkim smoczkiem w buzi.

– Przywracasz mi życie... – szepnął.

Dzięki Bogu, nie usłyszała. Zapatrzona była w Sokolika, który po kolejnym kielichu wstał z ławy, po gitarę sięgnął, lecz odłożył ją, jakby zmienił zdanie.

– Nie zaśpiewasz toastu? – spytał Jonasz.

– Obejdzie się bez muzyki – powiedział Sokolik. – Oskarżać będę. – I paluchem z żałobną podkową brudu wskazał na Lecha Macieja. – Jego! Który w amerykańskich jadłodajniach spożywał krwiste steki z ziemniakiem kalifornijskim, czosnkowym masłem, grzanką z białego pieczywa i miską sałaty polanej francuskim sosem na bazie sera roquefort. Czy wiecie, że ten człowiek odróżnia w smaku wołowinę argentyńską od holenderskiej?

– Typowa agenturalność – wtrącił głośno Parhoń.

– Ale u nas, powiada, zawsze będzie źle – kontynuował leśniczy Sokolik. – My, powiada, umiemy tylko cierpieć i rozczulać się nad własnym cierpieniem. Naród, powiada, jesteśmy sfrustrowany, który od dwustu lat zaprzepaszcza każdą swoją szansę...

Pudrycy pośpiesznie pisał w notesiku, osłonięty dzbanem po chlebowym kwasie.

– Święte słowa... – zauważył ze smutkiem ksiądz Celestyn.

– A co mówił wtedy? – zawołał Sokolik. – Pamiętacie?

Lech Maciej Orno wysunął ramię w kierunku leśniczego, jakby go chciał chwycić za klapę służbowej kurtki o numer za dużej albo odepchnąć.

– Pan się upił?!...

– Z umęczenia – odpowiedział mu Sokolik. – Z rozdarcia, panie Orno. Z poczucia, że byłem głupi jak mój guzik, kiedy wierzyłem panu, że wolność jest za miedzą, po suwerenność ręką sięgnąć, a dostatek spłynie na nas jak światło słoneczne, gdy tylko rząd rzucimy na kolana...

– Prostackie uproszczenie! – usiłował przerwać mu Orno, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

– Bośmy są prostacy, panie Orno, to i upraszczamy dla prostoty. Pan nam nas samych obiecał innym zupełnie i myśmy próbowali być wedle wmówienia, kochać bliźniego jak samego siebie, do Pana Boga się garnąć zbiorowo i ojczyznę przestrajać jak gitarę rach-ciach-ciach, z jednej tonacji na zupełnie inną. Pan w nas wmówił wielkość, panie Orno! W prostaków uproszczonych...

– Nieprawda!... – znowu spróbował Orno, ale z gardła wydobył mu się ledwo charkot.

Sokolik jednak dosłyszał. Wskazujący paluch z czarną podkową wymierzył w Lecha Macieja.

– Kto powiedział, że porywcze ludy znikają z mapy świata?

– Powiedziałem...

– A kto w nas rozniecał porywczość? Kto napuszczał uproszczonych? Kto dziś mówi, że da zawiedzionym odsapnąć i znowu będzie nawoływał do słusznych protestów, ponieważ historia nie może stanąć w miejscu?

Orno wstał. Żeby nie upaść, musiał wbić pięści w blat stołu.

– Przepraszam – wyszeptał, ale tak, że wszyscy usłyszeli. – Już nie będę.

– Lecę wierzyć, panie Ornberg – zakpił Parhoń.

Leśniczy Sokolik pochylił się nad stołem w stronę Lecha Macieja i spojrzał mu w oczy z wyrzutem, surowo.

– Kłamię pan. Na własne uszy słyszałem... Wyjeżdża się jutro, co?  
– Nie! – odparł Orno z nadspodziewaną mocą.  
– No, no... – Sokolik wyciągnął kielich w kierunku Orny. – To za pańską odwagę.

Wypił. Orno też wypił, mimo ostrzegawczego okrzyku doktora Samosiejki. I zatoczył się, i byłby upadł, gdyby nie refleks Pudrycego, który wyskoczył zza stołu, szczupakiem dopadł Lecha Macieja, objął go, podtrzymał. „Mały Drukarz” niepostrzeżenie wśliznął się do kieszeni chińskiej kurtki podtrzymanego.

Jonasz rechotał grzmiąco, tuląc do siebie księdza Celestyna niczym dziecię maleńkie i naszeptując mu do ucha dziwy rubaszne, bluźniercze absurdalności o aniołach i anielicach, którym diabeł dzieci kołysze, a potem mówi dobranoc w dziurze zabitej dechami niebieskimi, która zwie się Ziemia, zaniedbanej przez Stwórcę jak ugór. Dlaczego zaniedbanej? Bo światów, ojczulku, jest niezliczona ilość, a Stwórca jeden. Zapracowany, biedulek: ledwo głowę odwróci, już mu toto chwastami porasta, podłościami się pleni, łajdactwem kwitnie. Daremnie trudzą się kapłani, w tym długowieczni...

– Zamknijże swój heretycki dziób, pijaku! Powiedz lepiej, czym zastąpić simering w motorze, bo nigdzie nie ma simeringów do trabanta.

– Modlitwą ksiądz próbował?

– Jak zdzielię dzbanem przez kudłaty łeb!...

Zegar wybił północ i Jonasz raptem umilkł. Wypuścił z objęć księdza Celestyna. Zapomniał o gościach, którzy zapewne biesiadowali nadal, obciągając trzeci gąsiorek i nie zwracając uwagi na gospodarza. A przy gospodarzu, na zydelku niskim, białym czołem dotykając jego kolan, siadła miedzianowłosa dziewczyna o wielkich, jakby wystraszonych oczach, cerze delikatnej, lekko naznaczonej piegami, ustach może za pełnych, może nazbyt wydatnych kościach policzkowych. W sukni gładkiej, ciemnej, zapiętej pod szyję.

– Kogo ja mam poza tobą? Do kogo miałabym dzisiaj przyjść, jak nie do ciebie? Czy chociaż raz nie przyszłam?

– Zawsze przychodzisz – odpowiedział Jonasz – i to jest jeszcze gorsze, niż

gdybyś nie przychodziła wcale. Nie możesz czekać, aż cię zawołam?

– Czekam i czekam, a ty nie wołasz. Ty mnie nigdy nie zawołasz, Jonaszu, ale ja, dzięki Bogu, nie muszę wyczekiwać na wołanie. Znam drogę do ciebie.

– Jeszcze nie ma drogi do mnie. On na niej stoi.

Przytuliła mu się do kolan, objęła je smukłymi ramionami. Rozpoznał ziołowy zapach włosów, które raptem rozsypały się i spłynęły mu po nogach aż do ziemi czerwonozłotą falą, jakby je wyczesano z zachodzącego słońca.

– Nic nie mogłeś. Oni są zawsze silniejsi. Od kogo ty chcesz być lepszy, jeżeli Pan Bóg w dużych miastach nie znalazł dziesięciu sprawiedliwych? Ty po prostu zapomnij.

I Jonasz wyobraził sobie, że nie pamięta, jak idzie między dwoma żołnierzami w ciemnozielonych mundurach, ramiona ma skrępowane na plecach, a obok, pomostem ze ścinanych drzewek, kroczy kapitan Günter Storch, również w panterce ściągniętej skórzanym pasem, z parabellum w błyszczącej czarnej kaburze, opalony na brąz, złotowłosy, o śmiejących się, dobrych, mądrych oczach koloru wody w jeziorze: raz szarych, raz niebieskich, raz zielonkawych, zależnie od oświetlenia. Wiesz, kowalu, że moja matka jest z domu Hoff, a jej przodkowie wywodzą się z Kurlandii? Pewnie jesteśmy krewniakami. Ojciec matki giął w rękach podkowy, tak samo jak ty. Nic, żeś katolik, a my ewangelicy, to są religie pokrewne, chrześcijańskie. Wspólnie dokonamy chrześcijańskiego uczynku, ha, ha... Zmroziło Jonasza, lecz jeszcze miał nadzieję, jeszcze rozpaczliwie liczył, że coś się odmieni, odwróci, że nie zrozumiał ostrzeżenia gwiazd. Będę panu służył do końca dni swoich... Nikomu nie będziesz służył! Kiedy wygramy wojnę, czystej krwi Niemiec będzie na wagę złota. Zostaniesz gauleiterem gdzieś nad Wołgą albo pod Trypolisem, może wyżej pójdiesz, bo nie brak ci talentów, ale przedtem musisz zdać ten egzamin, tylko na pozór trudny, bo człowiek nie poznał samego siebie, nie przekroczył granicy przeciętności, nie posmakował własnej wszechpotęgi.

Weszli w mokradła. Już się nie potopiają. Owczarek na smyczy prowadzi w gęstwinę, pod pagór, do kotlinki. Gdyby zaszczekał, Regina może

usłyszałaby. I co? Ucieknie im? Dokąd? Do kogo? Ale owczarek nie zaszczeka: tresowany. Przegryza gardło w ciszy.

Pień dębowy. Czterech żołnierzy trzeba, żeby go odrzucić. Będę panu służył do końca dni swoich, Herr Storch... Już i tego nie powie, bo usta zaklejone plastrem. Niepotrzebnie rozerwał sznury, którymi związane mu ręce na plecach. Kapitan kazał skrępować je grubymi rzemieniami, końcówkę w kształcie pętli zarzucił mu na szyję: szarpniesz – będziesz się dusił.

Kapitan Storch polecił usunąć gałęzie maskujące wejście do schronu i osobiście zerwał plaster z ust Jonasza. Pójdiesz tam pierwszy, powiedział, pożegnasz się z nią; tyle gotów jestem dla ciebie zrobić. Masz na to sześćdziesiąt sekund.

Odgadła bez słowa. Czekwała pośrodku ziemianki, kiedy wszedł. Paliła się lampa naftowa na skrzyni. Luksus. Widocznie wiedziała, że nie trzeba już oszczędzać nafty. Miała na sobie gładką ciemną suknię zapiętą pod szyję.

Rude włosy związane w węzeł. Twarz białą jak zwykle, ni mniej, ni bardziej. Jak trawa pod kamieniem.

Jeśli Bóg ma serce, powiedział Jonasz, to umrę ja zamiast ciebie, żeby było na świecie o jednego Niemca mniej; albo umrzemy razem. Nie ma Boga z sercem, usłyszał jej cichy, spokojny głos; kto tu kogo stworzył, On nas czy my Jego, Jonaszu? Jonaszu, jak ja się boję... żeby tylko nie bolało długo...

Przyrzekł Reginie, że nie będzie boleć.

Wyprowadzono ich na polankę przed schronem. Dąb tam rósł. Wśród śmiechów najmłodszy z żołnierzy wdrapał się na wysoką gałąź i przerzucił przez nią sznur zakończony pętlą. Ty sam musisz ją zabić, powiedział do Jonasza kapitan Storch, dopiero wtedy staniesz się prawdziwym Niemcem. Uwolnicie mi ręce? We właściwym momencie, kowalu...

Regina była bosa. Jonaszowi przyszła do głowy absurdalna myśl, że się przeziębii na mokrej trawie.

Przyprowadzono ją pod dąb. Najmłodszy spuścił sznur i założono Reginie pętlę na szyję. Rosły żołnierz o kasztanowych lokach wymykających się spod furażerki, wzrostem dorównujący prawie Jonaszowi, przykucnął, chwycił Reginę w kostkach i zaczął podnosić, a najmłodszy równocześnie podciągał

sznur. Kapitan Storch dyrygował, wydając polecenia uśmiechem, skinieniami, ruchem powiek.

Ramiona żołnierza uniosły się w górę. Stopy Reginy mieściły się całe w jego dłoniach. Ciężka nie jest, ale waży! – zawołał wesoło. Hej, kto mnie zastąpi?

Na znak Storcha rozcięto rzemienie bagnetem i ramiona Jonasza okazały się wolne. Były odrętwiałe. Musiało minąć trochę czasu, nim wrócił krwiobieg. Komm, Schmidt! – zarechotał żołnierz podtrzymujący Reginę. Bo ją puszcze!

Puściłby. Jonasz zdążył w porę, doskoczył, chwycił stopy Reginy. Może to tylko próba? Zabawa? Okrutny żart kapitana Güntera Storcha, który jeszcze trochę pofigluje z nimi, a potem warknie do kowala, żeby zabierał swoją Żydówkę i znikał z tych okolic?

Młodziutki podciągnął sznur wyżej. Tak wysoko, że Jonasz musiał wyprężyć się jak struna i stanąć na palcach, aby stopy Reginy znajdowały oparcie. Zadarł głowę. Widział Reginę z tyłu. Konopny sznur jakby wyrastał jej z szyi, biegnąc nieco skośnie przez potylicę do konara, wokół którego był okręcony i zawiązany w supeł. Młodziutki zlaźł z dębu. Już nie był tam potrzebny. Wszystko w rękach Jonasza. Żołnierze rozsiedli się w słońcu na ciepłym mchu, porozpinali panterki, ktoś puścił w obieg paczkę papierosów Juno. Hej, kowalu, chcesz papierosa? A może twoja ukochana zapaliłaby sobie? Ha, ha, ha!...

Cyrkowa kompozycja: mocarny atleta i wiotka ekwilibrystka, sznur jako ubezpieczenie. Ile czasu można ustać na palcach, ze wzniesionymi ramionami, na których spoczywa ciężar kilkudziesięciu kilo?

Boże wielki, Boże litościwy, spraw, aby to był żart tylko albo sen, z którego się przebudzę w ziemiance obok Reginy, spocony, szczęśliwy... Co ci szkodzi? No, co ci szkodzi sprawić, żeby w ogóle nie było wojny, bomb, trupów? Co by ci szkodziło zakazać dręczenia? Po co mamy wymyślać teorie o korzyściach z męczeństwa i sadystycznym odkupieniu?... Chyba że nie dajesz rady Szatanowi i musisz mu składać ofiary z nas, ludzi... Herr Storch, litości, ja jej nie utrzymam! Podjąłeś się dźwigać los tej Żydówki. Więc dźwigaj. Los Reginy Kuperholc spoczywa w twoich rękach, kowalu.

Upalny dzień. Szelest gałęzi, pogwizdywanie ptaków. Chłopcy w panterkach palą papierosy ostrożnie, żeby nie zaproszyć w lesie ognia. Miłe twarze, spocone od słonecznego żaru, senne trochę, bo żołnierz wstaje rano. Słońce wzmaga senność.

Ból mięśni można znieść, ale na słabość nie ma rady. Ciało omdlewa. Palce u nóg z wolna przestają piec, mięśnie ramion wyzwalają się od kurczów. Regino, ukochana moja, dlaczego mi nie pomożesz? Wystarczy, że podkulisz nogi. Że się odepchniesz od moich rąk, jakbyś skakała do jeziora. Pamiętasz jezioro? Kąpiel nago? Twoją ciekawość, jak też wygląda nieobrzezany, lęk przed Jahwem, gdy go brałaś do ust po raz pierwszy? Nic ci nie zrobił twój Jahwe. Teraz też nic. Nie ma Go w ogóle. Jest tylko Szatan, Dwudiabeł, twój i mój prześladowca. Czy ty wiesz, że on to robi dla mojego dobra? A ja już się kończę. Gubię poczucie ciała. Za moment twoje stopy stracą oparcie...

Patrzył błagalnie na Storchę, który ćmił papierosa, odpowiadając mu spojrzeniem serdecznym, współczującym i równocześnie nieustępliwym: musisz, kowalu, zdać ten egzamin, tylko na pozór trudny, dopóki człowiek nie przekroczy granicy, zwanej przez podludzi człowieczeństwem.

Hej, kowalu, jak tam?

Nie ciężko ci?

Ha, ha, ha!

Może pomóc?

Trzymaj mocno, bo nam się świat zawali, uech, uech, uech!...

Świat się wali, gwiazdy pędzą ku sobie, trzeszczą i pękają niebieskie przęsła, kręgosłup pęka Jonaszowi, rozpada się na kręgi. Jak ocalić świat? Co by zrobił na miejscu kowala Jezus Chrystus? Musiałby być na aryjskich papierach, żeby móc coś zrobić. Jonasz powinien był załatwić Reginie papiery, należało zwrócić się do księdza Celestyna: wydał świadectwo chrztu niejednemu jasnowłosemu Izraelicie. Dzięki jego pomocy ocalał brat Reginy Awrum Kuperholc.

Jonasz się kończy. Za parę sekund utraci władzę w rękach. Czuje to. Ruchem głowy wzywa do siebie kapitana Storchę, jakby mu chciał coś wyznać. Ten podchodzi z przyjaznym uśmiechem: Zrozumiałeś wreszcie, kowalu? Kowal zaciska dłonie na stopach Reginy i rozrywa jej kręgi szyjne

gwałtownym szarpnięciem w dół.

Potem chwyta za szyję Storch.

Kapitan przewidział wszystko. Uderzenie kolbą w tył głowy pozbawia kowala przytomności.

Regina tuli się Jonaszowi do kolan, nie zmieniona, dziewczęca i powtarza:

– Oni zawsze są silniejsi. Co ty możesz?

– Póki żyję, będę ich ścigał – odpowiada Jonasz. – Nie jestem sam.

– Ale ich jest więcej. Nie zmienisz świata. Jonaszu...

– To się jeszcze okaże!

Jonasz szczyrzy zębiska w drapieżnym uśmiechu. Wstaje z wyżłobionego pnia i unosi swoją szklanicę, po brzegi wypełnioną samogonem.

– Zdrowie młodej pary! – woła donośnie. – Do dna, kochani!

Aniela zerka to na Jonasz, to na Pudrycego, który znów ją tam trzyma i drażni paluszkami, jakby chciał zachować w ciągłej gotowości; jest jedyną kobietą za stołem, więc o nią chodzi, ale o kogo jeszcze? Tego z lewej czy tego z prawej? A może ktoś trzeci, ktoś czwarty, ktoś piąty? Lech Maciej Orno na przykład: gruźlicy mają podobno niesłychany temperament. Czy również tacy jak ten, na wykończeniu?

Żadnych pytań. Piją. Potem Jonasz przynosi z kuchni żeliwny gar z czulentem i nakłada każdemu na talerz po dymiącej porcji szpondru z kaszką, fasolą, brunatnym ziemniakiem i plastrem gęsiej szyjki.

– Co to takiego? – interesuje się Pudrycy, który lubi gotować od czasu do czasu.

– Czulent – odpowiada Jonasz. – Na jej cześć. Dziś jest czterdziesta rocznica naszego rozstania.

– Rocznicę męczeńskiej śmierci Reginy Kuperholc – precyzuje ksiądz Celestyn. – Jej pradziadek był rabinem w Krasnogaju. Niejedno ze sobą uzgadnialiśmy. Mieszkało tu wtedy dużo starozakonnych, ale gdzieś poznikali.

– Część do ziemi poszła, a część do nieba przez kominy krematoryjne – mówi Pudrycy, przystępując do pałaszowania czulentu, w którym najsmaczniejsza jest gęsia szyjka, czyli farsz. – Nietrwały to naród, choć wytrwały.

– Poniektórzy do dziś się ukrywają – zauważa Parhoń. – Ja ich...

– Ty milcz – osadza go Jonasz. – Czulentu nie jedz, strujesz się, koszerne. A narody, ojczulku, jak te gwiazdy, zapalają się, krążą po orbitach, wraz z orbitami pędzą dokądś, wreszcie gasną. Może gasną po naszej stronie, żeby zapalić się po tamtej?

– A nie mogłyby płonąć obustronnie? – pyta Sokolik.

– Na dwóch stołkach siedział, dupę mu rozdarło – mówi Parhoń sentencjonalnie.

– Ty milcz – powtarza za Jonaszem Sokolik i sięgnąwszy po swoją gitarę, rozpoczyna śpiewanie kupletów, najpierw śmiesznych, potem takich sobie, wreszcie smutnych, coraz smutniejszych. Biesiadnicy po obu stronach stołu biorą się pod ręce i kołyszą się w przeciwnych kierunkach, jak trzciny trącane wiatrem.

Jonasz wychodzi przed dom. Gorąco mu. W dłoniach czuje wgniecenia od stóp Reginy Kuperholc. Gwiazdy na nieboskłonie układają się w przepowiednię. Jakaś śmierć gwałtowna, a później żmudność, szarość, nieciekawość. Czyja śmierć? Czyżby wreszcie księdza Celestyna, zamykająca pierścień? Może Pudrycego po wygaśnięciu prolongaty? Jego, Jonasza? Wykluczone. Przedtem kapitan Günter Storch.

I jest kapitan. Jonasz wypatrzył go za komórką, w cieniu. Musiałeś dziś przyjść, kapitanie. Tobie też nielekko. Przygasła moda na ideologie, filozofom powodzi się kiepsko. Rebelii ani przewidzieć, ani objaśnić racjonalnie: nagle gdzieś wybucha, raptem rozchodzi się po kościach. Życie niby się wydłuża, ale młodość kurczy – gdzie spojrzeć, przedwcześni staruszkowie w krótkich spodenkach.

Może sam świat zestarzał się gwałtownie?

Tu, w Krasnogaju, wydaje się, że wszystko jest po staremu. Parhoń chciałby zrobić majątek na czosnku pod nieobecność Izraelitów, leśniczy Sokolik odczuwa nieodpartą potrzebę służenia, ksiądz Celestyn ma ratować przed nawrotami szaleństw, które tylko osłabiają wątłutki organizm epileptyka. Tu nawrócisz – tam się ktoś odwróci. Wracanie. Nawracanie przywróconych, wywracanie zwrotne, zawracanie koła historii. Udawanie. Uda się, że jest

jak być powinno, albo udaje się do kościoła w niedzielę, żeby wyjednać, ubłagać, zblatować. Albo wydaje się.

Od kogoś kapitan Storch dowiedział się o Reginie. Ktoś ją wydał.

Wpatrując się w sylwetkę kapitana ukrytą w cieniu komórki, Jonasz zdał sobie sprawę, że o to nie zapyta. Był inny czas. Ludzie bali się wiedzieć. Za wiedzę szło się na śmierć. Ten, kto wydał kapitanowi Reginę Kuperholc, już nie istnieje, gdyby nawet zrobił to chętnie, nie ze strachu, tylko dla satysfakcji. W każdym bowiem jest i skurwysyn, i święty. Czas wyzwała: w jednym to, w drugim tamto. Co człowiek winien, że słaby? Ilu jest tak naprawdę zadowolonych z siebie?

Starając się nie spłoszyć Storcha, Jonasz cichuteńko zawrócił do sieni i wziął strzelbę, w której była magiczna kula odlana z menory. Wyszedł na ganek. Kapitan stał wciąż w tym samym miejscu. Jarzyło mu się pomarańczowe oko. Chyba nie wypilem za dużo, pomyślał Jonasz, powolutku odwodząc kurek, on nie wie, że go widzę, trzeba będzie błyskawicznie zmierzyć i strzelić, nim wyparuje.

Udawał, że patrzy w inną stronę. Był zmęczony. Mimo duchoty miał dreszcze i czuł narastającą w nim samotność, znacznie intensywniejszą niż zazwyczaj: jakby go zanurzano w próżni. Już przeczuwał, że cokolwiek zrobi, będzie to daremne. Czy nie stało w gwiazdach, że nie uchronisz się przed nieuchronnym? Nie dościgniesz niedościg-

nionego? Niepojętego nie pojmiesz? Szczur zdechł. Jonasz wyczuł to – nie musiał zaglądać do klatki. Astrologiczna korektura narodzin była starczą mrzonką – odebrał to równie wyraziście jak śmierć szczura. Doktor Samosiejka nie musi tak boleśnie przeżywać swoich niepowodzeń, ponieważ funkcjonuje w systemie: temu wypisze receptę, owego skieruje do specjalisty lub do szpitala. Jonasz jest sam. Udręki świata wgniatają go w ziemię swoim ciężarem. Coraz głębiej. Aż go ziemia pochłonie niczym bezdenne bagno. Ale przedtem trzeba rozprawić się z Günterem Storchem.

Günter Storch nie był złym człowiekiem. Był człowiekiem wierzącym, w przeciwieństwie do wodzów, którzy tę wiarę stworzyli, aby realizować swe polityczne interesy. Czyje interesy realizuje szatan? Kto stoi za instytucją piekła? Czemu ma służyć zło?

Za dużo wypilem, pomyślał Jonasz, wciąż nie patrząc w stronę komórki, a jednak widząc kątem oka przyczajoną postać; żeby tylko trafił...

Ze zwierzęcą zwinnością wykonał półobrót, złożył się, nacisnął spust. Szczęk metalu. Niewypał. I krzyk:

– Jezu, co pan?!

To nie był kapitan Storch w panterce i wysokich butach. Zza komórki wybiegł z uniesionymi rękami brodacze w zagranicznych sztruksach.

– Nie strzelaj, poddaję się!

– Komu? – spytał bezradnie Jonasz, opuszczając strzelbę.

– Nie stawiamy czynnego oporu funkcjonariuszom – powiedział brodacze, nie odrywając oczu od strzelby. – Zeznań z góry odmawiam. Jeśli coś mi się stanie, szum będzie w kraju i za granicą.

Jonasz odstawił strzelbę, chwycił brodacza za ramiona, przygarnął.

– Miałeś szczęście, synku!... Przecie zabiłbym... Wypilem...

Brodacze jakby oprzytomniał. Wzgardliwie strząsnął z ramion łąpska starego.

– Szlachcic na zagrodzie, co? Z takim narodem tylko pluć i łapać, chlać i prać się po pyskach. Strzelać mu się zachciało! Nie masz do kogo?

– Mam – odparł Jonasz. – Wziąłem cię za niego.

– Papachę zobaczyłeś? Ale nie było ciebie, kiedy myśm się bili o wolność. Idź się przespać, dziadku, za mocno popiłeś.

Tym razem Jonasz ujął brodatego za klapy wranglerowskiej kurteczki. Przyciągnął do siebie, aż zatrzeszczała w szwach. Błażej próbował się uwolnić, ale był jak w kleszczach, prawie unosił się nad ziemią.

– Zobaczyłem furażerkę z trupią czaszką – usłyszał chrapliwy głos starego.

– Mógł to być kapelusik z piórkiem. Nie zrozumiesz, synku. Za to ja zrozumiałem. On też bił się o wolność, moją wolność, Jonasza Hoffa, z głęboką wiarą, że postępuje słusznie.

– Ileś ty obciągnął, dziaduniu? Cuchniesz jak rozlany denaturat. Puść mnie!

– On tu gdzieś jest – powiedział cicho Jonasz. – Gdybyśmy dobrze poszukali na podwórzu, znaleźlibyśmy jego żelazny krzyż. Kto się nie podszywa pod Chrystusowe męczeństwo?...

– Puszczaj, stary!...

– Nie ubiję go. Ten cap porozpryskiwał swoje nasienie i pełno wszędzie tych, którzy dzielą ludzi na lepszych i gorszych, narody na mądre i głupie, państwa na sprawiedliwe i wredne... a człowiekowi smutno!

– Mnie nie jest smutno – powiedział Błażej. – Czekam tu na kogoś.

– Co z tego, że zrozumiałem, synku? Polować nie zaprzestanę. A ty? Masz cel?

– Ani strzelby, ani celu, ani ochoty do gadania z panem – rzucił sucho Błażej, przebierając stopami w powietrzu. – Nie tacy próbowali prowokować.

– Przepraszam. – Stary ostrożnie postawił brodacza na ziemi. – Świat dziś nieufnością stoi, wszyscy wszystkich podejrzewają o paskudztwa. Ze strachu. Albowiem zapis w gwiazdach coraz mniej czytelny. Skorpion wślizguje się do Warkocza Bereniki...

– Wariat!... – Błażej odskoczył od starego. – Niech ja skonam!

Jonasz wybuchnął donośnym rechotem. Gestem zaprosił brodacza do wzięcia udziału w biesiadzie, lecz ten pośpiesznie głową zamajtał i umknął w cień za komórkę.

Pudrycy W. mógł już zaprzestać obserwowania: na palcach przemierzył sionkę i powrócił do izby przed Jonaszem.

Samogon kończył się w ostatnim gąsiorze. Doktor Samosiejka, czołem wspierając się o ramię leśniczego, tłumaczył mu, że wszystko na nic, ale robić zastrzyk trzeba, jako też lewatywy, prześwietlenia płuc i aborty, na co ksiądz Celestyn z przeciwnego końca stołu, ostatnie dosłyszawszy, zaprotestował gorąco:

– Tylko nie aborty, synu! Co poczęte, musi się dokonać!

– A po co? – spytał Samosiejka.

– A po to! – odkrzyknął z mocą ksiądz Celestyn. – Nie będziesz wtykał swego pryszczatego nosa do kotła, w którym Pan nasz warzy czulent!

– Bigos, ojcie... – zawył Parhoń.

– Niech będzie bigos – zgodził się ksiądz Celestyn. – I niezbadana jest receptura onego bigosu, jako też jego przeznaczenie...

– Amen – podsumowała Anielka.

Wówczas Pudrycy uznał, że pora działać. Przechylił się ponad stołem do Lecha Macieja Orno i zapytał, jak ten ocenia ewentualną inicjatywę załogi GS-u, żeby się włączyć, bowiem życie ucieka, a czas nie stoi. Równocześnie trącił w kostkę Parhonia: był to umówiony znak.

– Co proszę? – wyszeptał Lech Maciej.

– Bo tamte, powiada pan, były autentyczne i spontaniczne? Mężczyźni płakali, gdy przestały istnieć? Żadne inne, powiada pan, tamtych nie zastępują?

– He?... – wybełkotał Orno, robiąc się coraz bledszy.

– Naród, powiada pan, nie da się jednak zniewolić? – ciągnął Pudrycy, a Parhoń słuchał starannie, pochylony w ich stronę, zgodnie z ustaleniem. – Będzie, powiada pan, wegetował, rozpamiętując, własną piersią karmiąc legendę? Aż raptem rozprostuje orle skrzydła i uderzy nimi, zmiatając rozpętane pętaństwo, rozplenioną plugawość, żalosną średniość spod kreski? Tak pan twierdzi, panie Orno, a może źle zrozumiałem? Gdyby pan zechciał łaskawie powtórzyć...

Lech Maciej Orno otworzył usta i zamknął je, nie wydając dźwięku. Już nie słyszał. Oglądał swój pogrzeb. Prostą dębową trumnę okrytą narodowym sztandarem, niesioną na ramionach barczystych brodaczy. Kir. Wieńce. Transparenty. Tłum wylewający się z ulic, pęczniejący coraz niebezpieczniej, zagrzewający się przez swoją mnogość, wzajemne tarcie, iskrzenie.

Gdzieś linia, której przekroczyć nie wolno. Wszyscy wiedzą: nie wolno! Z wyjątkiem małych dzieci, które puści się przodem, oraz łysiejących staruch obwieszonych dewocjonaliami, charczących.

Jeden okrzyk. Wystarczy. Jeden wrzask schizofreniczny, taki romantycznie nasz, spod serca prosto: „Rooodaaacyyy!...”

Linia. Ci, co pilnują porządku świata, już nie mają wyboru. Jak wszędzie, jak zawsze. Salwa. Broni nie trzeba repetować, jest nowoczesna, szybkostrzelna. Więc ogień ciągły, który się rozprzestrzenia, aż obejmie wszystko.

Pogorzelisko, ruiny, dymiące szczątki. Ugór.

„Oto, proszę wycieczki, niedopałek trumny Lecha Macieja Orno, który swą męczeńską śmiercią dał sygnał do rzezi, gdzie brat brata, a ojciec syna. Być

może, proszę wycieczki, nie bez wpływu na bieg wydarzeń okazały się wybuchy na Słońcu, zauważone w tym czasie przez astronomów...”

– O, nie!... – ryknął Lech Maciej Orno, zrywając się z miejsca.

Krew runęła mu do gardła, chlusnęła ustami na stół i zalała obrus dymiącą, rozlewającą się strugą. Padł twarzą w tę strugę, ale nie poczuł uderzenia: już go wciągało w tunel ze światłością na końcu.

...Jonasz odsunął doktora Samosiejkę i złożył łapska na potylicy Lecha Macieja. Znieruchomiał. Ksiądz Celestyn spostrzegł, że stopy Jonasza uniosły się nieco nad podłogą, a wokół głowy pojawiło się słabe świecenie. Przygasło po paru sekundach.

– Za późno.

Jonasz wziął na ręce kruche ciało Lecha Macieja i zaniósł je do swojej sypialni, złożył na łóżku obok siedmioramiennego lichtarza, w którym dopalały się świece na intencję Reginy Kuperholc.

Ksiądz Celestyn wszedł za Jonaszem do sypialni i ukląkł przy łóżku. Jonasz zostawił go tam. Wrócił do biesiadników, którzy w milczeniu patrzyli na krzepnącą kałużę. Sięgnął po gąsiorek. Rozlał do kielichów resztę bimbrow.

Wtedy właśnie Pudrycy uświadomił sobie – a raczej uświadomił mu to głos, który odbierał jakby z daleka, przefiltrowany przez nieogarnioną jasność – że stało się: wykonał to, co w dziejach świata powtarza się niezliczoną ilość razy, wciąż za tę samą sumę, pomimo dewaluacji, inflacji, recesji, hoss i bess.

– Za życie! – usłyszał głos Jonasza. – Za jego niepojęty sens, który przecież być musi!

Kiedy wypili, Pudrycy W. cichutko podszedł do Jonasza i przytulił się do niego. Jonasz, pogrążony w myślach, bezwiednie pogłaskał go po głowie.

Warszawa–Jerzwałd, 1983

Ilustracja na okładce

Renata Celnikier

Skład

Adam Mieloszyński

© by Siedmioróg

ISBN 978-83-7791-404-5

Wydawnictwo Siedmioróg

ul. Krakowska 90, 50-427 Wrocław

Księgarnia wysyłkowa Wydawnictwa Siedmioróg

[www.siedmiorog.pl](http://www.siedmiorog.pl)

Wrocław 2015